WYDAWNICTW KOŁA KIELCZAN TOM V.

PAMIĘTNIK
KOŁA KIELCZAN

1930—1931

IV

KIELCE — WARSZAWA
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

WYDAWNICTW KOŁA KIELCZAN TOM V. [IV]

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

1930—1931



KIELCE—WARSZAWA
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.

PO PIĘCIU LATACH

Rocznik niniejszy „Pamiętnika Koła Kielczan" ukazuje się w przewidywaniu ogólnego zjazdu koleżeńskiego wychowańców szkół kieleckich. Będzie to już trzeci zjazd ogólny. Pierwszy, we wrześniu r. 1924 obejmował starsze pokolenia, które się kształciły w Kielcach do r. 1864, drugi we wrześniu 1927, włączywszy roczniki b. Szkoły Handlowej, rozszerzył koło uczestników do r. 1918. Zjazdy te uświadomiły kilkuset Kielczan, że możliwy jest i potrzebny stały kontakt między kolegami. Realizatorami tej idei organizacyjnej stają się teraz młodsze pokolenia, mające liczebną przewagę w ogólnym zespole. Z ich to inicjatywy odbywa się w tym roku zjazd trzeci, obejmujący już wszystkie roczniki do lat ostatnich.

Tego rodzaju zebrania ogólne zyskały na realnej podstawie, mając oparcie w stałej organizacji Koła Kielczan. Zrzeszenie to należy uważać za stałą organizację sporadycznie działającej instytucji zjazdów koleżeńskich. Założone w r. 1925 z inicjatywy pierwszego Zjazdu ma obecnie za sobą już pięć lat działalności, uznanej powszechnie za pożyteczną.

Działalność swoją Koło Kielczan opiera na statucie, zatwierdzonym przez władze (statut ogłoszony był w roczniku za r. 1925/27). Siedzibę swoją ma w Warszawie i delegaturę w Kielcach. Ma ono na celu: 1) zbliżenie się wzajemne dawnych kolegów, 2) pomoc wzajemną materjalną i moralną 3) podtrzymywanie duchowej łączności między Kielczanami, rozproszonymi po obszarze całej Polski, 4) wspieranie kieleckiej młodzieży akademickiej, poświęcającej się pracy naukowej.

Szczegółowe sprawozdanie za lata ubiegłe znajdzie czytelnik poniżej w dziale specjalnym spraw Koła, tutaj pragniemy tylko zaznaczyć, że zadania powyższe Koło spełniało jak mogło najlepiej w dość trudnych warunkach bo

bez dostatecznego poparcia ze strony Kielczan. Dosyć powiedzieć, że ilość członków, płacących drobne składki (2 zł. miesięcznie) wynosiła przeciętnie w tem pięcioleciu około 200. W miarę wahania się tej liczby zmieniał się też dochód: od 3600 zł. rocznie do 4.900. Ogółem za pięć lat Koło miało dochodu około 20.000 zł. Z tej sumy 12.600 zł. Koło wydało na pomoc dla młodzieży. Koszta druku trzech roczników „Pamiętnika" wyniosły z górą 5.000 zł.

To są główne pozycje działalności, wyrażone w cyfrach, napozór drobne, ale wymagające znacznej zabiegliwości ze strony Zarządu, a w skutkach donioślejsze od cyfr. Bo skutki są moralnej natury.

Młodzież ze szkół kieleckich, w znaczniej liczbie studjująca w uniwersytetach polskich i równolegle do starszego pokolenia zorganizowana, zyskała poczucie, że nie jest społecznie odosobniona. Kielczanie, mieszkający w większych skupieniach — w warszawskiem i kieleckiem — dzięki Kołu utrzymują z sobą na zebraniach stały kontakt, ogół zaś po kraju rozproszony obcuje z sobą za pośrednictwem „Pamiętnika".

Że Kielczanie zdobyli się na wydawanie podobnego rocznika, to im chlubę przynosi. Taką opinję zyskało Koło Kielczan dzięki „Pamiętnikowi". Znaczenie jego wybiega daleko poza granicę usług koleżeńskich i organizacyjnych, jakie oddaje Kielczanom. Jest to organ regjonalny, bez którego nie obędzie się już żadna bibljoteka. Rozsyłany jedynie członkom Koła i nie szukający rozgłosu, jest teraz jednak poszukiwany do celów naukowych.

Jeżeli Koło spełniło należycie w ciągu tych pięciu lat zadania swoje, zawdzięczać to możemy głównie kierownikowi jego zarządu, Bolesławowi Markowskiemu. Nazwisko jego nie schodzi z żadnej, najdrobniejszej kartki dziejów Koła Kielczan. On był przez te lata duszą Koła — inicjatorem i wykonawcą wszystkich jego poczynań, główną siłą organizacyjną. Wespół ze ś. p. Tomaszem Ruśkiewiczem należał do organizatorów pierwszych zjazdów i Koła Kielczan. Obrany na pierwszem posiedzeniu Zarządu Koła

w r. 1926 na prezesa, pracował na tem stanowisku do marca 1931, tj. do chwili, kiedy, przechodząc na emeryturę, przeniósł się do Kielc.

Ta ciężka dla Koła okoliczność ma tylko tę jedną dobrą stronę, że możemy tu w „Pamiętniku" pisać o zasługach Bolesława Markowskiego, co przy jego prezesurze byłoby niemożliwe. Na pożegnalnem walnem zgromadzeniu członków Koła w Warszawie uproszono ustępującego prezesa, aby przyjął od Koła godność Prezesa honorowego Koła Kielczan. W tym charakterze kol. Markowski będzie czuwał nadal nad działalnością Koła.

O życiu dotychczasowem Bolesława Markowskiego i pracy jego zawsze na każdym posterunku owocnej znajduje się obszerniejsza wiadomość w wydanej w r. 1925 „Księdze Pamiątkowej Kielczan" (str. 223—4). Postać znana w całym kraju, a Kielczanom tak blizka nie wymaga w tem miejscu traktowania biograficznego. Do szczegółów, podanych w „Księdze", dorzucić trzeba, śród niezliczonych zajęć, które tego niepospolitego miłośnika pracy pochłaniają, trudy, łożone dla Kielc i Kielczan; te najściślej związane są z jego sercem. Prawo koleżeństwa jest dla niego rozszerzoną zasadą życia rodzinnego. To poczucie moralne, udzielające się od niego, jest siłą zasadniczą naszej organizacji.

Od chwili ustąpienia ze stanowiska wiceministra Skarbu (w r. 1926) Markowski oddał się pracy pedagogicznej w Wyższej Szkole Handlowej, gdzie wkrótce obrany został rektorem, i pracy naukowej. Owocem ostatnim tej pracy jest wielkie jego dzieło, wydane w r. 1931: „Administracja skarbowa w Polsce" (str. 454 i VIII). Po wydanej w r. 1913 książce „Finanse miast Królestwa Polskiego" jest to największa jego praca. W okresie czasu między temi działami prof. Markowski ogłosił: „Prace przygotowawcze do ustawodawstwa skarbowego" (12 zesz., 1926 — 1929), „Organizowanie administracji skarbowej w Polsce" (1927), „Dochody i wydatki samorządu terytorjalnego" (1929). W „Pamiętniku Kielczan" w dwu poprzednich rocznikach (1928 i 1929) ukazało się przepiękne ze swej mo-

zajkowej pracowitości studjum Markowskiego (które wyszło też w odbitce) „Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach".

Od zjazdu koleżeńskiego, który teraz odbędzie się w Kielcach pod protektoratem Bolesława Markowskiego, Koło Kielczan oczekuje dyrektyw i mocnego poparcia. To, co dla niego uczyniło starsze pokolenie w osobie prezesa Markowskiego, spada mocą naturalnego dziedzictwa na roczniki szkolne młodsze. Z tem dziedzictwem biorą one na siebie także i obowiązki.



Bolesław Markowski

UDZIAŁ WOJEWÓDZTWA KRAKOWSKIEGO W POWSTANIU LISTOPADOWEM

I.

Mówiąc o województwie Krakowskiem w r. 1830, winniśmy sobie uprzytomnić, że nazwę powyższą miała wonczas jednostka administracyjna, utworzona w 1816 r. z zespolenia dwóch powiatów dawnego województwa Sandomierskiego: Chęcińskiego i Wiślickiego z czterema powiatami województwa Krakowskiego: Lelowskim, Księskim, Proszowskim i Krakowskim. Województwo Krakowskie nowej kreacji podzielono na 4 obwody: Kielecki, Stopnicki, Miechowski i Olkuski, które dzieliły się na powiaty: 1) Kielecki i Jędrzejowski, 2) Stopnicki i Szydłowski, 3) Miechowski, Szkalmierski i Krakowski, 4) Olkuski i Lelowski; stolicą jego były Kielce.

Władze wojewódzkie osiadły wprawdzie pierwotnie w Miechowie, lecz rezydowały tam zaledwie przez kilka miesięcy. Przeniesione do Kielc, na podstawie dekretu namiestnika z dnia 16 sierpnia 1816 r., funkcjonowały w tem mieście już w jesieni tegoż roku i pozostały w niem do r. 1845, to jest do czasu wprowadzenia podziału na gubernje w Królestwie Kongresowem.

Cały przeto ruch organizacyjny sił zbrojnych naszego województwa w dobie powstaniowej koncentrował się w Kielcach, jako środowisku administracyjnem, a zarazem kulturalno-społecznem.

Ani województwo nasze, ani samo miasto Kielce nie brały żadnego zgoła udziału w doniosłych, ze względu na swoje skutki, wydarzeniach nocy listopadowej, odbywających się wyłącznie na terenie Warszawy. Dochodziły wprawdzie i do naszego zakątka od połowy listopada 1830 r. wieści o powstaniu, przygotowywanem w Warszawie, jak twierdzi Dembiński, lecz były one naogół bardzo niejasne i nieścisłe, zapowiadały bowiem czynny udział w rewolucji gwardji rosyjskiej, konsystującej w Warszawie. Dziwnym jest fakt, że pogłoski tego rodzaju utrzymywały się nawet przez pewien przeciąg czasu po wybuchu powstania.

Wszelkie wiadomości o zamierzonej rewolucji przyjmowano z pewnego rodzaju nieufnością, upatrując w niej tendencję przewrotu społecznego, szerszy ogół przeto odnosił się do niej z rezerwą. Wyjątkowy entuzjazm rewolucyjny wykazali: Roman Sołtyk, Michał Badeni i poseł jędrzejowski Jan Ledóchowski z Krzelowa. Zapoczątkowali oni nawet agitację w tym kierunku wśród miejscowego ziemiaństwa, lecz ta nie dała spodziewanych wyników. Dopiero wiadomość o wybuchu powstania zbudziła miejscowe społeczeństwo z pewnego rodzaju uśpienia, w jakiem zdawało się być pogrążone. Dotychczasowa apatja zginęła w jednej chwili, a wszystkie stany ogarnął zapał i chęć służenia ojczyźnie. Całe pogłowie męskie wszelkich stanów zdolne do noszenia broni bez różnicy wieku i przekonań politycznych stanęło do apelu.

Pierwsi zgłosili się do szeregów Jan Kanty Łuniewski z Probołowic, Tomasz Strzyżewski z Kolosów i Chyliński z Miechowskiego, który złożył jednocześnie na potrzeby wojska cały swój fundusz, zaoszczędzony na dzierżawach, wynoszący 15000 zł. p., za ich przykładem poszło wielu innych. Obydwaj regimentarze Stanisław Małachowski i Roman Sołtyk wyekwipowali i uzbroili własnym kosztem oddziały wojskowe: Małachowski wystawił pułk jazdy, Sołtyk zaś baterję konnej artylerji, nad którą objął dowództwo.

Przykład ich znalazł wielu naśladowców wśród ziemiaństwa naszego województwa, do którego należał i Sołtyk, posiadający w powiecie Jędrzejowskim dobra Mokrsko. Każdy bowiem zamożniejszy dwór poczuwał się, jak twierdzi Dembiński, do wystawienia własnym kosztem kilkunastu jeźdźców ponad przepisową normę, a między porucznikami ochotniczych oddziałów jazdy istniało na tym punkcie żywe współzawodnictwo, doprowadzające ich nawet do ruiny majątkowej.

Wojsko Polskie w czynnej służbie składało się w chwili wybuchu powstania tylko z 2 dywizji piechoty, podzielonej na 6 brygad czyli 12 pułków (w czem ośm linjowych i cztery strzeleckie), dających ogółem 28000 żołnierza i z 32 szwadronów jazdy w ogólnej sile 7000 koni, podzielonych na 8 pułków, ujętych w 4 brygady, a 2 dywizje i 106 armat. Akcję trzeba było zacząć od powołania do służby czynnej dymisjonowanych oficerów i żołnierzy weteranów, którzy przewyższali niejednokrotnie pod względem sprawności i bitności wojsko w czynnej służbie, a przeto przedstawiali znakomity materjał bojowy. Wcielano ich

do dawnych kadr, zwiększając istniejące pułki o dwa bataljony piechoty i dwa szwadrony jazdy. Okazało się jednakże wkrótce, że liczba weteranów nie jest wystarczającą na uformowanie 24 dodatkowych bataljonów, wobec czego czwarte bataljony uzupełniono już przeważnie z żołnierza świeżego zaciągu. Z młodego żołnierza utworzono też 16 pułków piechoty linjowej, które rekrutowano po województwach, po dwa w każdem z ośmiu województw. Na każde województwo nałożono prócz tego obowiązek dostarczenia pewnego kontygentu kawalerji, w stosunku jednego jeźdźca z każdych 50 dymów. Dla dokonania poboru zamianowano dwóch regimentarzy, Stanisława Małachowskiego, byłego pułkownika kirasjerów wojsk napoleońskich, właściciela Końskich, na lewy brzeg Wisły; dymisjowanego zaś kapitana artylerji Romana Sołtyka na prawy brzeg Wisły. Do przeprowadzenia poboru w poszczególnych województwach wyznaczeni zostali do pomocy regimentarzom specjalni naczelnicy wojskowi pod nazwą dowódców gwardji ruchomej wojewódzkiej.

Otrzymywali oni nominację od regimentarza na skutek przedstawienia przez radę wojewódzką, sprawowali zwierzchnią komendę nad wszystkiemi oddziałami w województwie w stadjum formacji do czasu wysłania ich na miejsce przeznaczenia i przedstawiali regimentarzowi kandydatów na oficerów do oddziałów ochotniczych, mając do pomocy przy poborze w każdym obwodzie dowódców obwodowych gwardji ruchomej nominowanych, przez regimentarza. Do tych ostatnich należało ćwiczenie pospolitego ruszenia podzielonego na setki i dziesiątki i formujących się oddziałów ochotniczych.

Z powodu powołania młodzieży na ćwiczenia i werbunku ochotników zapanował w każdym mieście obwodowem naszego województwa niebywały dotąd ruch. Doszedł on do najwyższego napięcia oczywiście w Kielcach, gdyż do miasta tego ściągały oddziały ochotnicze z całego województwa dla definitywnego uzupełnienia i wyekwipowania przed wyruszeniem na front. Było ono więc stale przepełnione wprost wojskiem rozmaitej broni, a urząd municypalny całkowicie zaabsorbowany dostarczaniem kwater do tego stopnia, że nie był w stanie podołać innym swoim obowiązkom. Komisja wojewódzka wystąpiła nawet z tego powodu do miarodajnych władz o powiększenie etatu magistratu o jednego urzędnika. Całe miasto wyglądało przytem jak jeden wielki obóz, zamiast furmanek, ściąganych zwykle na targi, przybywały jedynie fur-

gony i podwody z rekwizytami wojskowymi lub transporty bydła dla wojska, zaniechano przeto pobierania opłat rogatkowych i same rogatki stały otworem.

Pierwszym dowódzcą wojewódzkim gwardji ruchomej w Kielcach został były kapitan 5 pułku piechoty Wojsk Księstwa Warszawskiego, dekorowany złotym krzyżem orderu virtuti militari, Jan Ledóchowski, właściciel Krzelowa, sędzia pokoju w Jędrzejowie, poseł na sejm z powiatu Jędrzejowskiego. Na tem stanowisku w Kielcach pozostawał on zaledwie przez kilka tygodni, podążył bowiem do Warszawy na sejm, zwołany na dzień 18 grudnia na podstawie zarządzenia Rządu Tymczasowego.

Jako poseł odznaczał się Jan Ledóchowski wielkim patrjotyzmem i był bezwzględnym zwolennikiem walki z Rosją do ostatniej kropli krwi. A że miał przytem pomimo podeszłego wieku ognisty temperament, wywołał on na poufnej naradzie przedsejmowej w dniu 17 stycznia 1831 r. ostre starcie z Chłopickim, gdy ten zagroził podczas konferencji, że złoży dyktaturę, jeśli sejm wypowie się za prowadzeniem wojny z Rosją. Oświadczenie powyższe wywołało oburzenie Ledóchowskiego, który przemówił do Chłopickiego podniesionym głosem i w ostrym tonie. Na co Chłopicki, nie posiadając się z gniewu, zareagował w analogiczny sposób i przerwał konferencję, lżąc posłów.

Ledóchowski spowodował też uchwałę sejmu o detronizacji Mikołaja I w dniu 25 stycznia 1831 r., wbrew opozycji umiarkowanych i przeforsował postawiony w tym względzie wniosek przez posła Romana Sołtyka, przerywając debaty na ten temat okrzykiem: „niema Mikołaja!". W ten sposób bowiem sprowokował cały sejm, oburzony relacją posła Jezierskiego o pogróżkach cesarza Mikołaja, i przeforsował detronizację jego przez aklamację. Krok ten potępili jako niepolityczny na równi z posłami ze stronnictwa umiarkowanego i przedstawiciele klubu rewolucyjnego Lelewel i Mochnacki. Rozumie się, że tak nieprzejednane stanowisko w stosunku do Rosji miało jako bezpośredni skutek wyłączenie posła Ledóchowskiego od amnestji ogłoszonej po zlikwidowaniu powstania listopadowego i zmusiło go do ucieczki za granicę oraz naraziło go na konfiskatę dóbr Krzelowa w Jędrzejowskiem i Charsznicy w Miechowskiem.

Tu zaznaczyć należy, że sejm na pierwszem posiedzeniu swojem w dniu 18 grudnia wypowiedział się bez wszelkich zastrzeżeń za powstaniem, uznał je za dzieło narodowe i wyraził swoje uznanie tym, którzy je wywołali. Posłowie

nie tylko uchwalili przytem pokrycie z własnych funduszów wszelkich wydatków na utrzymanie izby, lecz złożyli pokaźne kwoty na prowadzenie wojny z Rosją, poczem solidaryzując się z życzeniem społeczeństwa sejm zatwierdził Chłopickiego na stanowisku dyktatora.

Na sejm ten posłowali z województwa Krakowskiego:

1) Ignacy hr. Komorowski z Nieznanowic z pow. Kieleckiego,
2) Jan hr. Ledóchowski z Krzelowa z pow. Jędrzejowskiego,
3) Henryk hr. Łubieński z pow. Miechowskiego,
4) Ludwik Dembiński z Gór z pow. Stopnickiego,
5) Wincenty Lebowski z Przemykowa z pow. Krakowskiego,
6) Józef Radoszewski z pow. Olkuskiego,
7) Michał Taszycki z pow. Pileckiego,
8) Kazimierz Bystrzonowski z Węgleszyna z pow. Lelowskiego,
9) Andrzej Walchnowski z pow. Szydłowskiego,
10) Józef Jastrzębski z pow. Kieleckiego,
11) Franciszek Borkiewicz ze Sławic z pow. Miechowskiego,
12) Walenty Zwierkowski z Białej z pow. Olkuskiego,
13) Jan Olrych Szaniecki ze Szreniawy z pow. Stopnickiego.

Zpośród nich Szaniecki zaznaczył się jako gorliwy zwolennik zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia włościan w czasie debatów sejmowych w dniu 28 marca 1831 roku. Pierwszy zabrał głos w tej sprawie poseł kozieniecki Andrzej Deskur i w gorącym przemówieniu wskazywał na konieczność uwłaszczenia włościan. Po nim przemawiał poseł konecki Roman Sołtyk, wykazując zasługi włościan na polu bitew w ostatniej walce o wolność ojczyzny. Trzecim z kolei przemawiał poseł Szaniecki, który złożył wniosek, dotyczący uwłaszczenia włościan w dobrach prywatnych i przemówienie swoje zakończył gorącym apelem do Izby i zaznaczył przytem, że kwestja uwłaszczenia włościan powinna być traktowaną nie tylko jako konieczność państwowa, zapewniająca ojczyźnie liczny zastęp obrońców, lecz wprost jako punkt honoru całego narodu.

Po ustąpieniu Jana Ledóchowskiego dowództwo gwardji ruchomej na województwo Krakowskie objął Henryk Dembiński, ziemianin powiatu Stopnickiego, kapitan 5 pułku jazdy wojsk Księstwa Warszawskiego. Przybył on do Kielc

w połowie grudnia z Miechowa, gdzie na stanowisku dowódzcy sił zbrojnych tego obwodu zdołał już wykazać energję i inicjatywę, wydając na własną rękę polecenie formowania jazdy ochotniczej w stosunku jednego jeźdźca z każdych 30 dymów i wyprzedził w ten sposób zarządzenie wydane w tym względzie w Warszawie, nakazujące wystawienie po jednym żołnierzu konnym z 50 dymów.

Na posterunku dowódzcy wojewódzkiego w Kielcach pracował on z nadzwyczajną energją. Działalność swoją na tym stanowisku zapoczątkował od poboru jednego bataljonu piechoty i jednego szwadronu jazdy w każdym obwodzie i akcję tą poprowadził tak sprężyście, że wysłał już w połowie stycznia następnego roku 2000 piechoty do Zamościa na dopełnienie tamtejszego garnizonu, a w dniu 27 stycznia miał już zebrany w komplecie pierwszy pułk ochotniczy jazdy województwa Krakowskiego, składający się z 8 szwadronów i wysłał go niebawem do Warszawy pod komendą podpułkownika Kajetana Rzuchowskiego. Do połowy zaś lutego zdołał skompletować dwa pułki piechoty z województwa Krakowskiego, a mianowicie pułk 9 pod dowództwem pułkownika Samuela Różyckiego i pułk 10 pod dowództwem pułkownika Spytka Jordana i poprowadził je osobiście do Warszawy, zakończając w ten sposób swoją działalność na terenie naszego województwa.

Pobytowi swojemu w Kielcach poświęca generał Dembiński kilka kart w pamiętnikach swoich, dotyczących walki o niepodległość w 1830 i 31 roku. Podkreśla on niejednokrotnie wysokie poczucie patrjotyczne wśród miejscowego społeczeństwa, zaznaczając, że i lud wiejski z ochotą zaciągał się do szeregów. Twierdzi przytem, że zapał ludności był tak szczery, bezwzględny i powszechny, że, pokładając w nim całkowite zaufanie, wysłał on pierwszą kolumnę ochotników do Zamościa bez wszelkiej eskorty i przekonał się, że nie tylko doszła w całości do miejsca przeznaczenia, nie dopuszczając się najmniejszych ekscesów podczas przemarszu, lecz że dzielnością swej postawy i animuszem zdołała ona oddziałać dodatnio na nastrój ludności tych okolic przez które przechodziła. Wspomina też generał Dembiński o tem, że i w Kielcach istniała filja zbrojnego klubu rewolucyjnego, zawiązanego w Warszawie pod nazwą Towarzystwa Patrjotycznego w dniu 1 grudnia przez Maurycego Mochnackiego, której członkowie zamierzali dokonać samosądu nad oficerem krakusów Bontanim, aresztowanym pod zarzutem ułatwienia ucieczki na Śląsk Lubowidzkiemu. Czemu Dembiński

zapobiegł, przenosząc Bontaniego z odwachu, w którym został osadzony do zamku Biskupiego, w którym sam zamieszkiwał.

Po wystąpieniu Dembińskiego z Kielc, organizatorem siły zbrojnej na województwa Krakowskie i Sandomierskie został generał Kazimierz Dziekoński, weteran W. P. Księstwa Warszawskiego. Za jego czasów założono w Kielcach obóz dla jeńców wojennych i przysłano na załogę 6 pułk strzelców pieszych. W drugiej połowie sierpnia zamieszkiwał w Kielcach przez krótki przeciąg czasu generał Skrzynecki po usunięciu go z wojska z rozkazu Krukowieckiego i wyjechał stąd do Krakowa po rozbiciu oddziału generała Różyckiego.

Aczkolwiek walki o niepodległość nie rozgrywały się ani w 1830, ani 1831 roku na terenie naszego województwa, mieszkańcy jego wzięli w nich czynny i liczny udział, występując przedewszystkiem w formacjach ochotniczych. Z formacji ochotniczych tego województwa zasłynęły przedewszystkiem pułki konne, znane powszechnie pod nazwą „Krakusów". Nazwę powyższą otrzymały tak z tego względu, że rekrutowały się wyłącznie z mieszkańców województwa Krakowskiego, jak i ze względu na strój, składający się z pąsowej rogatywki, obszytej czarnym barankiem, i krótkiej białej sukmany z czerwonymi wyłogami. Krakusi byli uzbrojeni w lance z czerwonymi chorągiewkami, pałasze i pistolety.

Województwo Krakowskie wystawiło dwa pułki krakusów w 1831 roku. Pierwszy z nich wystąpił z Kielc w końcu stycznia 1831 r. w komplecie, składającym się z 8 szwadronów, którymi w czasie wymarszu dowodzili: 1) Ludwik Bystrzonowski, 2) Erazm Różycki, 3) Michał Paprocki, 4) Michał Badeni, 5) Jan Hube, 6) Teodor Ścibor Marchocki, 7) Kazimierz hr. Łubieński i 8) Stanisław Leski. Adjutantami byli Mieszkowski i Nowowieyski. Lekarzem sztabowym był Roman Ignatowski. Komendę nad pułkiem objął podpułkownik Kajetan Rzuchowski w zastępstwie nieobecnego pułkownika Antoniego hr. Lanckorońskiego. Instruktorem pułku był kapitan Stanisław Estko z 1 pułku strzelców konnych.

Skład pułku był ściśle terytorjalny, cały szwadron bowiem rekrutował się w jednym obwodzie lub powiecie. Stąd więc szwadrony nosiły pierwotnie nazwę od miejscowości, z których pochodziły, a żołnierze i oficerowie byli sąsiadami. Gdyż do formacji ochotniczych w dobie powstania listopadowego zaciągali się jako prości szeregow-

cy ludzie wykształceni, mający za sobą i tradycje rodowe, wśród żołnierzy przeto tego pułku spotykamy Morsztynów, Popielów, Wielogłowskich, Chrzanowskich, Grabkowskich, Sierzputowskich, Konarzewskich i wielu innych.

Pierwszym dowódzcą szwadronu jędrzejowskiego był kapitan Michał Badeni, oficerami w tym szwadronie byli: Henryk Wielowieyski, Kwiryn Russocki, Romuald Dembowski, Edward Oraczewski, Adam Linowski, Hipolit Grabkowski, Franciszek Rzewuski i Wacław Popiel.

Pierwszy pułk krakusów skierowany został do Kozienic, gdzie wcielono go do grupy generała Juljana Sierawskiego, składającej się z dwóch bataljonów piechoty i jednej baterji, i wraz z tą grupą przeszedł pod komendę generała Dwernickiego.

Pod dowództwem przeto tego niezrównanego pod względem dzielności i talentów wojskowych generała, pod komendą którego jazda polska stała się najmężniejszym wojskiem na świecie, wedle twierdzenia Prądzyńskiego, pułk nasz zapoczątkował swoje występy na polu walki pod Nową Wsią w dniu 19 lutego. Pomiędzy Ryczywołem bowiem a Nową Wsią, idąc na czele kolumny pochodowej, poparty przez 3 szwadrony 1 pułku strzelców konnych, rozbił, pomimo ognia armatniego, przednią straż generała Kreutza, zdobywając po zaciętej walce baterję artylerji i biorąc do niewoli 158 jeńców, a w ich liczbie i dowódzcę tej baterji podpułkownika Butowicza, poniósł jednak przytem dotkliwe straty w zabitych i rannych. W potyczce tej ciężko ranieni byli porucznicy trzeciego (jędrzejowskiego) szwadronu tego pułku: Adam Linowski i Hipolit Grabkowski, usunięci przeto od udziału w późniejszych walkach tego pułku, zakończonych całym szeregiem świetnych szarż w potyczce pod Sochaczewem w dniu 15 sierpnia 1831 r.

Tu bowiem brygada generała Dłuskiego, składająca się z 1 pułku strzelców konnych i 1 pułku krakusów dotrzymywała długo placu 22 szwadronom regularnej jazdy rosyjskiej, atakującym ją pod dowództwem generała Nostitza, zanim wsparta przez 12 pułk piechoty, zdołała rozpędzić je na wszystkie strony. Pułk zaś krakusów pod komendą pułkownika Leskiego potykał się z wyborowemi pułkami jazdy nieprzyjacielskiej, huzarami gwardji i huzarami sumskimi i dał dowody wielkiej waleczności, pomimo, że sama walka do czasu nadejścia piechoty wydawała się beznadziejną, wobec znacznej przewagi po stronie nieprzyjaciela.

W walce tej odznaczyli się i udekorowani zostali krzyżami „Virtuti Militari" dowódzca pułku Stanisław Leski, major Bonawentura Bydłowski, kapitan Antoni Babski; porucznicy: Jan Kanty Łuniewski, Fortunat Rzewuski, Kwiryn Russocki, Józef Wąsowicz, Franciszek Wodzicki i Edward Oraczewski; podporucznicy: Piotr Dunikowski, Franciszek Helman, Ludwik Paczek i Józef Sawicki; podoficerowie: Remigjusz Sierzputowski, Adam Czernik, Antoni Konarzewki, Stanisław Berdulski, Eustachy Morsztyn, Eustachy Wielogłowski, Ildefons Łuczycki i Ignacy Kobylański; szeregowcy: Jakób Kmieć, Ignacy Egierski, Jan Sterkowski, Tomasz Jędruch, Wojciech Cissowski, Piotr Curlej, Jan Sroka, Szymon Nieciecki i Ludwik Popiel. Ogółem 35 krzyżów.

To był ostatni występ 1 pułku krakusów, uwieńczony pomyślnym rezultatem. Pułk ten zachował wprawdzie swoją dzielność do końca kampanji i stawał zawsze mężnie wobec nieprzyjaciela, tak podczas szturmu Warszawy, gdy w dniu 6 września dywizja Bogusławskiego i brygada Dłuskiego musiały odpierać natarcie czterech korpusów armji rosyjskiej, jak i w czasie odwrotu w dniu 5-tym października, kiedy krakusi pod komendą Dembińskiego, osłaniali wojska generała Rybińskiego, ustępujące do Prus, ostrzeliwując się do ostatniej chwili przed nadciągającymi kozakami, lecz tu już zwycięstwo było wykluczone. W korpusie Dwernickiego pułk krakusów przyjmował udział w dalszych zwycięskich walkach tego generała pod Kurowem i pod Markuszewem, w których rozbitą została brygada generała Kawera, zasłaniająca odwrót korpusu Kreutza. W tych bitwach odznaczyli się: dowódzca krakusów pułkownik Antoni Lanckoroński, kapitanowie: Stanisław Leski, Stanisław Łęcki i Pleszczyński, oraz porucznicy: Teofil Grabkowski, Jan Lanckoroński i otrzymali krzyże orderu „Virtuti Militari".

Po potyczce pod Markuszowem generał Dwernicki wykonał rozkaz Skrzyneckiego, redukując oddział ekspedycyjny na Wołyń do 1500 ludzi regularnej jazdy, i resztę swego korpusu odesłał od komendę generała Sierawskiego do dyspozycji naczelnego dowództwa armji. Nastąpiło z tego powodu przegrupowanie wojsk, przy których pułk jazdy krakowskiej, składający się początkowo z 8 szwadronów, został podzielony na części: Trzy szwadrony tego pułku pozostały wraz z pułkownikiem Lanckorońskim w oddziale Dwernickiego. Pierwszy szwadron pod dowództwem Ludwika Bystrzonowskiego przeznaczony został na straż

przyboczną dla naczelnego wodza. Pozostałe zaś 4 szwadrony zgrupowano w jeden pułk pod komendą Kajetana Ruchowskiego, awansowanego na pułkownika. Stanowisko podpułkownika objął Stanisław Leski. Do sztabu zaliczeni zostali majorowie: Bonawentura Bydłowski, Kazimierz Łubieński, Teodor Ścibor Marchocki i Michał Badeni, przyczem dwaj ostatni objęli komendę dywizjonów tego pułku; kapitan Erazm Różycki przeniesiony został do sztabu głównego. Adjutantem pozostał nadal porucznik Nowowieyski, lekarzem sztabowym Roman Ignatowski. Dowództwo szwadronów otrzymali: Michał Paprocki, Józef Goczałkowski, Henryk Wielowieyski i Jan Hube. Józef Goczałkowski wstąpił do pułku krakusów w randze kapitana, porzucając wojsko austrjackie, w którym był rotmistrzem kawalerji w czynnej służbie. Opuścił jednocześnie służbę w wojsku austrjackiem i brat jego Ksawery, major piechoty, i wstąpił w tej randze do 9 pułku linjowego wojsk polskich.

W szwadronie jędrzejowskim pod dowództwem Henryka Wielowieyskiego pozostali nadal oficerowie: Romuald Dembowski, Edward Oraczewski, Wacław Popiel, Kwiryn Russocki i Franciszek Rzewuski, przybyli w późniejszym okresie: Franciszek Chrzanowski, brat generała, awansowany z podoficera tegoż szwadronu, Adam Deboli i Franciszek Wodzicki, a w początku września powrócił do pułku i kapitan Erazm Różycki.

Zreformowany w ten sposób pułk jazdy krakowskiej pozostał w tym składzie do końca kampanji. Pułk ten pod nazwą I pułku krakusów został wcielony przy przegrupowaniu wojska w połowie marca do korpusu rezerwowego generała Ludwika Paca, przeznaczonego do operowania na tyłach armji rosyjskiej. Wycofany przeto z pod Markuszowa na lewy brzeg Wisły i włączony do korpusu generała Paca, przekroczył on powtórnie Wisłę wraz z całym korpusem w dniu 12 kwietnia pod Potyczą i zajął z nim pozycję pomiędzy Garwolinem a Latowiczami. Tu cała działalność korpusu Paca ograniczyła się narazie do obserwacji nieprzyjaciela.

Pułk krakusów przeniesiono po kilkutygodniowym wypoczynku w korpusie rezerwowym w końcu kwietnia do grupy bojowej, podążającej pod dowództwem generała Wojciecha Chrzanowskiego na pomoc generałowi Dwernickiemu. Samo wyznaczenie I pułku krakusów do tej ekspedycji było wielce zaszczytne dla niego, gdyż wskazywało na to, że zyskał on już dobrą reputację w wojsku.

Generał Chrzanowski bowiem, jak twierdzi Prądzyński sam dobierał sobie oddziały na tą wyprawę i wybór ten przeprowadził bardzo starannie, pragnąc utworzyć korpus wzorowy pod każdym względem. A że był on szefem sztabu głównego, posiadał przeto wszelkie dane, dotyczące działalności poszczególnych oddziałów i wartości ich bojowej. Z pułków jazdy wybrał on przeto I pułk strzelców konnych pod komendą pułkownika Karola Chmielewskiego i I pułk krakusów oraz jeden szwadron jazdy płockiej, który odesłał z Kocka z jeńcami, a na dowódzcę całej jazdy generała brygady Ambrożego Skarzyńskiego, którego Prądzyński nazywa jednym z bohaterów armji polskiej. Pierwszy pułk krakusów ujęty wtedy w jedną brygadę z I pułkiem strzelców konnych, pozostał w tym kompleksie do końca kampanji, mając po generale Skarzyńskim, generała Mamerta Dłuskiego za dowódzcę brygady. W ten sposób pułk nasz okazał się uczestnikiem tej wyprawy, należącej do lepszych epizodów kampanji 1831 roku. Wyprawa ta odbywała się w tak trudnych warunkach i poprowadzoną została tak umiejętnie, że pomimo przerwania jej na Hrubieszowie, wobec tego, że wskutek przejścia Dwernickiego do Galicji, stała się bezprzedmiotową, przynosi ona chlubę orężowi polskiemu. Generał zaś Chrzanowski zyskał wskutek tej ekspedycji opinję wybitnego taktyka w obydwóch wojujących armjach. Złożył on bowiem dowód umiejętnego wykorzystywania na polu walki niewielkich sił, jakimi rozporządzał w bitwach pod Firlejem i Lubartowem. Mając w swojej dyspozycji 6000 wojska, zdołał stawić skuteczny opór generałowi Kreutzowi, nacierającemu na czele korpusu, składającego się z 17000 żołnierzy, i, nie dając się osaczyć, zdołał utorować sobie drogę przez wojska rosyjskie, biorąc nawet w lasach pod Firlejem 580 jeńców, w czem 10 oficerów.

Niemniej zdumiewającym był i sam pochód, odbywający się z szybkością 7 do 10 mil dziennie, wśród walk z przednią strażą rosyjską. Ponieważ posterunki tej przedniej straży rozlokowane były po miastach, zajęcie przeto każdego miasta poprzedzała zazwyczaj potyczka z kwaterującym w nim oddziałem. Utarczki tego rodzaju rozpoczynały się pod miastem, a kończyły się w samem mieście. Dostarczały one okazji do popisu oddziałom jazdy, idącym w przedniej straży tego korpusu. A że służbę w awangardzie pełniły naprzemian obydwa dywizjony krakusów, przyczem na czele jej w I dywizjonie występował pierwszy szwadron pod komendą Michała Paprockiego, w II zaś dy-

wizjonie szwadron trzeci pod dowództwem Henryka Wielowieyskiego, obydwa te szwadrony atakowały zazwyczaj nieprzyjaciela i miały sposobność do wykazania swej dzielności.

Henrykowi Wielowieyskiemu przeto przypadło w udziale wyrugowanie kozaków z Kocka w dniu 7 maja 1831 roku, zmuszenie generała Tiemana do wycofania się w kierunku Kamionki i wzięcie przytem do niewoli posterunku w tym mieście, składającego się ze 158 ludzi, oraz przejęcie kurjera, podążającego od Rydygiera do Dybicza z wiadomością o wkroczeniu generała Dwernickiego do Galicji, wykonanie szarży na oddział kozaków pod Izbicą i usunięcie ich z tego miasta, i potyczka z jazdą rosyjską pod Starym Zamościem, gdzie miał do czynienia z awangardą Kreutza, połączoną z oddziałem generała Dawydowa, wykonanie szarży pod Hrubieszowem i stoczenie walki w samem mieście, podczas której otrzymał ranę. Szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mu wyratować z opresji majora Łubieńskiego w Kocku, w tym momencie, gdy pędzili ku niemu kozacy z wymierzonemi pikami. Michał zaś Paprocki zdobył w tym pochodzie obóz i kasę pułku kirasjerów ks. Alberta, rozbijając niedobitki tego pułku, powracające z pobojowiska pod Grochowem i wziął do niewoli dwa plutony dragonów rosyjskich, jeden pod Firlejem, drugi pod Izbicą podczas odwrotu z pod Hrubieszowa. Jeszcze w czasie pochodu w kierunku Hrubieszowa komendę nad brygadą jazdy objął po generale Skarzyńskim, delegowanym do obserwowania głównych sił rosyjskich, generał Mamert Dłuski, były dowódca I pułku kaliszan.

Pułk krakusów zyskał dużo na tej zmianie, gdyż generał Dłuski dbał bardzo o swoją brygadę, opiekował się troskliwie żołnierzami, a dla oficerów był uczynnym i koleżeńskim. Gdy generał Skarzyński był w stosunku do nich nie tylko surowy ale i wyniosły, trzymał się zawsze zdaleka i nie zajmował się wcale sprawami gospodarczymi swojej brygady, wkładając całą swą energję w utarczki z nieprzyjacielską kawalerją, w których zawsze przyjmował bezpośredni udział i występował z nadzwyczajną brawurą, mając więcej zakroju na bohatera niż na wodza.

Stosując się do zarządzeń naczelnego dowództwa, generał Chrzanowski zajął po wycofaniu się z Hrubieszowa pozycję pod Piaskami, wyczekując ataku Jankowskiego i Ramoryny na Rydygiera. Gdy atoli zorjentował się, że Rydygier ciągnie nie atakowany ku Lublinowi, a Kajzarow zbliża się z przeciwnej strony, cofnął się za Wisłę, przepra-

wiając się przez tą rzekę pod Gołębiem. Poczem, oddzielony rzeką od nieprzyjaciela, stanął obozem nad jej brzegiem, obserwując rosyjską armję i wyczekując dalszych rozkazów. Tu też nastąpiło rozdanie krzyżów, przyznanych za udział w wyprawie do Hrubieszowa.

W I pułku krakusów otrzymali krzyże orderu „Virtuti Militari": majorowie: Michał Badeni i Kazimierz Łubieński; dowódzcy szwadronów: Józef Goczałkowski, Michał Paprocki i Henryk Wielowieyski; podporucznicy: Karol Łabęcki, Ernest Kaden i Adolf Szwykowski; podoficerowie: Ignacy Bartosiewicz, Antoni Krauz, Adolf Liewin, Piotr Lisiecki, Franciszek Chrzanowski, Józef Czerny i Jan Wiszniewski; żołnierze: Franciszek Serwiński, Jan Śliwiński i Józef Śliwiński. Ogółem 18 krzyżów.

Pułk I krakusów wyruszył z pod Gołębia po postoju 10 dniowym na linję bojową pod Mińsk Mazowiecki i łącznie z I pułkiem strzelców przyjmował tu udział w walce generała Chrzanowskiego z Gołowinem pod Dembem Wielkiem w dniach 14 i 15 lipca 1831 roku, wykonał przytem szarżę na piechotę rosyjską, którą poprowadził osobiście generał Dłuski. Podczas szarży tej zostali zabici porucznicy Adolf Bobrowski z I szwadronu i Modest Rottermund z II szwadronu, porucznicy zaś III szwadronu Romuald Dembowski i Wacław Popiel odnieśli rany.

Za udział w wyprawie przeciw Gołowinowi otrzymali w I pułku krakusów krzyże: porucznicy: Adolf Bobrowski, Romuald Dembowski i Wacław Popiel; podoficer Rudzki i żołnierze: Dąbrowski, Dudek i Pluciński.

Z pod Kałuszyna cała brygada generała Dłuskiego, ścigając Rozena, doszła do Siedlec i tam została wcieloną do korpusu generała Jana Umińskiego. Skąd wycofano ją do Warszawy i odesłano na pozycję nad Bzurę pod Bolimów. Podczas postoju pod Bolimowem pułkownik Żuchowski, urażony propozycją, dotyczącą usunięcia z armji czynnej oficerów starszych wiekiem, podał się do dymisji; za jego przykładem poszedł i porucznik III szwadronu Franciszek Rzewuski. Dowództwo I pułku krakusów objął po Rzuchowskim podpułkownik Stanisław Leski, do III szwadronu zaś przybył na miejsce Rzewuskiego, Franciszek Wodzicki.

W połowie sierpnia brygada Dłuskiego została wycofana z Bolimowa do Warszawy. W powrotnej drodze stoczyła ona ostatnią zwycięzką walkę z wojskami rosyjskiemi pod Sochaczewem. Podczas szturmu Warszawy brygada generała Dłuskiego, pozostając pod rozkazami generała Dembińskiego, zajmowała posterunek na Czystem, to jest pozy-

cję, na którą skierowany był atak kilku korpusów armji rosyjskiej. Osłaniała ona w dniach 6 i 7 września artylerję konną tego korpusu, manewrując w szczerem polu pod ogniem artylerji nieprzyjacielskiej. Wykonała przytem w pierwszym dniu szturmu brawurową szarżę na brygadę grenadjerów Ludersa, podczas ataku kolumny piechoty, wysłanej w celu odebrania Woli Rosjanom. Szarża ta wywołała chwilowo takie zamięszanie w szeregach rosyjskich, że sam Paszkiewicz przypuszczał na razie, że ma do czynienia z całym korpusem Ramoriny i wysłał na pole walki całą gwardję. Poczem w ciągu tegoż dnia odpierała kolumny rosyjskie, dążące ku Warszawie od Woli, niedopuszczając ich do przedmieścia, a zmuszając do odwrotu ze znacznemi stratami. Pierwszy pułk krakusów przyjmował udział we wszystkich tych działaniach, był przez kilkanaście godzin pod ogniem artylerji i stracił 25% swego kompletu. Po kapitulacji Warszawy został on wycofany początkowo do Modlina, później do Płocka, a stamtąd przeszedł do Prus z wojskiem generała Rybińskiego, gdzie zmuszono go do złożenia broni.

Za udział w walkach przy obronie Warszawy udekorowani zostali krzyżami „Virtuti Militari": kapitanowie: Stefan Bakałowicz, Franciszek Kowalski i Erazm Różycki; porucznicy: Adam Kłossowski, Jan Roszkowski, Franciszek Rzewuski, Józef Włodarski, Stanisław Wielopolski, Roman Wielogłowski i Modest Rottermund, podporucznicy: Aleksander Puzowski, Kamil Siemoński, Władysław Wodzicki i Franciszek Wodzicki; sztabs lekarz Ignatowski Roman; żołnierz Bartłomiej Basza. Ogółem 15 krzyżów.

W pierwszym szwadronie tego pułku, przeznaczonym na straż przyboczną naczelnego wodza, odznaczyli się podczas kampanji w 1831 roku i otrzymali krzyże: major Ludwik Bystrzonowski; kapitanowie: Feliks Bystrzonowski, Ignacy Ciechawski, czy Ciechanowiecki i Aleksander Wodzicki; podporucznicy: Wiktor Osławski i Antoni Turski; podoficer Szymon Grabkowski; szeregowcy: Franciszek Chojnacki, Wincenty Sosnowski, Tadeusz Wiszniewski i Józef Zemułka.

Drugi pułk krakusów wyruszył z Kielc do czynnej armji w maju 1831 roku, w sile 1240 koni. Komendę nad nim objął Antoni Paszyc, oficer 7 pułku ułanów wojsk Księstwa Warszawskiego, udekorowany orderem legji honorowej za kampanję w 1813 roku, podpułkownik strzelców konnych gwardji za czasów ks. Konstantego. Zastępcą jego mianowany został Bazyli Lewiński, podporucznik pułku kraku-

sów w 1814 roku i kawaler legji honorowej, kapitan 2 pułku ułanów za czasów Królestwa Kongresowego, awansowany na majora w marcu 1831 roku za odznaczenie się w bitwie pod Stoczkiem, a w lipcu tegoż roku na podpułkownika. Do korpusu oficerskiego tego pułku należeli: majorowie: Jerzy Bułharyn, Karol Jaroszewicz, Ignacy Linowski, Konstanty Linowski, Ambroży Remiszewski, Tomasz Strzyżewski, Walenty Zwierkowski i Walery Wielogłowski; kapitanowie: Bouzereau de Bellemain, Jerzy Dobrycz, Antoni Lipowski, Karol Gostkowski; porucznicy: Górski, Marcin Remiszewski, Edmund Sylwester Rottermund, Karol Jaworski, Stanisław Słomczyński i Tyrbach, a także wielu innych, których nazwiska nie zostały uwiecznione w dokumentach. Księgi bowiem wojskowe, dotyczące formacji ochotniczych z 1830 r. nie istnieją. Przyjść przeto należy do wniosku, że zniszczone zostały przez władze rosyjskie, jeśli wogóle były zaprowadzane.

Wstępując na linję bojową w początku czerwca 1831 r. 2-gi pułk krakusów został przeznaczony do obsadzenia brzegów Narwi i Bugu od Serocka do Wyszkowa podczas wyprawy generała Jankowskiego przeciw Rydygierowi i oddany pod komendę generała Ambrożego Skarzyńskiego, dowódzcy grupy operującej w tym miejscu. Gdy atoli wyprawa ta nie doszła do skutku, generał Skarzyński zwinął swoje posterunki i cofnął się ze swoim oddziałem na Pragę. Tu grupa generała Skarzyńskiego została rozwiązana, a 2 pułk krakusów wcielony do dywizji generała Karola Turny, zaliczony został do 2 brygady tej dywizji, pozostającej pod komendą generała Adama Jaraczewskiego, byłego dowódzcy szwadronu 7 pułku szwoleżerów wojsk francuskich z czasów Napoleona, udekorowanego krzyżem oficerskim legji honorowej podczas kampanji w 1812 roku.

Pod dowództwem tego generała odbył pułk krakusów w miesiącu lipcu pochód z Modlina do Płońska i Płocka w pościgu za dywizją generału Gersztencwajga i był pierwszy raz w ogniu w potyczce pod Płońskiem, w której odznaczył się, przyjmując udział w rozbiciu pułku kozaków Atamańskich, zaliczonego do najlepszych pułków kawalerji rosyjskiej i przyjmował udział w potyczce pod Raciążem, podczas której generał Gersztencwajg wycofał się po nocy za rzekę uchodząc, przed wojskami polskiemi.

W potyczkach tych odznaczyli się i otrzymali ordery „Virtuti Militari": podpułkownik Bazyli Lewiński; majorowie: Konstanty Linowski, Tomasz Strzyżewski, Walenty Zwierkowski i Walenty Wielogłowski; kapitanowie: Bou-

zereau de Bellemain, Jerzy Dobrycz, Antoni Lipowski i Karol Gostkowski; porucznicy: Górski, Marcin Romiszewski, Edmund Rottermund, Stanisław Słomczyński, Tyrbach i Karol Jaworski; i żołnierze: Piotr Kosałkowski i Wincenty Rapczyński; oraz lekarz sztabowy: Kacper Chołod.

Z wyprawy tej pułk 2 krakusów powrócił w dniu 31 lipca i zajął wyznaczoną mu pozycję nad Bzurą, z której wraz z całym wojskiem powrócił do Warszawy w dniu 16 sierpnia i zajął wyznaczony mu posterunek pod Burakowem. Po 5-dniowym postoju od Burakowem wyruszył on w dniu 21 sierpnia w dywizji generała Turny, nad którą z powodu choroby jego objął komendę dowódzca I brygady Józef Miller, jako przednia straż korpusu generała Ramoriny w kierunku Karczewia i Wiązowny, a przeto w walkach przy obronie Warszawy udziału nie przyjmował.

Obydwa pułki piechoty, wystawione przez województwo Krakowskie, przeprowadził osobiście do Warszawy w dniu 25 lutego 1831 roku, to jest podczas bitwy pod Grochowem, komendant wojewódzki gwardji ruchomej, Henryk Dembiński.

Dowództwo nad 9 pułkiem objął początkowo Samuel Różycki, były oficer Legji Nadwiślańskiej za Napoleona, odznaczony za kampanję w Hiszpanji orderem Legji Honorowej i „Virtuti Militari". Zastępcą jego w randze podpułkownika został Jerzy Godlewski, oficer piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego, ozdobiony krzyżem kawalerskim „Virtuti Militari". Objął on dowództwo tego pułku, gdy pułkownik Różycki, awansowany na generała, mianowany został komendantem samodzielnej grupy, operującej w Sandomierskim. Po Godlewskim podpułkownikami zostali kolejno: Józef Kazimierz Sadowski, Antoni Siemoński, Józef Broniewski i Walenty Nowowiejski; majorami byli: Ignacy Bonar, Ksawery Goczałkowski, Tadeusz Lipski i Stanisław Pleśniarski. Z oficerów linji dokumenta wspominają poruczników: Bolesława Dymitrowicza, Kajetana Kielesińskiego i Wojciecha Piwowarskiego, a także kapelana pułku ks. Ignacego Trepkę, tudzież lekarzy: Karola Kraitzera i Wilhelma Schauffela.

Wymienieni oficerowie sztabowi rekrutowali się wszyscy, prócz Goczałkowskiego z dymisjonowanych kapitanów piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego. Tadeusz Lipski służył nawet w gwardji za Napoleona. Z nich otrzymali krzyże w czasie powstania listopadowego: Walenty Nowowiejski, jeszcze jako kapitan I pułku strzelców pieszych za

udział w zwycięzkich walkach generała Dwernickiego i porucznicy: Kielesiński i Piwowarski oraz lekarze tego pułku i kapelan za czasów pobytu swego w 9 pułku linjowym, zapewne za męstwo, okazane przy obronie szańca przedmostowego w Potyczy. Pułk ten bowiem żadnego udziału w wyprawach ani bitwach nie przyjmował, a do 12 kwietnia należał do garnizonu miasta Warszawy, a od 12 kwietnia wyznaczony został na załogę szańca przedmostowego w Potyczy i na posterunku tym pozostał do końca kampanji. Drugi natomiast pułk Kielecki, linjowy Nr. 10, występował dzielnie na polach bitew. Organizatorem tego pułku i pierwszym jego dowódzcą był Spytek Jordan z Jaronowic, potomek dawnej i zasłużonej krajowi krakowskiej rodziny Jordanów, która należała w XVI stuleciu do najbogatszych rodzin tego województwa i położyła wielkie zasługi dla ojczyzny, tak na polu walki z Tatarami i Rosją za panowania Jagiellonów, Batorego i Wazów, jak i w sprawie organizacji górnictwa a raczej salin Bochni i Wieliczki jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego. Doszedłszy do znacznej fortuny i potęgi wydała ona w ciągu XVI i XVII stuleci 7 senatorów (2 wojewodów i 5 kasztelanów), którzy fortunę swoją poświęcili na zaciągi wojsk w walce z Tatarami i Turkami i potomkom swoim nie pozostawili wiele więcej, prócz nazwiska, opromienionego sławą.

Dowódzca 10 pułku linjowego Spytek Jordan, syn Teodora i Ludwiki z Chwalibogów właściciel Jaronowic w powiecie Jędrzejowskim, zapoczątkował służbę swoją jako 22-letni młodzieniec w szeregach wojsk polskich, wstępując w 1809 roku do 15 pułku piechoty wojsk Ks. Warszawskiego w randze szeregowca, w którym awansował na podporucznika w 1811 roku, na porucznika zaś w 1812 roku, poczem 1813 roku przeniesiony został w randze kapitana do 2 pułku linjowego, z którego wyszedł do dymisji po utworzeniu Królestwa Kongresowego i osiadł na roli.

Po wybuchu powstania zgłosił się on do służby czynnej i został wyznaczony do kompletowania pułku piechoty, poczem otrzymał dowództwo jego wraz z rangą pułkownika. Na stanowisku tem pozostał do śmierci i zginął na polu walki w dniu 18 kwietnia 1831 roku pod Kazimierzem, prowadząc swój pułk do ataku.

Pierwszy zespół oficerski tego pułku stanowili: podpułkownik Franciszek Gawroński; majorowie: Ksawery Haczewski, Tomasz Świtkowski, Karol Kruszewski, Feliks Wyszpolski, Tadeusz Niski i Antoni Biernawski; kapitanowie: Ignacy Dębski i Antoni Gołębiowski; porucznicy: Se-

weryn Grodzicki, Felicjan Daniłowski, Daniel Rostkowski, Roch Rysiński i Józef Waszkiewicz.

W późniejszym okresie czasu przybyli z innych pułków w randze podpułkowników: Piotr Wysocki, organizator powstania listopadowego z adjutantury naczelnego wodza, Stanisław Jabłoński z 3 pułku strzelców pieszych, Mikołaj Radliński z 4 pułku linjowego, a także majorowie Ignacy Mieszkowski z 7 pułku linjowego i Mikołaj Potocki z 5 pułku piechoty.

Ponieważ pułk 10 piechoty stanął do dyspozycji naczelnej komendy po bitwie pod Grochowem, to jest w tym momencie, kiedy zachodziła potrzeba uzupełnienia wojska polskiego wobec strat, poniesionych w tej bitwie, a wynoszących 9000 ludzi, okazał się on wkrótce w szeregach armji czynnej na polu walki. W połowie bowiem marca nastąpiło już przegrupowanie, wywołane koniecznością zapełnienia luk powstałych w szeregach, przy którym 10 pułk piechoty został wcielony do samodzielnej grupy generała Juljana Sierawskiego, składającej się z 7 bataljonów piechoty, 11 szwadronów jazdy i 6 dział.

Ponieważ oddział ten był przeznaczony do strzeżenia górnego biegu rzeki Wisły od ujścia Wieprza do Zawichostu, generał Sierawski ograniczył przeto swoją działalność do obserwacji pomimo instrukcji, zalecającej mu szarpanie nieprzyjaciela wypadami na prawy brzeg Wisły. Gdy zaś naczelne dowództwo zaczęło nalegać by wystąpił bardziej agresywnie, przeprawił się z całym swoim oddziałem przez Wisłę w nocy z 13 na 14 kwietnia i podążył na spotkanie Kreutza ku Bełżycom. Gdy przekonał się, że korpus rosyjski zajmuje Bełżyce i dąży w jego kierunku, cofnął się ku wsi Wronowu, w której znalazł dogodną pozycję dla swojego oddziału i postanowił oczekiwać w tym miejscu Kreutza. Wyczekiwanie jego nie trwało zbyt długo, w nocy bowiem z 16 na 17 kwietnia nadciągnął Kreutz na czele oddziału, składającego się z 6 bataljonów, 24 szwadronów i 27 dział i w dniu 17 kwietnia rozpoczął od samego rana atak na pozycje polskie.

Polska piechota nie tylko dzielnie odpierała napady nieprzyjaciela, lecz i sama szła z niepospolitym animuszem do ataku. Pułki linjowe nowej formacji 10 i 11, będące tego dnia pierwszy raz w ogniu, nie ustępowały pod względem bitności bataljonowi piechoty z 2 pułku linjowego, składającemu się z weteranów. Sam generał Sierawski prowadził osobiście szarżę kawalerji i kolumny piechoty do ataku i zagrzewał wojsko swoje przykładem, pojawiając się

zawsze w miejscu, gdzie ogień artylerji dawał się najbardziej we znaki. Za jego przykładem poszli wszyscy dowódzcy oddziałów. Ale największe wysiłki wojsk polskich nie były w stanie zapewnić im powodzenia, wobec przygnębiającej wręcz przewagi artylerji i jazdy w oddziale Kreutza. Gdy przeto sytuacja okazała się niemożliwą do opanowania z tego powodu, generał Sierawski wycofał się o godzinie 4-tej popołudniu z pobojowiska.

Nie była to jednak ucieczka w popłochu, a prawidłowy odwrót, dokonany pod osłoną strzelców Małachowskiego.

W odwrocie tym oddział polski zatrzymał się po marszu, trwającym całą noc, pod Kazimierzem. Tu generał Sierawski przeprawił na lewy brzeg Wisły 4 armaty i jazdę, a sam ze swoją piechotą i dwoma armatami postanowił bronić się przed nadciągającą armją. Piechota wykonała kilka brawurowych ataków, w których zginęli: Juljan Małachowski i Spytek Jordan, prowadząc swoje oddziały na nieprzyjaciela. Poczem Sierawski zdołał się przebić ze swoim oddziałem przez wojsko nieprzyjacielskie, uprowadzając swoje ostatnie dwie armaty, i wycofał się ku Puławom, pozostawiając na obydwóch pobojowiskach 2000 ludzi w rannych i zabitych. W obydwóch tych bitwach pułk 10, poniósł tak dotkliwe straty, że wycofano go dla uzupełnienia do Warszawy. Za waleczność atoli, okazaną w obydwóch tych potyczkach, nie otrzymał żadnych odznaczeń. Naczelne dowództwo bowiem nie interesowało się przebiegiem samej walki na pobojowiskach wobec zakończenia jej porażką. Tego rodzaju przypuszczenie nasuwa fakt pozbawienia generała Sierawskiego, na skutek tych bitew, komendy nad oddziałem, pomimo, że na polu walki świetnie wywiązał się z zadania wodza i uratował całą swoją artylerję, uprowadzając z pod Kazimierza gros swego oddziału pomimo, że został osaczony przez nieprzyjaciela.

Dowództwo 10 pułku objął po Jordanie Piotr Wysocki, podpułkownik adjutantury naczelnego wodza.

Po wycofaniu z grupy generała Sierawskiego 10 pułk piechoty spędził cały miesiąc maj i początek czerwca w Warszawie na wypoczynku i kompletowaniu, poczem jeszcze w pierwszej połowie tego miesiąca, zespolony w jedną grupę z 23 pułkiem piechoty i drugim pułkiem krakusów pod komendą generała Ambrożego Skarzyńskiego, stał na pozycji nad brzegami Narwi i Bugu, zajmując odcinek od Zegrza do Pułtuska, podczas projektowanej wyprawy na Rydygiera. Odprowadzony po zwinięciu tego posterunku do stolicy, wcielony został w dniu 25 czerwca

do korpusu rezerwy generała Jana Umińskiego, będąc zaliczony do 2 brygady III dywizji piechoty Kazimierza Małachowskiego, pozostającej pod komendą generała Emiljana Węgierskiego.

W tej dywizji wyruszył 10 pułk piechoty pod komendą Naczelnego Wodza Skrzyneckiego, w dniu 8 lipca do Modlina, stamtąd zaś w końcu tegoż miesiąca, na pozycję nad Bzurę pod Paprotnię, skąd powrócił do Warszawy w dniu 16 sierpnia 1831 roku. Po powrocie do stolicy nastąpiło nowe przegrupowanie wojsk, przy którem 10 pułk linjowy złączony został w jedną brygadę z 4 pułkiem piechoty i 2 bataljonami weteranów, wcielony został do dywizji generała Ludwika Bogusławskiego, pozostając nadal pod komendą generała Węgierskiego.

Przy obronie Warszawy podczas szturmu, dywizja Bogusławskiego zajmowała posterunki zewnętrzne, pomiędzy Wolą a miastem i miała w swoim odcinku fort Wolski. Przy obronie tego fortu odznaczyły się w dniu 6 września trzy bataljony 10 pułku piechoty pod dowództwem majorów: Antoniego Biernawskiego, Karola Kruszewskiego i Tomasza Switkowskiego. Przyczem bataljony Biernawskiego i Switkowskiego walczyły w samym forcie Wolskim pod dowództwem Leonidasa Polskiego, generała Józefa Sowińskiego, bataljon zaś Kruszewskiego wykonał z własnej inicjatywy wypad na wojska rosyjskie w celu odbicia swego pułkownika Wysockiego, wziętego do niewoli przy zdobywaniu tego fortu.

Do obsady tego fortu należał początkowo jeden tylko bataljon tego pułku, łącznie z dwoma bataljonami 8 pułku piechoty, drugi zaś jego bataljon dodano nieco później, gdy załoga Woli, pozostająca przez kilka godzin pod ogniem 92 dział, ostrzeliwujących fort z odległości 400 kroków, poniosła olbrzymie straty w ludziach i była już zredukowaną do minimum. Przyprowadził go osobiście pułkownik Piotr Wysocki, w tym momencie właśnie, gdy piechota rosyjska wyruszyła już do szturmu na Wolę. Bataljon ten cofnął się na razie za drugą linję obronną pod naporem dwunastu bataljonów piechoty, atakujących jego pozycję i ułatwił w ten sposób szturmowej kolumnie wejście do fortu. Tu atoli obydwa bataljony tego pułku pod komendą majorów Biernawskiego i Switkowskiego stawiły tak zacięty opór, że zmusiły piechotę nieprzyjacielską do ucieczki. Przypuściła ona jednakże wkrótce powtórny szturm w zdwojonej masie od strony szosy, któremu już załoga fortu, nie otrzymująca pomocy zzewnątrz, nie zdoła-

ła oprzeć się pomimo, że majorowie Biernawski i Switkowski bronili się rozpaczliwie na wyłomie ze szczątkami 4 bataljonów 8 i 10 pułków. W ten sposób padł fort Wolski po czterogodzinnej zaciętej walce, w której 26 bataljonów rosyjskich występowało przeciwko 4 bataljonom polskim.

Przy zdobywaniu Woli, generał Sowiński padł przeszyty bagnetem, gdy odpowiedział wystrzałem na propozycję złożenia broni. Piotr Wysocki otrzymał ranę i został wzięty do niewoli. Gdy wieść o tem, że dowódzca 10 pułku jest w niewoli, dostała się do drugiego bataljonu tego pułku, stojącego w odwodzie, zwrócił się on niezwłocznie do generała Małachowskiego z prośbą o pozwolenie pójścia mu z pomocą i po otrzymaniu zezwolenia wyruszył pod dowództwem majora Karola Kruszewskiego w kierunku fortu Wolskiego, na czele kolumny, do której kenerał Bogusławski dodał dwa bataljony 4 pułku linjowego i cały 5 pułk strzelców pieszych. Kolumna ta atoli nie zdołała dojść do Woli, na spotkanie jej bowiem wystąpił ks. Szachowski na czele kilku pułków piechoty i po zaciętej walce, trwającej godzinę czasu, zmusił ją do odwrotu na Czyste. W krótkiej potyczce tej oddział polski stracił kilkuset ludzi; ciężką ranę otrzymał i major Karol Kruszewski, któremu pocisk armatni oderwał nogę.

W dniu 7 września ostatni bataljon 10 pułku, który ocalał po pogromie Woli, aczkolwiek mocno przetrzebiony podczas wspomnianej utarczki pod Wolą, przyjmował czynny udział w obronie cmentarza ewangielickiego pod dowództwem generała Węgierskiego, nie ustępując pod względem waleczności 4 pułkowi piechoty, który tak wsławił się przy bohaterskiej obronie tego cmentarza.

Za dzielność i waleczność, okazaną w walkach przy obronie Warszawy, otrzymali krzyże wojskowe „Virtuti Militari": majorowie 10 pułku piechoty: Antoni Biernawski, Karol Kruszewski, Ignacy Mieszkowski i Feliks Wyszpolski; kapitanowie: Ignacy Dębski, Antoni Gołębiowski i Mikołaj Potocki; porucznicy: Seweryn Grodzicki, Józef Kurowski, Daniel Rostkowski, Roch Rysiński i Józef Waszkiewicz; podporucznik Felicjan Daniłowski; podchorąży Ludwik Solecki; podoficerowie: Leon Biernawski, Józef Chudzikiewicz, Wojciech Kossoń, Leon Kozierowski, Jan Kozłowski, Michał Kubiński, Józef Kulczycki, Stanisław Rutkowski, Józef Solecki i Aleksander Rogowski; szeregowcy: Franciszek Baranowski, Józef Cholewka, Jakób Markowski i Szczepan Niewiadomski; tambor major Karol

Lewandowicz; felczer Józefa Kulczycka. Ogółem 29 krzyżów.

Pomimo, że pułki krakowskie wykazały wiele męstwa i wytrwałości w walce z nieprzyjacielem i utrzymały w ten sposób tradycję o niezrównanej dzielności krakowiaków, nie zdołały one wysunąć się na pierwszy plan na widowni działań wojennych, ani zwrócić na siebie uwagi szerszego ogółu. Występowały one bowiem wyłącznie w samodzielnych grupach. Te zaś operowały zdala od głównej armji na tyłach nieprzyjacielskich wojsk i nie przyjmowały udziału w walnych bitwach, absorbujących całkowicie uwagę społeczeństwa.

A że były one wyłącznie jednostkami bojowemi, o sile nie przekraczającej 6000 ludzi i artylerji, składającej się z 6 dział, nie mogły przeto prowadzić we własnym zakresie ani akcji zaczepnej o szerszym zakroju, ani odnosić zwycięstw, decydujących o losach wojny. Walki ich przeto, odbywające się na terenie województwa Lubelskiego, były tak nikłymi epizodami, wobec doniosłych wydarzeń, rozgrywających się na polach bitew pod Warszawą, że szerszy ogół nie zwracał na nie wcale uwagi i nie interesował się ich przebiegiem.

Znalazły one wprawdzie należytą ocenę u historjografów tej wojny generałów Kołaczkowskiego i Prądzyńskiego, analizujących wszystkie jej detale, w sposób fachowy, nie zdołały jednakże zapewnić oddziałom, które odznaczyły się w tych walkach, należnego im uznania u społeczeństwa.

Widzimy przeto, że aureola sławy, opromieniająca 4 pułk piechoty, pogrąża poniekąd w ciemnościach pułk 10 linjowy, współzawodniczący z nim na pobojowiskach pod Wolą. Ustępy bowiem, dotyczące obrony Warszawy w czasie jej zdobywania, zawierają obszerne wzmianki o udziale 2 bataljonów 4 pułku linjowego w kolumnie, wysłanej na odebranie Woli, i zaciętej walce, jaka z tego powodu wynikła, nie wspominają natomiast wcale o tem, że inicjatywę tego ataku podjął 10 pułk, zredukowany do jednego bataljonu, po dzielnej obronie Woli, przy której padły dwa jego bataljony, że pułk ten zgłosił się do tego ataku na ochotnika i poprowadził całą kolumnę szturmową, gdy 4 pułk wyznaczony został do niej przez naczelnego wodza, co stwierdza kategorycznie generał Kołaczkowski. Relacje o dalszym przebiegu walki omawiają obszernie bohaterską obronę cmentarza ewangielickiego w dniu 7 września, uwydatniają należycie waleczność i wytrwałość, wy-

kazaną przez wojska polskie przy obronie tej placówki, i podkreślają świetny udział w niej 4 pułku piechoty, który dał w tym dniu dowody niezrównanego męstwa. Nie znajdujemy natomiast w nich wcale wzmianki o udziale 10 pułku w obronie tego cmentarza, a wiadomość o tym fakcie czerpiemy jedynie z monografji Pułku Czwartego, skreślonej przez Karola Rzepeckiego. W monografji tej czytamy: „W homerycznej tej walce (na cmentarzu ewangielickim) brały udział pułki: 4-ty, 8-my, 5-ty strzelców, 2-gi linjowy i 10-ty linjowy, co prawda tylko poszczególnymi bataljonami za wyjątkiem 4-tego pułku".

Pułk 10 linjowy, jak wszystkie pułki nowej kreacji, składał się tylko z 3 bataljonów, a że dwa bataljony, I i III, stracił przy obronie Woli, pozostał mu przeto tylko II bataljon, który uczestniczył w obronie cmentarza ewangielickiego przy wolskich rogatkach.

Udział swój w powstaniu listopadowem przypłaciło wielu mieszkańców naszego województwa konfiskatą majątków.

Skonfiskowane zostały dobra:

1) Ludwika Bystrzonowskiego: Bebelno, Boczkowice, Dąbie i Śladków,
2) Mieczysława Darowskiego: Niezwojowice,
3) Henryka Dembińskiego: Pełczyska i Sędziejowice,
4) Wincentego Dobieckiego: Pęczelice,
5) Stanisława Leskiego: Janów, Potok, Żóraw, Lipnik i Zalesie,
6) Jana hr. Ledóchowskiego: Krzelów i Charsznica,
7) Maleszewskich: Bełk,
8) Samuela Różyckiego: Żórawniki,
9) Aleksandra Różyckiego: Żabiec,
10) Kazimierza Sadowskiego: Śieborowice i Pielgrzymowice,
11) Konstantego Wolickiego: Ojców, Szklary i Kwaśniów
12) Jana Olrycha Szanieckiego: Szreniawa,
13) Józefa Załuskiego: Zborów, Zagrody, Grabki, Głuchów i Kargów,
14) Walentego Zwierkowskiego: Biała Wielka.

WACŁAW JASKŁOWSKI

Mnichów, 29 listopada 1930 r.

PIERWSZE GIMNAZJUM HUMANISTYCZNE W POLSCE

(GIMNAZJUM PIŃCZOWSKIE W W. XVI)

Nikt, kto zna Pińczów dzisiejszy, nie przypuściłby, że narcyskromna ta mieścina mogła odegrać w przeszłości przodującą, czasami zaś decydującą rolę w szesnastowiecznym naszym ruchu umysłowym, związanym z posiewem humanizmu i reformacji na ziemi polskiej. Bardzo skromny żywot prowadziły sąsiadujące z Pińczowem Kielce trzysta lat z okładem temu, gdy Pińczów kipiał i wrzał bujnem życiem renesansu polskiego.

Łatwo da się wytłumaczyć przyczyna różnic w temperamencie umysłowym obu tych miejscowości, związanych zarówno w przeszłości jak i w teraźniejszości wspólnemi węzłami administracyjnemi województw: w XVI w. — sandomierskiego [1]), dziś — kieleckiego, nietylko zresztą administracyjnemi. Działały tu bliskość, względnie oddalenie od Krakowa, skąd promieniują na okolicę wpływy renesansowe. Nie bez znaczenie jest położenie Pińczowa w żyznej, bogatej ziemi, będącej siedliskiem zamożnej i szeroko rozrodzonej szlachty małopolskiej, spokojnej o byt codzienny, a więc mającej czas na zajęcia i zainteresowania umysłowe. O ileż skromniej pod temi względami przedstawia się położenie Kielc!

Rozważania powyższe, posiadające nieco dygresyjny charakter w artykule niniejszym, podyktowane zostały, jak czytelnik łacno spostrzec może, troską kielczanina, dbałego o sławę i honor grodu swojego nietylko w teraźniejszości, lecz i w przeszłości, i dlatego znajdą może usprawiedliwienie w oczach niejednego z kielczan, żywiącego te same, co i autor niniejszego uczucia w stosunku do ściślejszej swej ojczyzny.

Wracam ad rem.

Mikołaj Oleśnicki, pan na Pińczowie, pochodzący ze sławnego rodu Oleśnickich herbu Dębno, przygarnął u siebie przybysza włoskiego Franciszka Stankara, męża uczo-

---

[1]) Gloger. Geografja historyczna ziem dawnej Polski. Kraków 1900, str. 187, 188.

nego, biegłego w łacinie, grece i hebrajszczyźnie (t. z. vir trium linguarum, ceniony dlatego w epoce Erazma z Rotterdamu), który rychło wzniecił w Małopolsce spory teorją swą „de mediatore Christo". Wyrugowany z profesury krakowskiej, ścigany przez biskupa krakowskiego Samuela Maciejowskiego i zamknięty przezeń w zamku lipowieckim, po romantycznej ucieczce z więzienia znalazł schronienie u Oleśnickiego. Nie bez wpływu gościa stało się, iż Oleśnicki poważył się na czyn śmiały, wypędzając z Pińczowa paulinów i zaprowadzając tam nabożeństwo ewangelickie w r. 1550 [2]). Był to pierwszy wypadek w Polsce otwartego zerwania z Kościołem, panującym w kraju, to też autor protokółów synodów kalwińskich w Małopolsce z triumfem zaznacza, iż „w roku 1550 światło ewangelji Jezusa Chrystusa zajaśniało publicznie w Polsce" [3]). Faktem jest, że za przykładem zuchwałego Oleśnickiego poszedł dziedzic wsi Niedźwiedzia pod Słomnikami w Miechowskiem Stadnicki, głośny później w dziejach reformacji Hieronim Filipowski z Chrzcięcic w Jędrzejowskiem i in. Liczba gmin protestanckich wzrosła do tego stopnia, iż tegoż roku 1550 odbył się pierwszy synod małopolskich protestantów w Pińczowie w miesiącu październiku.

Wśród uczestników tego zjazdu widzimy niejakiego Grzegorza Orsatiusa, który sprawował obowiązki nauczyciela szkoły pińczowskiej [1]), która się mieściła w budynku po-paulińskim na Mirowie, przedmieściu dzisiejszem Pińczowa. Widzimy więc, że małopolski Kościół protestancki zwrócił uwagę na organizację własnego szkolnictwa odrazu, od początku swego istnienia, powierzając ją Orsatiusowi, na którego też barki spadł ciężki obowiązek prowadzenia szkoły pińczowskiej. Piszę ciężki, gdyż Orsatius począł rychło gorliwie zabiegać o to, aby go mógł podzielić z kimś drugim, jeżeli już odrzucimy przypuszczenie, że Orsatiusowi chodziło o możliwie eleganckie wycofanie się z zaszczytnego, lecz kłopotliwego zadania prowadzenia szkoły. A był to przecież człowiek wykształcony, energją i ogładą umysłową górujący nad całem swem otoczeniem małopolskiem. O tem wiemy dobrze choćby z roli, jaką Orsatius odegrał w dziele tłumaczenia biblji na język polski, wymagającem i erudycji i inteligencji. Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę dzieje organizacji późniejszej szkoły ra-

[2]) St. Lubieniecki. Historia reformationis polonicae. Freistadii 1685 str. 30, 31.
[3]) Dalton. Lasciana 1898, str. 396.
[1]) Dalton. Cit. op. str. 397.

kowskiej, gdzie szereg wybitnych uczonych kolejno rezygnuje z powierzanego im rektoratu skoro zapróbowali przez czas pewien nauczycielstwa, nieodparcie ciśnie się wniosek, że rychłą rezygnację Orsatiusa przypisać należy trudnościom sprawowanego urzędu i zawodu. To też na synodzie pińczowskim 29 kwietnia 1556 r. zaklina on obecnych, aby się zajęto poważnie szkołą pińczowską, ofiarując jednocześnie swe służby na polu organizacji Kościoła [2]. Prośbę jego pozostawiono bez odpowiedzi: nikt się widać nie kwapił do szkoły, zresztą nie posiadano odpowiedniego kandydata.

Ponieważ Orsatius nie ustawał w zabiegach pozyskania pomocnika, postanowiono sprowadzić go z zagranicy. W sprawie tej okazał się pomocnym Franciszek Lismanino, były spowiednik królowej Bony i były prowincjał franciszkanów w Polsce, który przebywał podówczas zagranicą, przeszedłszy na stronę reformacji. Korzystając z pośrednictwa Lismanina, superintendent małopolski Feliks Krzyżak Cruciger pisze z Pińczowa listy do rady miejskiej i duchownych w Zurychu z prośbą o przysłanie do Pińczowa Sebastjana Guldibecka, nauczyciela miejskiej szkoły w Zurychu [3]. Guldibeck jednak do Pińczowa nie przybył, gdyż wyrok banicji, wydany na Lismanina, który przybył do Polski, aby objąć obok Feliksa Krzyżaka stanowisko superintendenta małopolskiego, przeraził zarówno jego jak i zuryszan. To też zjazd ministrów w Iwanowicach [4] postanowił wszcząć starania u szlachty protestanckiej o ufundowanie szkoły publicznej.

Lismanin tymczasem, przebywający w ukryciu we wsi Aleksandrowicach pod Krakowem, należącej do St. Iwana Karnińskiego, wszczął na własną rękę starania celem sprowadzenia nauczyciela z zagranicy. Starania te zostały uwieńczone lepszym rezultatem, niż starania duchownych małopolskich. Na jego prośbę, skierowaną do Kalwina, i popartą sumą 32 złotych na koszty podróży adepta pedagogji, wysłano do Polski znajomego z Genewy Lismanina Piotra Statorjusza, który po uciążliwej paromiesięcznej podróży, odbytej w znacznej części pieszo, dotarł na jesieni 1556 r. do Pińczowa i objął obowiązki nauczyciela

---

[2]) Dalton op. cit. str. 421.

[3]) Wotschke. Der Briefwechsel des Schweizer mit den Polen 1908. str. 49.

[4]) Iwanowice pod rz. Dłubnią, w odległości 7 kilom. od Słomnik, należały podówczas do Mikołaja i Agnieszki Dłuskich, gorących zwolenników reformy kalwińskiej.

w szkole tamtejszej. Już jednak w maju r. 1557 Statorjusz wybiera się w drogę powrotną, rzekomo do Niemiec celem poratowania zdrowia.

Istotną przyczyną nagłego jego wyjazdu było nędzne uposażenie nauczyciela, wynoszące 10 złotych, o czem z oburzeniem zresztą mówią zjazdy ministrów, bezradne jednak wobec własnych trudności finansowych. Tajemnicę pensyj głodowych nauczycieli pińczowskich wyjaśnia całkowicie zachowanie się patrona zboru pińczowskiego Oleśnickiego, który zagarnął dla siebie dochody z dziesięcin, przeznaczone na utrzymanie kościoła i szkoły. Zebranie ministrów w Pełsznicy, w pow. proszowskim, stojąc przed grozą utraty Statorjusza, a chcąc go w kraju zatrzymać, zagwarantowało mu pensję ośmiokrotnie większą z funduszów kościelnych, postanawiając jednocześnie pociągnąć do opłaty wpisowego rodziców uczniów pińczowskich i prócz tego udzielono Statorjuszowi zasiłku na podróż i na kurację w sumie 48 złotych, zobowiązując go do powrotu do Pińczowa [1]. Charakterystycznem jest, że synod wodzisławski, który się zebrał w miesiąc po synodzie pełsznickim, postanowił ściągnąć sumę, wydaną na Statorjusza, od nauczycieli pińczowskich, jego kolegów. Ponowiono jednocześnie żądanie ściągania na utrzymanie nauczycieli wpisowego od uczniów [2]. Sprawa ta została ostatecznie rozstrzygnięta postanowieniem synodu pińczowskiego z dn. 10 VIII 1557 r., na którym zapadła uchwała, ustalająca wpisowe na 12 groszy kwartalnie od ucznia.

Nierozstrzygnięcie sprawy wpisowego przez dwa poprzednie synody tłumaczy się oporem samych nauczycieli, na których wymuszono wkońcu zgodę na tę formę załatwienie materjalnych podstaw istnienia szkoły [3]. Biedacy, uzależnieni obecnie od normalnego przypływu pieniędzy z opłat rodzicielskich, niebardzo widać ufali w solidność płatniczą swoich dłużników. Przewidywania ich miały się rychło sprawdzić. Już na synodzie w Książu z dn. 26. VII. 1558 r. słyszymy skargi szkoły pińczowskiej, których załatwienie odłożono jednak do przyszłego synodu generalnego. (Synod ten ciekawy jest z tego względu, iż brał w nim udział Mikołaj Rej) [4]. Tymczasem położenie szkoły pińczowskiej pogorszyło się do tego stopnia, iż synod wodzisławski na posiedzeniu w dniu 9. IX. 1558 zamyśla o stworzeniu jakiejś nowej szkoły i ustala nowe podstawy jej

---

[1] Lasciana. str. 431. [2] Lasciana str. 433, 434. [3] Lasciana str. 437. [4] Lasciana str. 450. [5] Lasciana str. 458.

istnienia, zaniechawszy poprzednio już ustaloną zasadę pobierania wpisowego. Postanowiono mianowicie stworzyć kasę ogólną (bursa communis seu mons pietatis), na którą miały się złożyć datki ludzi bogatych, o których szczodrobliwość synod uprasza, następnie zaś sumy z kolekt kościelnych, któremi zająć się mieli ministrowie zborów, apelując do uczucia wiernych a nawet ich własnych interesów, „pobożność bowiem wogóle jest nader pożyteczna, bo daje obietnice szczęścia w życiu obecnem i przyszłem“ [5]).

Jak widać z powyższego, nowożytna zasada oparcia bytu szkoły o stałe dochody, nie wytrzymawszy próby życia, musiała być zaniechaną, a została zaniechaną dlatego, iż społeczeństwo, które miało pieniądze na kosztowne wojaże swoich synów zagranicą, niekoniecznie spędzających czas na nauce, nie znalazło tych pieniędzy na podtrzymanie własnej szkoły i jej nauczycieli, o byt których zabiegają jednostki światlejsze. Byt tej szkoły uzależnić musiano od dobroczynności publicznej. Wymowa faktów jest wyraźna.

W świetle tych faktów psychika ówczesnego społeczeństwa rysuje się nader ujemnie. Dla przykładu zacytować można wyżej wspomnianego Oleśnickiego. Historyk reformacji [1]) nazywa go „mężem wspaniałomyślnym i zaiste nieporównanym bohaterem chrześcijaństwa“. W istocie zaś nieporównana zaiste musiała być chciwość owego „bohatera chrześcijaństwa“, bez skrupułu zgarniającego do własnej kieszeni dochody kościelne i szkolne i podrywającego w ten sposób istnienie młodego kościoła kalwińskiego, za co go w słowach, pełnych goryczy i bólu, strofuje Jan Łaski na zebraniach synodalnych. Takim był również drugi promotor protestantyzmu w Małopolsce Stan. Stadnicki z Niedźwiedzia, takimi byli inni. Kronika życia religijnego w Małopolsce mówi wprost o „licznych bardzo skandalach, wynikających z grabieży dóbr kościelnych“ [2]).

W tych warunkach mowy być nie mogło o normalnym rozwoju szkolnictwa różnowierczego, uzależnionego przecież od zasobów zborów różnowiernych. Że podobnie działo się nietylko w Małopolsce, lecz i w całej Polsce, nietylko w szkolnictwie kalwińskiem, lecz wogóle w szkolnictwie polskiem, świadczy współczesny głos Andrzeja Frycza Modrzewskiego w obronie szkoły i nauczyciela: „Nigdy okrom osobliwego gryzienia na ten nieporządek patrzeć nie mogę, gdyż widzę ano mistrze szkolne prawie za nic nie

---

[1]) Lubieniecki op. cit. str. 50.
[2]) Lasciana str. 455.

mają, któreby jednak w tej uczciwości winni mieć, jako lekarze, prawniki i insze Rzeczypospolitej dobrze zasłużone: nie mniejszą pracę ma nauczyciel szkolny, niźli który z tych, pożytek z nich równy albo więtszy; a jeśli bez tych Rzeczpospolita nie może być, a jakoż bez onych ludzi, z których wiele barzo pożytków do Rzeczypospolitej i do Zboru przychodzi"[3]. Zlekceważenie nauczyciela świadczy o zlekceważeniu wogóle szkolnictwa. Pomimo ciężkich przejść, o których była wyżej mowa, szkoła pińczowska utrzymała się przy życiu. Statorjusz wytrwał na stanowisku i nietylko nie myślał o dezercji, lecz ściągnął do Pińczowa w r. 1558 nowego kolegę; był nim Franciszek Tenaudus (Thénaud), również Francuz z pochodzenia, dawny nauczyciel młodych Dłuskich z Iwanowic, z czasów ich pobytu w Zurychu. Prócz nich uczy w szkole po staremu Orsatius, będący rektorem szkoły pińczowskiej.

Ten jednak troskę o szkołę coraz to więcej pozostawia Francuzom, udzielając się więcej życiu zborowemu. Rychło bo w r. 1558 nałożono na nauczycieli pińczowskich nowy obowiązek i to wielki — przekładu biblji na język polski Orsatius wziął do serca sprawę, a nie mogąc sam podołać ogromowi zadania, począł nalegać na swoich kolegów, by mu pomagali w przekładzie. Niewielką musiała być ta pomoc, jeżeli zważymy okoliczność, że Statorjusz niespełna dwa lata spędził w Polsce, a Tenaudus dopiero co do niej przybył. Sam zresztą Statorjusz stwierdza, że podówczas jeszcze mówić poprawnie nie umiał po polsku. Jedynym realnym dla szkoły pińczowskiej rezultatem imprezy przekładowej, która się jednak dokonała w Pińczowie[1], było to, że Orsatius cały ciężar prowadzenia szkoły pińczowskiej musiał zwalić na barki Statorjusza, który odtąd kieruje szkołą, choć oficjalnie rektorem jej został dopiero w r. 1561. Trzeba przyznać, że zwrot w życiu szkoły, o którym mowa, poszedł na jej dobro. Statorjusz postanowił oprzeć organizację szkoły na trwałych i ściśle sprecyzowanych zasadach dydaktycznych, które opracował w r. 1558[2] i wydał na żądanie starszyzny zborowej drukiem[3].

---

[3] O naprawie Rzeczypospolitej. O szkołach. 1559.

[1] Jest to tz. Biblja Brzeska lub Radziwiłłowska, wydana w r. 1563 przez Mikołaja Radziwiłła Czarnego. W przekładzie wziął udział prócz osób wymienionych Jan Łaski, Franciszek Stankar, Andrzej Trzeneski, Lubelczyk i in. Przekład został prawie całkowicie opracowany w Pińczowie. Korbut. Literatura polska t. I. str. 335.

[2] Kot. Reformacja w Polsce I. str. 19.

[3] Gymnasii Pinczoviensis institutio, wyd. Karbowiak w „Archiwum do dziejów oświatv" XIII.

Początkujący protestantyzm polski w Małopolsce w organizacji swej i dogmatyce oparł się na wzorach szwajcarskich. Ze Szwajcarją kalwini małopolscy utrzymują ożywione stosunki, jak na to wskazuje korespondencja, wydana przez Wotschke'go. Stosunkom teologów małopolskich ze szwajcarskimi przypisać należy również sam fakt zaopatrzenia szkoły pińczowskiej w nauczycieli, kształconych w szwajcarskich szkołach kalwińskich, przedewszystkiem Statorjusza, który wykształcenie swoje zdobył w kolegjum lozańskiem. Kolegjum to w czasie, gdy Statorjusz był jego uczniem, przeżywało okres świetnego rozwoju pod kierunkiem Mathurina Cordiera, wybitnego pedagoga francuskiego i innych nauczycieli, emigrantów religijnych z Francji, między którymi znajdujemy nazwisko uczonego hellenisty a rychło wybitnego przedstawiciela i kierownika kościoła kalwińskiego w Genewie — Teodora Bezy. Nic też dziwnego, że Statorjusz, zmuszony okolicznościami do wypracowania programu gimnazjum pińczowskiego, program ten oparł na wzorach szkoły, uznanej zagranicą za doskonałą, w dodatku szkoły, w której się sam uczył i której organizację naukową oraz administrację dzięki temu mógł dobrze poznać.

Temi okolicznościami tłumaczy się świeżość i nowość na gruncie polskim poczynań pedagogicznych Statorjusza, wyłożonych przez niego w „Gymnasii Pinczoviensis institutio" i realizowanych praktycznie w szkole pińczowskiej. Sam zresztą Statorjusz nie ukrywa wcale zależności swej od obcych pierwowzorów i w przedmowie do swej rozprawy lojalnie stwierdza: „Aby mnie kto nie uważał za tak nieuczciwego, żebym chciał niewdzięcznem milczeniem pomijać tych, dzięki pracy których sam tu rozwinąłem, postępy młodzieży polskiej pod moją opieką poczytuję za zasługę wybitnych przywódców ruchu naukowego, wykładających tak we Francji, jak w Germanji, ja bowiem w pełnem uszanowaniu i nabożnej zazdrości współzawodnictwie tamtejsze przesławne szkoły naśladować usiłowałem". Usiłował zaś naśladować swych profesorów lozańskich i organizację gimnazjum lozańskiego przedewszystkiem, przystosowując oczywiście obce wzory do potrzeb polskich. Z potrzeb tych wynikło, że gimnazjum pińczowskie liczyło wobec siedmiu klas lozańskich tylko cztery klasy z czterema nauczycielami. Zakres nauki poszczególnych przedmiotów zarówno jak liczba tych przedmiotów, jak z powyższego wynika, musiały być mniejsze. Inaczej mówiąc, gimnazjum

pińczowskie w stosunku do lozańskiego różniło się; jeżeli chodzi o materjalne cele nauczania.

Całkowitą zgodność odnajdujemy natomiast między programami szkół obu w metodzie nauczania, czyli w t. zw. celach formalnych nauczania. Tu przedewszystkiem podkreślić należy pierwszą nowość, jaką za przykładem Cordiera wprowadza Statorjusz do szkół polskich, doniosłą ideę pedagogiczną oparcia wykształcenia ucznia na jego języku ojczystym. Statorjusz żąda posługiwania się językiem polskim w nauce szkolnej systematycznie. A więc w klasie czwartej, najniższej uczyć należy zasad katechizmu w języku polskim, w klasie trzeciej nakazuje tłumaczyć na język polski Katona i in. autorów łacińskich, w drugiej przepisuje tłumaczenia z jęz. polskiego na łaciński, w najwyższej zaleca tłumaczenia listów polskich na łacinę. Coniedzielna interpretacja listów św. Pawła ma się odbywać w języku polskim.

Dzisiaj zadania te wydają się całkiem naturalne. Aby ocenić całą ich doniosłość i nowość, zważyć należy, iż w dotychczasowej praktyce szkolnej, nietylko zresztą polskiej, lecz i zagranicznej, używanie języka ojczystego w szkole było bezwzględnie zakazane. Stwierdzić należy, że emancypacja języka polskiego z pod wpływów łaciny, jaka się dokonała w gimnazjum pińczowskiem, idzie równolegle z wyzwalaniem się polszczyzny ze średniowiecznych oków łacińskich w literaturze, które to zjawisko przypisać należy w obu wypadkach potężnemu wpływowi reformacji na gruncie polskim i związanym z nią nierozerwalnie wpływom humanistycznym. Wymienić tu można współcześnie w literaturze występujących: Reja — kalwina i Kochanowskiego—humanistę, którzy w sposób niewątpliwy, zarówno dla siebie jak i dla całego przyszłego rozwoju literatury polskiej, ustalili prawo do wyrażania myśli i uczucia polskiego w formie języka narodowego. Szkoła pińczowska nie zdołała, niestety, wytworzyć tradycji szkolnictwa, opartego o język ojczysty, a to wskutek niepomyślnych warunków wewnętrznych w kraju. Unarodowienie szkoły polskiej, będące w istocie nawrotem do tradycyj szkoły pińczowskiej, miało przyjść dopiero w w. XVIII dzięki śmiałym reformom Konarskiego.

Drugą nowością, niemniej od pierwszej ważną, wprowadzoną do szkoły pińczowskiej za przykładem współczesnych szkół szwajcarskich, a odcinającą jaskrawo pińczowski system pedagogiczny od dotychczas panującego, było jeszcze zakreślenie ideału wychowawczego, jaki miała

osiągnąć szkoła pińczowska. Ideałem tym był nie ideał dydaktyczny, lecz wychowawczy. Znaczyło to, że Statorjuszowi chodziło nietyle o wykształcenie młodego pokolenia, o nagromadzenie w głowach wychowanków pińczowskich licznych i różnorodnych wiadomości z rozmaitych dziedzin wiedzy, ile o wychowanie ich drogą wykształcenia w duchu moralności chrześcijańskiej. Celem jego było wypuszczanie z gimnazjum nie wykształconych erudytów, lecz przedewszystkiem — pożytecznych dla kraju ludzi. Gimnazjum pińczowskie miało, jednem słowem, według zamierzeń Statorjusza, kształcić nie tęgie głowy, lecz silne charaktery przedewszystkiem. W szlachetnym tym utylitaryzmie pedagogicznym żywa prawda życia góruje nad abstrakcją.

Wskazałem wyżej, że i ten ideał pedagogiczny Statorjusza oparty został na przykładzie zagranicznym. Wiadomem jest, że szkoły kalwińskie w Szwajcarji ożywione były podobnym jak gimnazjum pińczowskiem, duchem wychowania moralnego [1]). Całkowite jednak uzależnienie koncepcji Statorjusza od wzorów zagranicznych nie wydaje się słusznem. Koncepcja ta zrodzić się mogła pod wpływem obserwacji życia polskiego, dostarczającego bystrzejszemu obserwatorowi, zwłaszcza jeśli obserwator ten nie z polskiego środowiska pochodził, aż nadto dowodów na obfitość w Polsce tęgich głów lecz jakże słabą liczebność silnych charakterów. Wystarczy przerzucić protokóły synodalne, aby się przekonać o strasznym rozgardjaszu moralnym [1]), jaki zapanował w społeczeństwie, w chwili zwłaszcza, gdy nad tem społeczeństwem przestał ciążyć mocny, lecz często zbawienny autorytet Kościoła katolickiego.

Celem uzupełnienia wywodów powyższych dodam, że synody kalwińskie nakazują przy kształceniu przyszłych ministrów zborowych zwracać uwagę nietyle na erudycję wychowanków, w dziedzinie nawet bezpośrednio ich obchodzącej, t. j. w Piśmie Św., ile na ich moralne i obywatelskie wychowanie. I tu również trzeba podkreślić nowoczesność zasady statorjuszowej, uznanej dziś za najaktualniejszy ideał pedagogiczny, aktualny zresztą w reformach Komisji Edukacyjnej w w. XVIII, zasadę której „uczyć dziecię nie obcego zniszczonych narodów języka, oziębłego wierszopistwa,

---

[1]) Grabowski. Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce 1906. str. 127.

[2]) Lasciana str. 432 i passim.

fałszywej retoryki, lecz czynić z niego rozumnego i cnotliwego obywatela na to, aby jemu dobrze było i żeby z nim było dobrze", uznać trzeba za zbliżoną bardzo do myśli pedagogicznej Statorjusza.

Aby cel powyższy osięgnąć, program gimnazjum pińczowskiego konstruuje Statorjusz w ten sposób, aby można było wszystkie przedmioty nauczania skoncentrować wokół jednego celu wychowawczego. Koncentrację tę, jednolitość programu, mającą prowadzić do jednego celu, posuwa Statorjusz do tego stopnia, że nawet czysto formalna, zdawałoby się, nauka gramatyki łacińskiej musiała służyć temu celowi: wychowaniu dobrego człowieka i dobrego obywatela kraju, a to drogą celowo dobranych urywków i sentencyj łacińskich o treści budującej.

Tej samej koncentracji przypisuję odpowiednio skonstruowany regulamin, dotyczący dyscypliny szkolnej (leges de morum disciplina). Tak się przedstawia, w rysach najogólniejszych ujęta, budowa programu, wypracowanego dla gimnazjum pińczowskiego przez Statorjusza.

Pomimo wielkiego nacisku na cele formalne nauczania, program Statorjusza nie wyłącza wiedzy materjalnej, jakiej uczniom udzielać należy, która to wiedza oparta jest przeważnie na studjum autorów klasycznych łacińskich i greckich. Autorów greckich uczniowie czytali w oryginale, zdobywając w klasie najwyższej, t. j. pierwszej podstawy znajomości języka greckiego. Jak więc widać, w osiąganiu celów materjalnych nauczania, gimnazjum pińczowskie jest instytucją humanistyczną. Zważywszy nadto okoliczność, iż wychowanie moralne, kształtowanie charakteru ucznia, tworzenie człowieka stanowi główną troskę Statorjusza, dojść musimy do wniosku, że gimnazjum pińczowskie i z formy i z ducha było gimnazjum humanistycznem w dosłownem tego słowa znaczeniu, według zaś zdania poważnego badacza dziejów reformacji „pierwszem bezwzględnie humanistycznem gimnazjum w Polsce" [1]).

Tworząc gimnazjum w Pińczowie, zamierzał je Statorjusz w przyszłości rozwinąć w uczelnię o charakterze uniwersyteckim, czyli t. zw. akademję, aby się Pińczów mógł stać ośrodkiem ruchu umysłowego w Polsce. Ze wstępu do „Institutio" widać, że i z obecnej już szkoły mogą wyniknąć dla kraju poważne korzyści; posuwa się nawet Statorjusz do tego, iż uczelnię pińczowską zestawia z Akademją Krakowską, którą wzywa do współdziałania z Pińczowem, by

---

[1]) Kot. Reformacja w Polsce t. I. str. 33.

„wspólnemi siłami mężnie tak długo atakować potworne barbarzyństwo, aż po obaleniu go w całem tak znakomitem królestwie studja literackie gruntownie zakwitną". „Potwornego barbarzyństwa" nie zdoła Polska wykorzenić, nie zorganizowawszy u siebie sieci dobrych szkół, jakich zaczątkiem jest szkoła pińczowska. Wymownie tłumaczy Statorjusz, że nawet liczne wyjazdy młodzi szlacheckiej zagranicę złu nie zaradzą, nie doprowadzą do tego, aby Polacy ilością filozofów, lekarzy, mówców, poetów, teologów i historyków, jaką wykształcili zagranicą, mogli dorównać Francuzom, Włochom i Niemcom. Stać się to może tylko wtedy, gdy posiądą własne szkoły, szkoły liczne i dobre, jakich pełno zagranicą.

Trudno w tych rozumowaniach Statorjusza nie dostrzec, jeśli już nie patrjotyzmu Francuza w stosunku do kraju, który go przygarnął u siebie, to w każdym razie roztropności i rozumnego wyrachowania człowieka, widzącego, jak wielkie sumy wywozili — często nieprodukcyjnie — młodzi Polacy zagranicę, za które to sumy łatwo możnaby było u siebie doprowadzić do założenia szeregu własnych uczelni.

Nawoływania Statorjusza nie pozostały narazie głosem wołającego na puszczy. Za przykładem Pińczowa, „Aten Sarmackich", jak go zaczęto nazywać, i na wzór jego szkoły, zaczynają powstawać szkoły protestanckie w szeregu miejscowości Małopolski i Litwy, jako ośrodkach ruchu kalwińskiego: Secyminie, Lublinie, Bełżycach, Łańcucie, Dubiecku, Kryłowie, Lewartowie, Brześciu, Nieświeżu, Słucku i w. in. [1]). Ze szkół tych szkoła lewartowska (dziś Lubartów) zbliżyła się swym poziomem do szkoły pińczowskiej pod rektorem Wojciechem Kaliszczykiem [2]).

Taki był posiew poczętego w entuzjazmie dzieła Statorjusza w Pińczowie. Dzieło to nie było oryginalne, jak badania dzisiejsze wykazały [3]). Nie na oryginalności jednak polega jego znaczenie w dziejach kultury polskiej. Jest ono dla nas jednem ze świadectw wyraźnej łączności kultury polskiego szesnastowiecza z kulturą renensansu romańskiego, jest poza tem dowodem nietylko recepcji, lecz i przystosowania pedagogicznej myśli francuskiej, dokonanego z pełnem powodzeniem na gruncie polskim, przysto-

---

[1]) Völker. Kirchengeschichte Polens. 1930. str. 184.

[2]) Brückner. Dzieje kultury polskiej 1930. t. II. str. 185, 186.

[3]) Kot. Pierwsza szkoła protetancka w Polsce. Reformacja t. I.

sowania, które w treści swojej dystansuje współczesność i głębią koncepcyj pedagogicznych wiąże się z nowoczesną myślą pedagogiczną. Praktycznie jednak biorąc, gimnazjum pińczowskiemu nie sądzonem było odegrać większej i trwalszej roli w wychowaniu młodych pokoleń szlacheckich.

Z wielkim rozmachem twórczym rozpoczęta budowa szkolnictwa pińczowskiego została rychło zahamowana. Moloch reformacji pożarł tak świetnie rozpoczęte dzieło. Zawikłany w spory Stankara Orsatius musiał Pińczów opuścić, odsunięty od pracy szkolnej i tłumaczenia biblji. Thénaud, zrażony do kalwinów pińczowskich, wykazujących coraz wyraźniejszą ewolucję od prawowiernego kalwinizmu do antytrynitaryzmu, przenosi się do Krakowa, gdzie zostaje nauczycielem szkoły kalwińskiej, wreszcie w r. 1572 jej rektorem.. Z twórców nowej szkoły pińczowskiej pozostał sam Statorjusz, przechyliwszy się na stronę antytrynitaryzmu i antytrynitarskim owianą duchem czyniąc tę szkołę. Uwikłanemu w coraz to więcej zaogniające się spory dogmatyczne, mało zapewne pozostawało Statorjuszowi czasu na wymagającą spokoju i systematycznej pracy działalność pedagogiczną. Rychło przytem znika z powierzchni życia; umarł koło r. 1569.

Gorąca atmosfera reformacyjna, zrodziwszy wielkie dzieło kulturalne, rychło je zabija. Jest to zresztą w tej epoce zjawisko powszechne: nie inaczej stało się ze współczesnym Statorjuszowi Erazmem Glicnerem Skrzetuskim, w którym luteranin bierze górę nad świetnie zapowiadającym się pedagogiem. Teologja i zainteresowania religijne były dominantą naszego życia kulturalnego na przełomie i w drugiej połowie XVI w., usuwając w cień inne przejawy życia kulturalnego. Niemało zresztą do upadku gimnazjum pińczowskiego przyczyniła się obojętność ogółu, którą wyżej poznaliśmy i wynikające z tej obojętności trudności finansowe szkoły. Trwała w przybliżeniu lat dwadzieścia. Tradycje świetności szkolnictwa różnowierczego miała podjąć już w w. XVII druga na terenie dzisiejszego województwa Kieleckiego szkoła — szkoła arjańska w Rakowie.

Gwoli uzupełnienia artykułu niniejszego, mającego na celu uwydatnienie znaczenia Pińczowa w polskim ruchu umysłowym w w. XVI, nie bez znaczenia będzie uwaga, że Pińczów w tym czasie wydał pierwszego gramatyka polskiego. Był nim również Statorjusz, który wydał w r. 1568 dzieło p. t. „Polonicae Grammatices Institutio", będące pierw-

szym w polskiej literaturze gramatycznej opisem języka polskiego [1]. Taki był chlubny koniec działalności naukowej Piotra Statorjusza, figurującego na karcie tytułowej swojej gramatyki pod polskiem już nazwiskiem Stojeńskiego.

JULJUSZ NOWAK

Warszawa, w marcu 1931 r.

[1]) Opis gramatyki znajdujemy u Maciejowskiego. Piśmiennictwo polskie 1852 t. II. str. 343, 4.

LUDZIE Z CZASÓW MOJEJ MŁODOŚCI

1. LATA DZIECINNE. KIELCE — OPATÓW.

Ojciec mój był malarzem oraz nauczycielem rysunków przy Realnej szkole w Kielcach.

Smutne stosunki rodzinne, niefortunna opieka familijna — pomimo, że miał zamożnych rodziców — pozostawiły ojca w tem położeniu, że, mając talent, rysunkiem i malarstwem portretowem i minjaturowem utrzymywał siebie, a następnie, ożeniwszy się z matką moją, Karoliną z Męcińskich, i całą rodzinę.

Ciężkie to były czasy dla sztuki w latach 1840-tych i 50-tych i gdyby nie wykształcenie matki, która lekcjami muzyki i francuskiego języka bardzo wiele pomagała ojcu, sama sztuka malarska nie byłaby w stanie utrzymać domu i rodziny.

Ojciec mój wcześnie nas osierocił, miałem wtedy zaledwie 6 lat, tak, że go prawie nie pamiętam, i znam go tylko z autoportretu i z opowiadań mej matki. Był niezwykłej dobroci i pracowitości, po kilku latach nauki w szkole Stattlera w Krakowie jako malarz osiadł w Opatowie, a następnie w Kielcach, gdzie urządził sobie pracownię i stąd wyjeżdżał często w Kieleckie — Opatowskie — Sandomierskie, mając tu i ówdzie zamówienia na portrety, minjatury lub obrazy religijne do okolicznych kościołów.

Jako szlachcic, urodzony z Tekli Dunin-Karwickiej, rodzonej siostry magnata Karwickiego, właściciela rozległych włości Chybic, Bodzentyna z przyległościami, miał liczne stosunki towarzyskie i przyjacielskie w całem Krakowskiem i Sandomierskiem — z rodzinami Jasińskich, Karskich, Wojciechowskich, Bogdańskich, Wasiutyńskich, Zaborowskich — jak o tem świadczą papiery różne i listy, jakie po ojcu pozostały, tudzież szkice do portretów, zaczęte minjatury, zapiski kalendarzowe.

Zbierał stare papiery rodzinne, książki stare, manuskrypty, sztychy, obrazy stare, a przedewszystkiem zajmowały go stare mapy geograficzne, z których z benedyktyńską cierpliwością kopjował lub rysował nowe — mniejsze i większe różnych stron świata. W bibljotece swej posia-

dał wiele cennych dzieł starych mistrzów, miał również wiele książek, przez samego siebie przepisanych drukiem z odpowiedniemi rysunkami i ilustracjami, szczególnie dwie książki do nabożeństwa, pisane na pergaminie, były naśladowaniem starych pięknych inicjałów i minjatur, misternie wykonanych.

Religijny, szczerze wierzący w nieśmiertelność duszy i w życie pozagrobowe, mistyk i spirytysta, zapalony zwolennik stolików wirujących, ekierek piszących i innych tego rodzaju praktyk.

Długi czas posiadałem książkę, pisaną przez mego ojca, w której prócz wierszy różnych patrjotycznych, przeważnie A. Mickiewicza, były podane rozmowy duchów z życia pozagrobowego, na pierwszej stronicy były wypisane zdania pod tytułem „Moje rady"... Powtarzam je, bo te charakteryzują człowieka:

„Możnym się nie narzucaj. — Niższymi nie pogardzaj.— Każdemu daj dobre słowo, to życie przejdzie Ci zdrowo.— Módl się i pracuj uczciwie, to życie przejdzie szczęśliwie

Modlitwa jest tak potrzebna dla duszy, jak chleb codzienny dla ciała"...

Posiadam bardzo ciekawą minjaturę ojca na kości słoniowej, malowaną w więzieniu w roku 1839 w Krakowie, z następującą z tyłu minjatury umieszczoną dedykacją:

„Ofiarowane w dowód szacunku i poważania Jaśnie Wielmożnemu Brzezińskiemu, Delegowanemu do Komisyi Śledztwa w sprawie Politycznej przez Trzech Najjaśniejszych Mocarzów, w Krakowie dnia 27 maja 1839 r. przez Jana Rybkowskiego".

Dookoła tej dedykacji napisane jest objaśnienie, co przedstawia minjatura, powtarzam je dosłownie:

„Obraz ten wystawia kwiat młodzieży, więzionej i niewinnie cierpiącej za sprawy ojczyste — nadto Dziedziniec Klasztoru Ojców Bernardynów na Stradomiu wraz z bocznym wdokiem Kościoła tego Klasztoru — oraz cele — gdzie okna deskami i kratami pozabijane są, i żołnierz na warcie Austryacki. Orzech w środku wystawia niepewność owocu dobrego lub złego — dopiero po roztłuczeniu skorupy". Minjatura została mi napowrót przez pana Brzezińskiego zwrócona na pamiątkę mego rocznego więzienia u Bernardynów.

Dookoła widoku Dziedzińca Klasztoru namalowana jest w rodzaju obramienia grupa ślicznych kwiatów, jak stokrotki, bratki, fiołki i goździki, w środku zaś tego obramie-

nia prawie naturalnej wielkości orzech włoski, poza którym widzimy widok więzienia wraz z pilnującym około budki żołnierzem austrjackim.

Drugą pracą ojca, świadczącą o szczerej miłości dla Ojczyzny, był rysunek, przedstawiający rycerza, w pełnej żelaznej zbroi, w całej postaci, z ręką, opartą na mieczu — dookoła narysowana różna broń jako rama z następującym wierszem:

„Znaj starego Polaka po żelaznym stroju
I po tej gotowości, którą ma do boju. —
Jam w Dnieprze—Osie—Sanie — bił graniczne słupy,
Jam szczątka ziemi nie dał — na haniebne łupy.
Mój potomku — patrz na mnie — a nie bądź odrodny,
Bądź—bitny. Będziesz sławny — i będziesz swobodny.

Bliższe stosunki szczerej przyjaźni utrzymywał mój ojciec z niejakim Chlebowskim, który był również artystą-snycerzem - rzeźbarzem - pozłotnikiem - szklarzem - ramiarzem, jak na owe czasy przystało.

W pracach artystycznych nie było tego specjalizowania zawodu, tak jak dziś mamy. Artysta-malarz czy to rzeźbiarz, ucząc się u podobnego jak sam majstra, był zmuszony umieć wiele innych pomocniczych zajęć.

Toteż Chlebowski, mając pracownię swoją w Kielcach, był samym zawodem swoim złączony z zajęcem mego ojca, który także wiele umiał poza malarstwem. Należał również jak ojciec do tych cichych rzemieślników artystycznych, u których sztuka istniała z prawdziwego zamiłowania tylko dla sztuki.

Obydwaj z ojcem należeli do częstych gości i przyjaciół naczelnika Zielińskiego, wielkiego mecenasa i zbieracza dzieł sztuki i starożytności.

Słynną była ta galerja obrazów Zielińskiego, naczelnika powiatu Kieleckiego, jedyna na owe czasy prywatna galerja w kraju, otwarta dla publiczności, urządzona we własnej willi w pięknych, obszernych salonach, a składająca się z dzieł doborowych znanych i nieznanych mistrzów, jużto w oryginałach, jużto w bardzo dobrych kopjach reprezentowanych.

Ojciec mój umarł w Warszawie, gdzie pojechał za interesami; wiadomość o śmierci ojca przyszła do matki niespodziewanie, ujrzała się nagle wdową z czworgiem dzieci.

Głębsze jednak wykształcenie, znajomość języków jak również i gry fortepianowej ponad zwykłą miarę towarzy-

ską dały jej możność do założenia wyższej pensji dla dziewcząt, a ponieważ na owe czasy w Kielcach dwie pensje, które istniały, były zupełnie wystarczające, więc przeniosła się do Opatowa, a sprowadziwszy sobie z Krakowa siostrę swoją, Joannę Męcińską, z prawdziwym sukcesem w krótkim czasie rozwinęła swój zakład wychowawczy, tak, że prócz kilkudziesięciu panien dochodzących, miała jeszcze kilkanaście dziewcząt z okolicy w internacie.

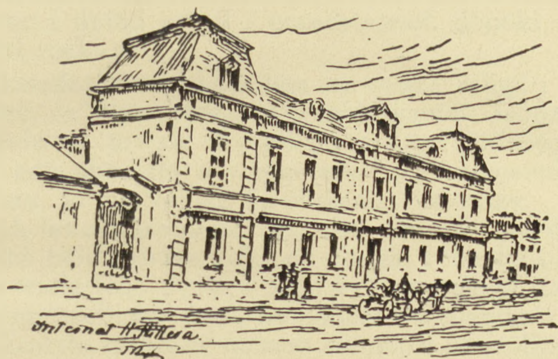
W siódmym roku życia zacząłem się uczyć i od tej chwili pamiętam żywo wszystko, i wszystkich, których poznałem, ojca prawie, że nie pamiętam, ale zato wpływ matki i jej osoba była dla mnie wszystkiem. Dziwnie taktowna i spokojna w obejściu, stanowcza i energiczna w czynie, nie słyszałem u niej głosu podniesionego, nie widziałem jej nigdy w gniewie — zawsze pogodna i uprzejma w traktowaniu obcych, a tem więcej dla przyjaciół i życzliwych. Cały dzień zajęta była lekcjami, bo gospodarstwem i całym domem zajmowała się ciotka Joanna, starsza o lat kilkanaście od matki. Dwóch nauczycieli było dochodzących z miasta i katecheta, ksiądz Jan Radkowski. Mieszkaliśmy prawie przy samej kolegjacie — pięknej zewnątrz — stylem swoim gotycko - nadwiślańskim, pięknej wewnątrz malowidłami bitew z Turkami, Tatarami i Szwedami; ogromny cmentarz dookoła kolegjaty ciągnął się aż do urwiska skalistego od strony południowej kościoła, był on miejscem najczęstszych naszych zabaw i spacerów.

Postacie dwóch księży Radkowskich pamiętam doskonale. Ksiądz Jan był starszy znacznie od swego brata Franciszka, był proboszczem i kanonikiem, gdy brat jego wikarym; mimo całkiem różnych usposobień i charakterów zgoda najmilsza panowała na plebanji.

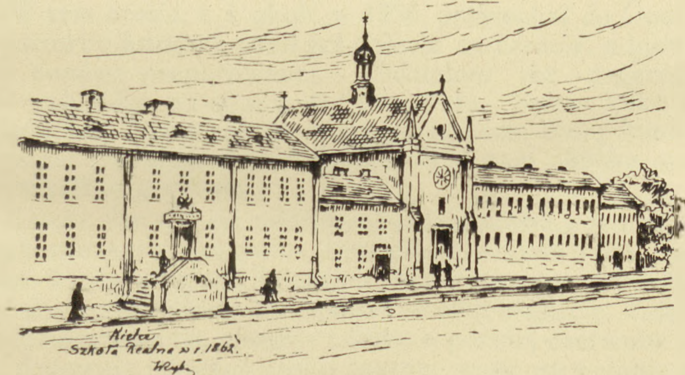
Ksiądz Jan pięknej postaci, powagi i pewnego duchowego uroku był ulubieńcem całej szkoły.

Ksiądz Franciszek, mniej piękny, bo dziobaty, średniego wzrostu, chuderlawy, jak to mówią, w ubraniu nieco zaniedbany — był jednak przeciwieństwem powagi i elegancji brata — wesoły do trzpiotowatości, dowcipny — był również przez swój humor ulubieńcem w towarzystwie. Gdy byli razem w towarzystwie, to ksiądz Jan ciągle prawie miał na ustach: „Oj, Franiu, Franiu, kiedy ty się ustatkujesz",—odpowiadał zawsze: „Jak zostanę proboszczem".

Całe miasto zwało tych dwóch braci „dobrodziejami", mieli być bardzo względni i bardzo wiele dobrego czynili, szczególnie dla biednej ludności miasta.



Internat Hillera



Szkoła Realna w r. 1862 r.

(rysunki T. Rybkowskiego)

Pamiętam, opowiadano, że major rosyjski, który mieszkał niedaleko plebanji, za przypalenie leguminy skazał swego kucharza na 50 rózeg — i egzekucja byłaby się niechybnie odbyła, gdyby nie ksiądz Franciszek, który znając majora, bo często ze sobą grywali w preferensa, pobiegł do niego i dotąd prosił i przedstawiał, dopóki major nie odwołał rozkazu.

Do księdza Jana chodziłem na naukę religji i łaciny na plebanję, do jego prywatnego mieszkania. Godzina lekcji odbywała się zawsze z wielką powagą i godnością, szczególnie gdy chodziło o wyuczenie się odpowiednie ministrantury, to jest tekstu do służenia do mszy. Na jednej z takich lekcyj zrobiłem księdzu Janowi wielki kłopot, Na lekcji palił zawsze fajkę na długim cybuchu i nie wiem, czy za wiele tego dymu z fajki było w pokoju, czy też nie byłem usposobiony dość, że podczas wydawania lekcji — naraz zrobiło mi się w oczach ciemno i ze stołka spadłem na ziemię zemdlony. Gdy oczy otwarłem, zobaczyłem panią gospodynię z mokrym ręcznikiem, poczułem zapach octu no, i tuż obok zafrasowanego księdza kanonika — a za chwilę wpadł ksiądz Franciszek, który zaraz zaczął sobie ze mnie żartować, nazywając mnie babą, a kiedy już na dobre przyszedłem do siebie, chciał mnie na rękach zanieść do domu, na co się nie mogłem zgodzić i o własnych siłach wróciłem do matki. Musiało być jednak dość silne zatrucie nikotyną, bo w domu dostałem nudności, bólu głowy i parę dni czułem się nieswój. Przyszedłszy znów na lekcję do księdza Jana, zauważyłem, że fajki nie palił i okno było otwarte.

W tym czasie, t. j. około r. 1856, przyjechał do Opatowa wędrowny fotograf, robił już zdjęcia na ceracie, odpowiednio emulsją preparowanej. Widziałem już dagerotypy, których kilka po ojcu u nas pozostało, byłem kilka razy z księdzem Franciszkiem u owego mistrza, który łamanym polskim językiem mówił i pokazywał nam zbliska aparat i wszystkie przybory.

Ksiądz Jan dał się odfotografować i zrobił z jednej fotografji prezent mojej matce. Dziś nikt nie myśli o tem, że był czas, kiedy przyjazd fotografa wędrownego wywoływał w miasteczku takim, jak Opatów wielką sensację. Tajemnica fotografowania, ciemnia i żółta, a później czerwona lampa dodawała jakiegoś uroku czarnej magji, utrwalanie portretów i figur, które do 7—10 minut musiały nieruchomie siedzieć przed aparatem, było niezwykłem zajęciem.

Z wielkim naprężeniem, w nerwowem oczekiwaniu dodat-

niego lub ujemnego wyniku, bo chwilowe ruszenie powieką lub skręcenie głowy psuło całkowicie zdjęcia, które były albo na ceracie czarnej — po jednem egzamplarzu robione, albo na szkle do kopjowania na tak zwanym słonym papierze.

Naprzeciw naszego domu — w bardzo miłym staroświeckim dworku mieszkali państwo doktorowie Wrześniowcy, oboje już bardzo wiekowi, wychowawszy dwóch synów, którzy byli na wyższych posadach w Petersburgu. Państwo Doktorowie żyli sobie cicho, spokojnie, jak na emeryturze w miłym dworku z ogródkiem kwiatowym od frontu i większym ogrodem owocowym od tyłu.

Zmuszeni stosunkami czy z własnej ochoty wzięli sobie na wychowanie kilkuletniego chłopca, Frania, i całą opiekę rodzicielską i całe uczucie przelali staruszkowie na tego chłopca, który rósł i zdrowo się chował. Świadomie czy nieświadomie uważał się za ich rzeczywistego syna. Wiele podróży zagranicę odbył Franio z rodzicami, znał Włochy, Szwajcarję, Niemcy, Francję już w 12 roku życia, miał pamięć miejscowości nadzwyczajną, mówił całkiem dobrze po francusku i po niemiecku i kiedy rodzice Frania zaproponowali mej matce, by szkolnych przedmiotów uczył się razem ze mną, radość moja była b. wielka ze zbliżenia się i poznania tak inteligentnego chłopca, który jakkolwiek był ode mnie o 4 lata starszy, jednakże usposobieniem, wychowaniem tak umieliśmy się zbliżyć do siebie, że ta przyjaźń dziecinna z każdym dniem była silniejsza.

Wiadomości wszystkie, które on posiadał z podróży i z książek, których miał b. wiele, przelewał we mnie, tak, że wówczas prawdziwym moim nauczycielem nie był nasz Niemiec, Józef Neuman, który został specjalnie do nas, trzech uczni, przez matkę sprowadzony i który, mając tylko nas trzech do nauki, był równocześnie naszym opiekunem, gdyż z nami w pokoju mieszkał i wszystko szło według planu naukowego, przez niego ułożonego.

Z języków, z historji, geografji Franio był pierwszym uczniem, my zaś dwaj i niejaki Staś Bałandowicz, byliśmy znowu silniejsi w łacinie i matematyce.

W krótkim czasie znałem już wszystkie książki z obrazkami, albumy galerji sławnych mistrzów i albumy najpiękniejszych budowli w Europie. Franio opowiadaniem swoim wprowadzał mnie w jakiś fantastyczny świat bajek.

Szalenie rozbudzał jakąś fantazję, którą jako dziecko nie umiałem w żadną formę ubrać, kochałem go właśnie zato, że czułem w nim wielką wyższość inteligencji i ze-

branych wiadomości, które umiał w bardzo przystępnej formie dla mnie opowiedzieć.

Lata moje dziecinne łączą się z osobą Frania, łączą się ściśle; razem jedziemy do gimnazjum kieleckiego, razem zdajemy egzamin, on do klasy III, ja do I, za lat kilka doganiam go w klasie 6 mimo to, że razem mieszkamy i uczymy się.

W klasie 6 i 7 zaczął zdradzać objawy jakiejś melancholji, jakieś widoczne cierpienie nurtowało tę młodą duszę, tak, że w 7 klasie, w maju, mając lat 20, umarł w naszym domu na nieuleczalne galopujące suchoty.

Mieliśmy także na wsi pod Opatowem dom pani Koralewiczowej, gdzie często w lecie lub na święta Wielkanocne byliśmy proszeni. Sama pani Koralewicz była wdową; mieszkała z dwiema córkami i synem, była tak niezmiernej tuszy, że miała dla siebie osobne meble, osobny powóz, w którym zawsze sama tylko jeździła, gdyż już nikt więcej nie mógłby się tam pomieścić.

W roku 1857 postanowiła matka przenieść się do Kielc, a to głównie dla szkoły realnej, do której miałem uczęszczać, i w miesiącu lipcu, wyładowawszy cały dom na najęte fury, załatwiwszy swoje interesy w Opatowie, pożegnawszy wszystkich swoich życzliwych sąsiadów i znajomych, pięcioma wyładowanemi wozami puściliśmy się w tę trzydniową podróż.

Pierwszy popas i odpoczynek był u pani Koralewiczowej, która nietylko nas ugościła, ale dała jeszcze listy polecające do księdza kanonika Chłudy, który był jej bratem ciotecznym i proboszczem wielkiego probostwa bodzentyńskiego w Bodzentynie.

Po noclegu u pani Koralewiczowej — następnego dnia ruszyliśmy w drogę do Kielc — prawie o świcie tak, ażeby wieczorem można było dojechać do Bodzentyna, co też się rzeczywiście stało i prawie przed zachodem słońca zajechał nasz cały tabor na plebanję w Bodzentynie.

Na ganku powitał matkę ksiądz kanonik Chłuda, którą znał z pobytu u pani Koralewiczowej, odczytał list siostry, wydał polecenie umieszczenia fur na boisku, a nas w pokojach gościnnych, których na plebanji było kilka — po staroświecku umeblowanych.

Plebanja była wielka, obszerna — moc różnych pokoi, ubikacyj gospodarczych z wielką kuchnią, w której mogło trzech lub czterech kucharzy gotować — prócz tego osobna wielka izba czeladnia z osobną kuchnią dla służby i czeladzi — jednem słowem dwór obszerny, zamożny, we

wszystko zaopatrzony. Zastaliśmy tam już kilkoro dzieci — bratanków i siostrzeńców ks. kanonika, którzy się nami życzliwie zaopiekowali, oprowadzając nas po wszystkich możliwych kątach wielkiego probostwa. Wszędzie po pokojach stały kosze lub opałki ze świeżym owocem, wszędzie zapach gruszek, jabłek; wolno było brać i jeść, ile kto chciał.

Jakaś dziwna swoboda i wolność ruchów, nie krępowana jakimś dozorem lub jakiemiś rozkazami, panowała na tej plebanji — służba, ludzie, którzy tam byli, jacyś zadowoleni, uprzejmi, jakiś dziwny, niczem nie krępowany świat zadowolenia panował wszędzie. Bo też to był wielki pan — ten ksiądz kanonik Chłuda, wielki wzrostem, niebywałą tuszą, przy ogólnych wielkich proporcjach postać była imponująca pod każdym względem — nawet ogólnie piękna, gdyby nie taka kolosalna — wszystko i wszyscy przy nim byli maluczcy, każdy dobrze musiał głowę do góry zadzierać, by spojrzeć w oczy księdza kanonika, zawsze łagodne, prawie uśmiechnięte, zadowolone z otoczenia, ze wszystkiego, co było koło niego

Kancelarja parafjalna i dwa pokoje, które specjalnie dla siebie zajmował, były odpowiednio do jego wzrostu i tuszy urządzone — toż samo w jadalnym pokoju, stół i fotel były odpowiednio do jego osoby zastosowane. Miał lat wtedy 52 lub cztery, czerstwy i zdrowo bardzo wyglądający, lekką siwizną włos przeświecał, piękny był — szczególnie w stroju kapłańskim przy ołtarzu, które-to ubranie również specjalnie co do miary było na niego robione, trzech wikarych miał na probostwie — dobrze odżywionych i bardzo miłych księży, ale wzrostem i tuszą dominował tylko proboszcz.

Obchodziliśmy właśnie sad owocowy, gdy dał się słyszeć dzwonek donośny, zwołujący wszystkich na wieczerzę, więc każde z nas — dzieci — jak tam mogło — poprawiło swój toaletowy wygląd i weszliśmy do jadalnej sali — długiej, szerokiej, wielkiej z ciemnym, belkowanym sufitem, u którego wisiały 3 bronzowe świeczniki pełne świec, a prócz tego na długim stole stały 4 kandelabry srebrne po 3 świece.

Cienka bielizna stołowa i zwykła porcelana ćmielowska, tak ją nazywano, porządnem srebrem stołowem otoczona z odpowiedniem szkłem — tworzyła imponującą całość wielkiego pańskiego stołu.

Ksiądz kanonik (chociaż już go wtedy niektórzy prałatem tytułowali) siedział jako gospodarz na pierwszem miejscu—

w wielkim fotelu wygodnym i rozłożystym, a przed nim był stół, który łączył się ze stołem ogólnym, gdyż nakrycie i wszystko, co na niem stało, należało dla jego specjalnego użytku, a więc: solniczki — a karafeczki z octem, z oliwą— a cukiernice szklanne i srebrne, różne kubki, miseczki miały swój przeznaczony cel — następne nakrycia były już wszystkie równe, niczem specjalnie nie różniące się od siebie.

Jakkolwiek ksiądz kanonik po modlitwie, odmówionej głośno przed jedzeniem, już całkiem oddany był obiadowi lub kolacji, to mimo tego bacznym okiem śledził wszystko, co się przy stole działo i nic nie uszło jego uwagi.

Apetyt miał kolosalny — wszystko, co jadł, jadł z prawdziwą przyjemnością — ale jadł przy tem bardzo dużo — tak, że dla księdza kanonika przychodziły na stół osobne półmiski tylko dla jego osoby przeznaczone.

Ja po raz pierwszy w życiu byłem na takiej licznej i okazałej kolacji — więc wszystko interesowało mnie bardzo— i z pewną nawet może nieodpowiednią ciekawością przypatrywałem się księdzu kanonikowi, który, wypiwszy kieliszek wódki, zjadł cały półmisek dla niego specjalnie przygotowanych wędlin, potem przynieśli półmisek potrawki cielęcej z kalafiorami i ryżem, a następnie osobny półmisek pierożków ze słodką kapustą — to wszystko zjadł specjalnie sam, animując gości, którzy mieli też same potrawy na wspólnych półmiskach, by jedli i popijali.

Rano po mszy o godz. 8 wypijał w ogromnej szklanicy kwartę śmietanki i pół kwarty kawy, zjadał do tego średni bochenek chleba pytlowego i prawie pół funta masła — do obiadu, który był po 1-ej, nie jadł nic, ale też obiad składał się z wódki, obfitej przekąski, wazki zupy, półmiska mięsiwa z jarzynami, półmiska z całą pieczoną kaczką, pulardą lub młodą gęsią i leguminy w odpowiedniej ilości wraz z owocami, które bardzo chętnie jadł.

W czasie obiadu lub kolacji wiele rozmawiał, żartował, bawił się — więc to nie było rozmyślne obżarstwo, lecz widocznie naturalna potrzeba organizmu i specjalnego ustroju całej jego natury.

Pamiętam, podczas pierwszej kolacji przywołał mnie do siebie, więc zarumieniony stanąłem przed obliczem księdza kanonika, który przyjaźnie i z uśmiechem położywszy rękę na mojem ramieniu, zapytał, czy już umiem do mszy Ś-tej służyć. Na moje potwierdzenie i pochwalenie się, jak często księdzu Radkowskiemu w Opatowie służyłem, odrzekł: No, to jutro o 8 rano będziesz mnie służył — no,

a z łaciny 36 na is — już napamięć wszystkie umiesz? — co potwierdziłem, — więc widocznie zadowolony, pogłaskał mnie po głowie, co znaczyło, że audjencja skończona; niebawem też całe towarzystwo po modlitwie, którą odmówił jeden z wikarych, powstało i po wzajemnych ukłonach i dziękowaniach przeszło do innych pokoi.

W saloniku ustawiony był stolik do preferansa — nim jednak zaczęto grać, prosił ksiądz kanonik matki, by siadła do fortepianu, gdyż bardzo lubił muzykę, ale jak mówił, dobrą. Pamiętam, długo matka grała i taki koncert powtarzał się zwykle co wieczora.

Nazajutrz, po mszy ś-tej, skoro już ksiądz kanonik odmówił swoje modlitwy, rzekł do mnie: „Teraz chodźmy na śniadanie, zostaniesz u mnie kilka dni, bo matka jeszcze dziś nie pojedzie, niech sobie odpocznie" — i tak się rzeczywiście stało. W kilka dni potem matka zabrała brata młodszego i siostrę, a mnie pozostawiła jeszcze u księdza kanonika jakie dni 10, gdyż wpisy do szkoły rozpoczynały się dopiero 15 sierpnia. Przez ten czas miałem sposobność poznać bliżej tę imponującą postać księdza kanonika Chłudy. Probostwo musiało przynosić wielkie dochody, bo ksiądz kanonik musiał wydawać b. wiele; wiem, jak całą rodzinę swoją wspomagał — wyposażał — kształcił, biednych wspierał — parafjanie odchwalić się go nie mogli — tak był dla nich przystępny i dobry. Gościnny i w całej okolicy lubiany — zapalony myśliwy szczególnie na grubego zwierza. Przyjęcia w czasie odpustów były nadzwyczajne — mówiono, że po 200 osób zasiadało do stołu kanonika, do czego dodać trzeba ugoszczenie służby i koni — jednem słowem była to postać niezwykła.

Po 15 sierpnia odesłał mnie z dwoma innymi chłopcami i korepetytorem do Kielc — przy pożegnaniu pobłogosławił mnie, pocałował w czoło i dał 10-rublowy papierek, mówiąc: „A to schowaj sobie na nowe książki — matkę pozdrów ode mnie, a jak będę w Kielcach, to was odwiedzę". Ale nie był u nas — w parę lat mieliśmy wiadomość, że tknięty apopleksją po powrocie z polowania, umarł *).

*) Żył dłużej. Będąc dzieckiem, do jakiegoś 1876 r. widywałem ks Chłudę w Bodzentynie. Wielkiego wzrostu, nadzwyczajnej otyłości, siwy, z małemi baczkami, zawsze wesoły, mówił głosem donośnym. Opowiadał mi ojciec, który go bliżej znał i u niego bywał, że z powodu nadmiernej tuszy siadał do stołu bokiem. U siebie w domu sporządzić kazał stół z wyciętem półkolem. Częste niedyspozycje organów trawienia leczył w ten sposób, że spożywał półmisek kaszy jęczmiennej, zalanej obficie olejem rycynowym. — Z. W.

2. KIELCE. SZKOŁA REALNA. ROK 1863.

Kielce jako miasto należały do większych, tak zwanych gubernjalnych, było to jednak małe miasto z całym swoim urokiem miasta prowincjonalnego, a szkoła realna, do której się zaraz zapisałem, miała swoją b. dobrą markę jako jedna z najlepszych szkół w Kongresówce.

Grono nauczycieli pod dyrekcją Antoniego Formińskiego składało się z ludzi, bardzo poważnie zapatrujących się na wykształcenie młodzieży.

Dyrektorem był Antoni Formiński — wychowanek szkoły pijarów w Warszawie. Matematyk — człowiek b. poważny — nieugiętej w niczem woli — ostry i surowy tak dla siebie, jak i dla swoich podwładnych, dla uczniów był mało przystępny, nieprzebaczający żadnego uchybienia obowiązku, całą duszą oddany rozporządzeniom rządu Muchanowa.

Wysoki bardzo, chudy, kościsty, z wielką głową na niezgrabnej wielkiej figurze, nieproporcjonalnie długie ręce i nogi, zgięty w kabłąk, krzyż, w długim płaszczu rosyjskim z peleryną i w furażerce rosyjskiej — z szerokim denkiem— wyglądał jak jakaś tajemnicza figura z cyrkułowych komnat, bez wąsów, bez brody — przy bujnych siwych włosach, w nieładzie ułożonych.

Baczny w szkole na wszystko i na wszystkich, poważnym, a długim krokiem przechadzał się zwykle godzinami po szkolnych korytarzach w czasie godzin szkolnych i nikt ani z profesorów, ani z uczniów nie przeszedł przez korytarz, by nie był przez dyrektora zapytany — gdzie? poco? naco?

W domu, u siebie, między własną rodziną, był także tym surowym sędzią wszystkiego, co się koło niego dzieje. Jedynie żona, która się tego surowego pana dyrektora nie bała, i cztery córki, które mimo surowej miny i całej postaci tatusia, były b. miłemi i dobrze wychowanemi pannami.

Pan dyrektor rządził szkołą, a pani dyrektorowa dyrektorem i wszystkiem w domu.

Bardzo piękna, inteligentna, z domu Mikulska, znanego i szanowanego w Mokotowie pod Warszawą.

Dyrektorstwo mieli mieszkanie w gmachu szkolnym na drugiem piętrze, b. porządnie urządzone. Dostatnie i wygodne prowadzili życie. Panny dwie starsze były już podlotkami, dwie młodsze poznałem jako małe dziewczynki.

Starsze pobierały lekcje muzyki u mojej matki, skąd powstała bliższa zażyłość, starsi ze starszymi—dzieci z dziećmi, na długie lata pozostał serdeczny i przyjazny stosunek.

Dyrektorstwo posiadali pod Kielcami mały folwarczek w Niewachlowie, który był jedyną rozrywką dyrektora.

Tamto zwykle dyrektor jechał lub szedł piechotą w piątek wieczorem lub w sobotę rano, (a wracał dopiero w poniedziałek rano do szkoły), by się odświeżyć przy pracy rolnej, tam siał, tam zbierał z pola lub z ogrodu, tam się czuł najszczęśliwszym i dziwna rzecz taka surowa, poważna natura stawała się zupełnie inną w tem wiejskim ustroniu. Często latem szliśmy wszyscy spacerować do 5 wiorst oddalonego Niewachlowa.

Tam pan dyrektor, który w szkole był tak mało przystępny, ponury i surowy, był zupełnie inny — chętnie rozmawiał z dziećmi, pouczał nas, tłumaczył różne kwestje gospodarskie — jednem słowem spacer taki do państwa Formińskich w Niewachlowie należał do najprzyjemniejszych rozrywek.

Szkoła Realna, do której z odznaczeniem zdałem egzamin do klasy I, była szkołą 6-klasową, poziom nauki był b. wysoki, do klasy I mógł być zapisany chłopiec, który ukończył lat 9, z matematyki zaś musiał już być dokładnie — jak do dzisiejszej drugiej — przygotowany, języki: polski, rosyjski, francuski lub niemiecki.

W trzeciej klasie mieliśmy już miernictwo i to praktycznie wykładane, algebrę i geometrję wykreślną, rysunki odręczne i geometryczne, obowiązkowe rysowanie map. Profesorów, o ile pamiętam, mieliśmy ludzi specjalnie w swoim przedmiocie wykształconych. Języka polskiego dawał Duchnowski, rosyjskiego Jezierski i Filanowicz (inspektorem zwany), matematyki — Święcicki, dyrektor Formiński historji, Schmidt—rysunków, Górnicki—niemieckiego, Szuman — historji naturalnej, Borzęcki — fizyki i chemji Plewiński. Nauka odbywała się od 8 do 12 w południe i od 2 do 5 popołudniu, w sobotę była tak zwana rekreacja, czyli wolne popołudnie. Katechetą był ksiądz Franc. Brudzyński.

Taki skład szkoły był w r. 1858 — 59, gdy się w klasie I-ej znalazłem.

Równocześnie w Kielcach był instytut wychowawczy męski 4-klasowy z prawem publiczności, założony prywatnie przez Hermana Hillera, którego także zwano dyrekto-

rem, a że niektórzy z profesorów naszej szkoły mieli godziny w Instytucie Hillera, powstała więc pewna łączność tych dwóch szkół, jedna z kierunkiem realnym, druga z kierunkiem filologicznym.

Dwóch tych dyrektorów śmiało można było jako dwa przeciwne sobie bieguny porównać. O ile dyrektor Formiński był surowy, nieprzystępny dla młodzieży, o tyle znów dyrektora Hiller posiadał dar ujmowania sobie młodych i starych swoim taktem i dobrocią postępowania, był też ulubieńcem całego miasta, osobą, posiadającą b. wielki wpływ na najwyższych dygnitarzy, jak gubernatora, jak biskupów i inne wysoko położone osoby w mieście.

Herman Hiller pochodził z pogranicza Lotaryngji, przyjechał do Kielc jako guwerner, zaangażowany przez mego wuja, doktora medycyny, Antoniego Andrzejowskiego. Sprowadził Hillera jako nauczyciela języków: francuskiego i niemieckiego, gdyż władał niemi znakomicie, do synów swoich, Antoniego i Konrada.

A po kilku latach pobytu u wujostwa, wyuczywszy się b. dobrze i pisać, i mówić po polsku, poparty przez wuja, założył sobie pensjonat wychowawczy dla okolicznej szlachty.

Ożeniwszy się z córką pastora ewangielickiego, gdyż sam był ewangielikiem, otworzył ten pensjonat z wielkiem powodzeniem, tak, że zaraz w pierwszym roku miał blisko 100 uczniów, z tych więcej niż połowę na stole i stancji. Do tego pensjonatu sprowadził zaraz guwernera Francuza i guwernera Niemca, zamówił u grona profesorów Szkoły Realnej godziny innych przedmiotów, tak, że już w pierwszym roku mógł 3 pierwsze klasy otworzyć, a otrzymawszy pozwolenie od ówczesnej komisji oświecenia publicznego pod kierownictwem Muchanowa, już mniej więcej około r. 1857 instytut Hillera posiadał zasłużoną renomę, a szlachta okoliczna dobrze podówczas materjalnie się mająca, chętnie oddawała synów swoich do instytutu, w którym chłopiec miał nietylko przedmioty szkolne, ale przedewszystkiem ciągłą konwersację francuską i niemiecką, tańce, gimnastykę i bardzo ponętne utrzymanie, wreszcie — gdy chciał, mógł dalej iść do klasy 5 rządowej i kończyć gimnazjum, a nie, to te cztery klasy wystarczały najzupełniej, by pójść na praktykę gospodarczą, a potem rządzić swoim majątkiem. Opłata w pensjonacie Hillera była na owe czasy b. droga — 150 Rs. płaciło się miesięcznie za internat i szkołę albo 50 Rs. miesięcznie za samą szkołę.

Wróćmy jednak narazie do mojej Szkoły Realnej, której dyrektorem był Formiński. Klasa I przeszła normalnie, klasa druga już miała w sobie pierwsze początki ogólnego niepokoju jakiejś burzy, która miała wstrząsnąć całym krajem. Rok 1861 — manifestacje oddziałały na młodzież piorunująco. Żałoba ogólna kraju — jakieś szepty — jakieś wiadomości niejasne, nieokreślone przynosił każdy dzień. Dzień 8 kwietnia, krew męczenników — krew młodzieży, która się na warszawskim bruku rozlała, — wszystko to było zarzewiem, iskrą do wzniecenia jakiegoś wielkiego pożaru. „Boże coś Polskę" i „Z dymem pożarów" — wzniosło się hymnem ogólnym z młodych piersi, mimo srogich zakazów dyrekcji, mimo kar ostrych — a nawet i chłosty, którą dyrektor Filanowicz i profesor Duchnowski z przyjemnością osobistą aplikował.

Jedynym zacnym powiernikiem był prof. Jezierski, nauczyciel języka rosyjskiego. Umiał nam tak taktownie, tak po przyjacielsku przedstawić wszystko, że nietylko starsi koledzy, ale i pierwsza i druga klasa miały do niego nieograniczone zaufanie.

On nam wszystką prawdę powiedział, co było, jak było w Warszawie, on nas uspokoił, powiedział, że będzie powstanie, że tak się skończyć musi, że ofiary będą, że są ludzie, co pracują nad zażegnaniem nieszczęścia w kraju, ale są i tacy, którzy ślepo, bezrozważnie idąc, narażają kraj cały na większą niewolę, na straszne zniszczenie, wyrobił nam to u dyrektora, że w niedzielę po mszy, na którą zawsze wszyscy uczniowie schodzili się w kościele, obok szkoły położonym, pozwolono nam śpiewać: „Boże, Ojcze, Twoje dzieci", „Boże, coś Polskę" i „Z dymem pożarów" — i gdy inni nauczyciele zaraz się po mszy z kościoła wynosili, on zostawał z nami i pilnował ogólnego porządku.

W r. 1861 i 62 był jakiś czas, gdy wolno było w kościołach śpiewać te pieśni, zwłaszcza z chwilą, gdy w szkole wprowadzono system Wielopolskiego, zmianę mundurków z ciemno zielonych z czerwonym kołnierzem na granatowe z białą wypustką, jak również rosyjskie furażerki na francuskie kepi z daszkiem. Wprowadzono historję Polski do przedmiotów szkolnych i z 4 godzin tygodniowo języka rosyjskiego, zrobiono tylko 2. Te pewne reformy były jakby uspakajaniem roznamiętnionych młodych umysłów. I tak przerobiliśmy klasę drugą, nadszedł rok 1863 — a 23 stycznia wybuchło powstanie.

Było nas w klasie III 43 uczniów, w ciągu niespełna trzech tygodni pozostało 14, reszta poszła w szeregi. — W klasach wyższych pozostało zaledwie po kilku i tak wśród walk, dookoła Kielc staczanych ze zmiennym szczęściem, przebyliśmy klasę III i przeszli do klasy IV.

Całe nasze zaufanie pozostałych uczniów przeniosło się na prof. Jezierskiego i Księdza Katechetę Brudzyńskiego, cała zaś ukryta nienawiść skierowała się w prof. Duchnowskiego, Filanowicza, a do dyrektora nie miał nikt z uczniów zaufania. Duchnowski był tym złym duchem dyrektora — szpiegiem i podżegaczem na młodzież, którą chciał rózgą zmusić do jakiegoś posłuszeństwa, a wydrzeć z młodych głów wszelką myśl o Ojczyźnie, o braciach, którzy giną z bronią w ręku lub na szubienicy.

Z zawziętością ścigał i szpiegował wszystkie objawy patrjotyczne u uczniów, robił rewizje w klasie między książkami, kajetami, po kieszeniach osobiście szukał, czy nie znajdzie u którego jakiegoś dowodu patrjotycznego czynu, lub jakiegoś zakazanego pisma.

Wybierał się z drugim podobnym indywiduum, pisarzem z kancelarji szkolnej, na rewizję po domach i stancjach, gdzie mieszkali uczniowie.

I to był Polak, profesor języka polskiego, co za ironja — zestawienie polskości z taką nędzną kreaturą, którą nie wiadomo dlaczego, czy dla awansu, czy orderu, ziała taką nienawiścią do tego całego ruchu narodowego. Jakże spokojnym, jakże zawsze pewnym siebie był prof. Jezierski, który mimo tak swobodnego traktowania całej sprawy, wobec władzy dyrektora i pewnie donosów, jakich mu nie szczędził kolega Duchnowski, był zawsze jednaki w postępowaniu z uczniami i nigdy nie splamił się jakimś podejrzanym, odbierającym mu zaufanie uczniów czynem. Jak to się działo — nie mogę dziś tego jeszcze zrozumieć — czy miał tak szerokie plecy za sobą, czy też sam ryzykował egzystencję swoją, dość, że tak było.

W klasie IV było nas 18, a było to już w roku 1864. Powstanie chyliło się ku upadkowi, nacisk pewien na uczniów był coraz większy, co chwila jakieś nowe rozporządzenie zabraniało i ograniczało myśl polską, wreszcie zakazano surowo śpiewów patrjotycznych po mszy niedzielnej w kościele.

Prof. Duchnowski pilnował rozporządzeń, myszkował, karał aresztem, chłostą, opornych — wypędzał ze szkoły, a dyrektor Formiński tracił także energję, oszołomiony

wszystkiem, co się w szkole i w kraju działo i wszystko aprobował, co Duchnowski zarządził.

Pamiętam, było to już po Wielkiejnocy, gdy po mszy w niedzielę kolega z klasy IV, niejaki Bobrowski, zaintonował na chórze pierwszy „Boże, coś Polskę", a za jego głosem poszedł cały kościół, napełniony młodzieżą.

Wśród śpiewu wpada na chór z dwoma pachołkami Duchnowski i przemocą porywają Bobrowskiego, pakują go wprost do komory, gdzie zwykle odbywały się egzekucje rózgowe, i z miejsca wymierzają mu 50 rózg — mimo wstawiennictwa prof. Jezierskiego, mimo protestów i okrzyków całej oburzonej do dna duszy młodzieży.

Straszny ten gwałt, wymierzony prawie z własnej inicjatywy Duchnowskiego był w skutkach dla niego fatalny. Następnego dnia miał mieć u nas w IV klasie godzinę języka polskiego, było nas wtedy 16. Gdy wszedł nastała prawie grobowa cisza. Zaczął wykładać od nauki moralnej na temat nieposłuszeństwa władzy. Nagle z ławek wyskoczyło czterech najsilniejszych — zamknąwszy drzwi od korytarza na klucz, w oka mgnieniu wraz z innymi, powaliło profesora na ziemię i zaczęło się dopiero maltretowanie, bicie, czem kto miał, kopanie krzyczącego z zawiniętą płaszczem głową, zanim służba zdołała drzwi wyważyć i uwolnić go z rąk rozjuszonych chłopców. Ledwie żywego wyniosła go z klasy. Dyrektor Formiński, który wpadł prawie razem ze służbą, z wściekłym wyrazem twarzy zaczął krzyczeć, zczerwieniał, zaczął następnie charczeć i bełkotać coś niezrozumiale, tak, że za chwilę przybyły prof. Jezierski z kilkoma innymi profesorami, widząc apopleksję porażonego profesora, już nie zważali na chłopców, którzy powoli, pozbierawszy książki, linje, kałamarze, zaczęli uciekać do domu.

Prawie na rękach zanieśli dyrektora do mieszkania, gdzie natychmiast posłano po lekarzy, którzy natychmiastowem puszczeniem krwi uratowali na jakieś lat kilka życie dyrektora. Jezierski został narazie zastępcą dyrektora; klasę IV rozpędzono, straciliśmy cały rok. Śledztwo prowadzono z początku bardzo energicznie. Chciano sprawę oddać pod sąd wojskowy, gdyż to był stan oblężenia w całym kraju zaprowadzony.

Prof. Jezierski to wszystko ze spokojem tak uregulował, że 14 z nas wróciło na rok przyszły do IV klasy i mogliśmy dalej kończyć szkołę. Prof. Duchnowski nie wrócił do szkoły. Ciężką chorobą przepłacił swoją gorliwość.

Dyrektor Formiński po ciężkim paraliżu przestał również być dyrektorem, stracił bowiem pamięć i wymowę do końca życia. Prof. Jezierski, przemienił szkołę realną na gimnazjum, dostaliśmy nowych profesorów łaciny, greki, dołożyli nam do skończenia klasę 7 — i w ten sposób doszliśmy do matury, którą w r. 1866 otrzymałem.

By nawiązać do wypadków i zdarzeń r. 1863 inne osoby, wspomnieć muszę w pierwszej linji wuja mego Dra Antoniego Andrzejowskiego, który jako doktór gubernjalny zajmował już w Kielcach od lat kilkunastu b. wysokie i poważane ogólnie stanowisko. Był bratem ciotecznym mojej matki i bardzo serdecznie i życzliwie przyjął nasze sprowadzenie się z Opatowa do Kielc. Dopomógł matce w wielu ważnych sprawach, nieodłączonych od takiego przesiedlenia się. Dr. Andrzejowski był żonaty, miał już wtedy 6 chłopców i troje dziewcząt na świecie, z których najstarszy był na uniwersytecie w Krakowie, także Antoni.— Konrad, który kończył Instytut Marymoncki, także w latach już 19 do 20. Lucjan, który podówczas był już w 7 klasie, Józef, który był w klasie III w instytucie Hillera, i dwóch jeszcze w domu uczących się chłopców, Feliksa i Daniela, i córki, Adelę, Cecylję i Marję, zostających pod dozorem Francuzki, gdyż wujenka z powodu braku zdrowia prawie że się dziećmi nie zajmowała. Więc tak liczny i obszerny dom, dobrze zagospodarowany, zajmujący przy jednej z większych ulic miasta wielką willę o kilkunastu pokojach, z ogromnym ogrodem owocowo-jarzynowym, potrzebował prócz Francuski do dzieci — ogólnej gospodyni — zarządczyni i taką też mieli, — 16 do 18 osób siadało zwykle do stołu — bez wuja i wujenki, którzy najczęściej z powodu, że wujenka nie wychodziła ze swoich pokoi, jedli osobno. Gabinet ordynacyjny i 2 pokoje przeznaczone na poczekalnię dla pacjentów, były również od godz. 3 do 6 — 7 zajęte.

Wuj Andrzejowski, jako doktór gubernjalny miał wielkie znaczenie urzędowe u władzy, był częstym gościem u gubernatora, którym zwykle był jakiś pułkownik lub jenerał — a w r. 1863 główną osobą, rządzącą miastem był jenerał Czengiery — znany i zapisany w historji powstania satrapa.

Widzę przed sobą dokładnie — postać wuja — średniego wzrostu, dobrej i zdrowej tuszy, z wielką głową, wsuniętą w ramiona, całkiem wygoloną, włosem starannie zaczesanym. Nieco wydęta spodnia warga nadawała mu zawsze pewien wyraz niezadowolenia, oczy jednakże i ca-

łość bardzo sympatyczne wrażenie robiły człowieka, któremu ufać było można.

Dlatego też jako doktór miał b. wielką klijentelę w całej prawie gubernji Kieleckiej i Radomskiej, znany, jako człowiek niepospolitego charakteru, umiał pogodzić wielką duszę, wielką wiarę — z ówczesnemi pojęciami rządu rosyjskiego i kleru duchownego. Wymieniam te dwie potęgi — które były naówczas miarodajnemi i Biskup Kielecki Majerczak wraz z całem otoczeniem duchownem — a to dlatego, aby wykazać, że wobec rządu umiał być lojalnym, będąc przytem zagorzałym patrjotą, a wobec kleru był najprzykładniejszym katolikiem, będąc przytem prawie apostołem Towianizmu.

Najstarszy syn wuja Antoni, był na studjach lekarskich w Krakowie, po ukończeniu Szkoły Realnej w Kielcach, wyjechał tam na uniwerytet i cały prawie czas powstania tam przebył.

Drugi po nim syn, Konrad, jako marymontczyk (uczeń instytutu wyższego rolniczego) z wybuchem powstania poszedł w szeregi powstańcze za zezwoleniem ojca; odebrał swój własny kapitalik przez babkę Wysocką (wdowę po jenerała z 31 roku) zapisany, składający się z kilkunastu tysięcy rubli i za ten kapitał uformował sobie dobrze uzbrojony oddział — stu kilkudziesięciu kawalerzystów, z którymi się oddał pod dowództwo Czachowskiego. Grasując głównie w bardzo bliskich okolicach Kielc, niepokoił w straszny sposób Moskali, którzy nie mogli dać rady bardzo ruchliwemu i specjalnie w partyzantce wyćwiczonemu oddziałowi. Tak jenerał Czengiery, jak wogóle całe miasto wiedziało, że syn wuja, Konrad, był prawie głównym dowódcą oddziału, wszelkie interpelacje rządowe, w tym celu do wuja skierowane, odparte były zawsze z godnością i powagą.

Lucjan, młodszy brat Konrada, był wtedy w klasie 6, uczył się pilnie, ale był tym cichym, niewidomym prawie opiekunem Konrada, który się w lasach z oddziałem znajdował, był w wielkiej zażyłości i przyjaźni z kapitanem od Czerkiesów, których 3 sotnie stało w Kielcach, a który był dziwnie oddany naszej sprawie. Lucjan zapoznał mnie także z kapitanem i dziwna sympatja i zażyłość wywiązała się między nami. Nazywał się Bekhuzarem, pochodził z Gruzji, nie cierpiał Moskali, a jednak służyć musiał, wzięty jako dziecko, prawie gwałtem oddany do korpusu kadetów, prędko awansował i mając zaledwie lat 25, był już kapitanem i dowódcą sotni kozaków kubańskich,

których pod specjalnym rygorem trzymał; widziałem go nieraz na ślicznym, skaro-gniadym w jabłka arabie ze wspaniałą bułaną grzywą i ogonem — jedno spojrzenie, jedno podniesienie nahajki wystarczyło, by w pełnym galopie wstrzymać momentalnie całą sotnię. Od niego też miał Lucjan jak najdokładniejsze wiadomości, kiedy i którędy wyjdzie z Kielc przeciwko powstańcom jego oddział, — o czem znowu umyślnym i zaufanym posłańcem jaknajprędzej dowiadywał się Konrad i do tych wiadomości stosował znów wszystkie swoje ruchy. Często bardzo sam Bekhuzarew wyjeżdżał na tak zwany Otriad czyli wyprawę — często przyprowadził z sobą kilkudziesięciu naszych w niewolę — bardzo źle odzianych i bardzo zbiedzonych obozowem życiem. Najczęściej sam Bekhuzarew z białą chustką na szaszce (szabli) podjeżdżał pod nasz oddział — bardzo nędznie uzbrojony — i prosił ich, by się poddali, bo inaczej każe się rzucić na nich Kubańcom, a wtedy ani jeden by cało nie wyszedł, a czynił to li tylko, aby nie dopuścić do masakry, którąby niewątpliwie cały oddział spotkała — brał do niewoli, z której najczęściej połowa różnemi sposobami dostawała się na wolność.

Nie dozwalał nigdy rabunku, palenia dworów lub wsi — dziwnie był ludzki i odczuwał całe nasze nieszczęśliwe położenie wobec takiej przemocy, jaką wówczas Rosja w stosunku do nas rozporządzała.

Przewidywał smutny koniec powstania, a jednak z prawdziwem współczuciem robił wszystko, co mógł, by nam dobrze zrobić, wiem, że często z Lucjanem wynosili sztućce, karabinki belgijskie, pistolety, pałasze i składali w jedno miejsce, skąd potem jakąś odpowiednią okazją broń dostawała się napowrót powstańcom.

Gdyśmy nieraz za długo wieczorem zabawili się na herbatce u Bekhuzarewa, to nas każdego po kolei odprowadzał do domu, gdyż po 8 godzinie wieczorem nie wolno było cywilnym chodzić po mieście.

Było to jakoś z początkiem grudnia 1863 r., gdy nagle rano wpadł do mej matki Lucjan i przyniósł straszną wiadomość, że Konrad w obozie przypadkowo się zastrzelił. Wiadomość ta ogromnie nas przeraziła. Postanowiono, że natychmiast matka moja, wuj, Lucjan, starsza córka Adela, no i ja uprosiłem, abym był razem z nimi, — pojadą do Piekoszewa, 3 mile od Kielc oddalonego, gdzie na plebanji miało być tymczasem złożone ciało Konrada.

Rzeczywiście we dwie godziny potem, siedzieliśmy wszyscy na wielkim wozie z odpowiedniemi siedzeniami,

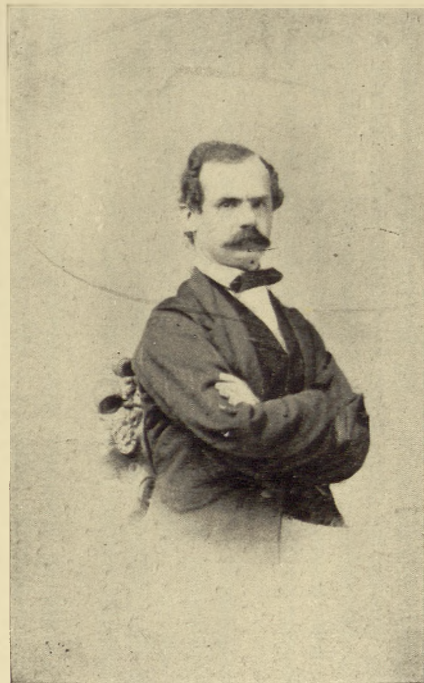
w parę doskonałych koni zaprzężonym — drugi wóz szedł za nami, z rozmaitemi dodatkami, jak trumna i świece wraz z człowiekiem, który miał nad tem wszystkiem dozór. Pamiętam, było b. wielkie zimno — wiatr mroźny, przejmujący, gruda na gościńcu, przypruszona suchym śniegiem. Pookrywani kocami, derkami, milcząco jechaliśmy po tej strasznej grudzie, podskakując na siedzeniach, to na prawo, to na lewo. Wuj siedział z moją matką na przodzie — ja z Adelką naprzeciwko, a Lucjan na koźle z furmanem. Patrzyłem z bólem na wuja, który milczał prawie całą drogę — od czasu do czasu otarł tylko łzę, która chciała mu z oka spłynąć po twarzy — widziałem w nim poddanie się woli Boga, a czułem, jak cierpiał. — Powiedział nam tylko, że ma od Czengierego pozwolenie pochowania Konrada na miejscu w Piekoszowie, że całkiem bezpiecznie jechać może wraz z rodziną, że nikt z wojska rosyjskiego na pogrzebie nie będzie — jednem słowem i satrapa uszanował ból ojca i nieszczęście, jakie spotkało rodzinę.

Po czterech godzinach ciężkiej jazdy przyjechaliśmy na plebanję w Piekoszewie, który, jak wiadomo, słynie z cudownego obrazu Pana Jezusa. Zajechawszy przed ganek, spotkaliśmy najpierw czterech kawalerzystów, trzymających rodzaj warty w pełnem uzbrojeniu z obnażonemi szablami.

Wyszedł do nas ksiądz pleban — a przywitawszy się z pewną serdeczną a smutną kondolencją, wprowadził nas do swej ciepłej kancelarji, abyśmy się po drodze zlekka ogrzali, rozebrali i rozgościli. Za chwilę weszło dwóch starszych kawalerzystów, ubranych w grube ciemnobronzowe czamary, w wysokich — za kola juchtowych butach — przy pałaszach i rewolwerach, a stanąwszy przed wujem — w najserdeczniejszych, ale ze łzami w oczach, słowach, zaczęli opowiadać przebieg wypadku, jakiego byli świadkami w obozie. „Przedwczoraj nasz pan komendant otrzymał kilka fur z prowiantem do obozu — w jednej z tych znajdowało się kilkadziesiąt sztuk najrozmaitszej broni — pistoletów, dubeltówek, rewolwerów, naboi i kilka woreczków prochu. Uszczęśliwiony niespodziewaną przesyłką, zawezwał do siebie kilku ze szwadronu, którzy się specjalnie na broni rozumieli, a nawet był między nimi rusznikarz, któremu komendant polecił nadzór nad całym transportem broni, odpowiednie wyczyszczenie, i całą reparację w razie, jeśliby czegoś brakowało.



Antoni Formiński



Herman Hiller

Po wydaniu rozporządzenia brał tę i ową broń do ręki, próbował zamków, przykładał się, nareszcie wziąwszy do ręki b. piękną dubeltówkę, oglądał ją na wszystkie strony, odwiódłszy kurek, spuścił go i w tej chwili nastąpił straszny strzał, który rozerwał część lufy od strony kurka, a brandkę, na którą zakłada się piston, oderwał przy rozsadzeniu i wpakował ją komendantowi przez oko do mózgu, tak, że w półtorej godziny potem umarł na naszych rękach".

„Oddział nasz stoi dwie godziny drogi od Piekoszowa w lasach i za zezwoleniem pana Konsyljarza pragnie być na pogrzebie swego ukochanego Komendanta" — na co wuj chętnie zezwolił — i poszliśmy zaraz wszyscy do pokoju, w którym było ciało na prowizorycznym katafalku ustawione.

Ukląkł wuj i z całym pietyzmem odmówił pacierze, ze łzą w oku zbliżył się do ciała i z czcią ojcowską złożył pocałunek na czole Konrada.

Czarna opaska przez oko pokrywała ranę — reszta twarzy była sino blada, — ciemnobronzowa czamara i wysokie juchtowe buty — biała kita włosienna przy konfederatce na czerwonej i białej kokardzie przypięta — to była cała oznaka komendanta.

Była godzina trzecia po południu i pogrzeb miał się następnego dnia o 10 rano odbyć z kościoła po solennem nabożeństwie. Wieczorem przeniesiono ciało z trumną do kościoła, tam ją ustawiono na katafalku; przez całą noc zmieniała się warta honorowa — po dwóch kawalerzystów.

Nazajutrz o godzinie 8 rano usłyszeliśmy trąbkę i przerażeni, czy to przypadkiem nie Moskale chcą nam zrobić wizytę — wylecieliśmy z Lucjanem przed plebanję. Na zakręcie drogi ujrzeliśmy sto kilkadziesiąt koni naszej kawalerji, która dwójkami przez bramę wjechała i utworzyła front na podwórzu plebanji. Prócz tego zjechało się trochę sąsiadów z okolicznych wsi, przyszło wiele ludu wiejskiego i mieszczańskiego, również na pogrzeb. A zdziwienie pewne ogarnęło wszystkich, widząc cały oddział powstańców konno i zbrojno.

Ksiądz proposzcz czem miał i co miał, uczęstował kawalerję — to herbatą, to ciepłem grzanem piwem, wnet ze wsi naznoszono masła, chleba, sera, jaj, by zziębniętych ogrzać, pokrzepić i ugościć.

O godzinie 10 ksiądz proboszcz z asystą kilku innych księży odprawił solenne nabożeństwo, — jeden z księży

wypowiedział z ambony krótkie kazanie, a po egzekwjach połowa spieszonej kawalerji — po 6-ciu wzięło trumnę na barki i zmieniając się, odprowadzili ciało na cmentarz, reszta kawalerji jechała stępo za pogrzebem, a po krótkiej przemowie jednego ze starszych i po daniu salwy z kilkunastu karabinków — spuszczono ciało do grobu.

Tak odbyła się ta smutna ceremonja. Gdy ksiądz proboszcz pytał Wuja — czy ma złożyć do urzędu gminnego sprawozdanie o przebiegu pogrzebu, to, dziękując proboszczowi za pogrzeb, oświadczył, że on sam złoży gubernatorowi najdokładniejsze sprawozdanie.

Tego samego dnia wróciliśmy po pogrzebie Konrada do domu. Bekhuzarew prawie był na wyjezdnem, dostał bowiem rozkaz wraz z 3-ma sotniami Kubańców przemarszu do Warszawy. Obdarował nas, czem mógł, — mnie dał bardzo piękny kaukazki pas srebrny z małym kindżałem, Lucjanowi piękną tulską tytonierkę i b. piękny mały francuski rewolwerek; wziął ze sobą nasze fotografje, dając wzamian z podpisem swoje — i tak rozstaliśmy się serdecznie, po przyjacielsku i już potem nie spotkaliśmy się w życiu.

Wuj pragnął ciało Konrada sprowadzić do Kielc, do grobu rodzinnego, jak się później dowiedziałem, ale Czengiery stanowczo się temu oparł, zezwolił więc na pogrzeb w Piekoszewie, nie chciał jednak dawać sposobności w takiem mieście, jak Kielce do ogólnej manifestacji, jakaby się z pewnością stworzyła przy tak wielkiej sympatji ogólnej, jaką wówczas posiadał Wuj Andrzejowski w Kielcach i w całej okolicy.

Czengiery nie odmawiał Wujowi wogóle żadnej prośby jeżeli szło o złagodzenie kary lub uwolnienie więźnia, któremi Kielce w roku 1864 było przepełnione.

Drugim człowiekiem, mającym również tak wielki wpływ na satrapę był dyrektor Hiller, o którym w poprzednim rozdziale wspominałem. Ci dwaj nie odmawiali nikomu swej protekcji do pana życia i śmierci i wiele, b. wiele, dobrego czynili.

Przechodzę do drugiej kwestji — czysto moralnej — do kwestji wiary Wuja, jaką posiadał, i wysokiego taktu i rozumu, z jakim umiał pogodzić stosunek swój socjalny do wysokiego kleru i duchowieństwa. Wiemy dobrze, że papież Pius X bezwzględnie potępił wszystkie nowe prądy i inowacje w świecie katolickim, nadał im miano modernizmu chrześcijańskiego (sekciarstwa). Modernizm ten powstał w latach 50 i 60, kiełkować zaczął w różnych kra-

jach, głównie na zachodzie Europy, a nawet i w Rosji. (Tołstoj).

Ogarnął umysły wyższe, bez szkody dla kościoła, umysły niższe ze szkodą, bo obudził u nich pewną ciekawość w rzeczach religji, ale ciekawość pośledniego gatunku — płytką i bardzo światową. Więc kler obawiał się słusznie, aby ogół nieuświadomionej ludności nie pogrążył się w otchłaniach negacji, nienawiści i wynikającego stąd znikczemnienia moralnego.

„Byłby to rodzaj antyteizmu — b. niebezpiecznego, a mając jeszcze sojusznika w ułomnościach samego kościoła, — któreby umysły głębsze i szukające prawdy mogły jako zarzuty przeciwstawiać kościołowi — prąd taki i ruch moralny byłby groźniejszy, niż wszystkie inne pociski, przez otwartych wrogów kościoła rzucane" — tak mówił jeden z poważnych pisarzy ówczesnych.

Towiański należał do tych wyższych umysłów, wszyscy zwolennicy jego nauki, w której tylko prawdę Bożą i miłość bliźniego w najwyższym stopniu uznawali, byli przytem najlepszymi katolikami — nie przynosząc żadnej szkody kościołowi, ale była to inowacja, był to modernizm katolicki, którego Papież encykliką swoją zabronił, tego zakazu wyższe umysłu uznać nie chciały, bo i dlaczego nie szukać prawdy tam, gdzie ją można znaleźć — zwłaszcza, że religja nasza potrzebuje tego ciągle, aby ją u jednych pogłębiać, a drugich, więcej obojętnych do prawdziwej religji pociągnąć.

Miał też wielki dar Towiański pogłębiania u jednych wiary, a u drugich pociągania ich do niej.

Wielki nasz poeta, Adam, wyczerpany życiem, wyczerpany twórczością swoją, zwątpiwszy prawie o istnieniu Boga — spotkawszy na swej drodze Towiańskiego, został na nowo pociągnięty do wiary — został w niej na nowo utrwalony i wielce pogłębiony. A pewien literat szwajcarski, b. wysoko umysłowo stojący, Adolf Libre, pod wrażeniem osoby Towiańskiego, mówi o nim: „Jeśli ten człowiek jest chrześcijaninem, to budzi w sercach ludzi wielkie zwątpienia o prawdzie chrześcijańskiej, jakiego nie obudziły dotąd żadne systemy filozoficzne". Ale obawa pana Libre była próżną — jak sam potem przyznaje: „Towiański nie występował ani przeciw kościołowi katolickiemu, a tem mniej przeciwko chrześcijaństwu", jak również ci wszyscy, którzy pewne zasady — pewne prawdy przyjęli od Towiańskiego.

Doktór Andrzejowski i cała jego rodzina, z którą miałem sposobność żyć latami, nie dała mi nigdy powodu do myślenia, że jest coś w tych ludziach, co fałszem pokrywają jakąś życiowo aktorską grą.
O nawracaniu mnie i urabianiu jakiemś mego myślenia moralnego, mojej wiary, którą miałem przez matkę wpojoną, nie było nigdy mowy. Tak sam Wuj, jak i bracia cioteczni nie wpływali niczem na mnie — jedna zasada była u nich — nie wolno było kłamać: „to, coś powiedział, ma być prawdą" — to była cała mądrość i zasada Wuja i całej rodziny.

Tam nie było blagi — tam było szczere, otwarte postępowanie. Wuj z Wujenką prawie corocznie wyjeżdżali zagranicę i przebywali w Szwajcarji — przy Towiańskim, mieli w kraju kilkanaście rodzin, którzy byli i których nazywano Towiańczykami, i którzy do dzisiejszego dnia żyją na zasadach nauki Towiańskiego. A przecież należą do najlepszych katolików i najzacniejszych ludzi.

I tak przebyliśmy razem rok 1865, w którym to roku, będąc już w klasie VI, a chcąc ulżyć matce, przyjąłem obowiązek korepytora do młodszego od siebie kolegi z III klasy, Jasia Biechońskiego, którego rodzice mieszkali w swoim własnym dworku, prawie naprzeciwko gimnazjum. Jaś Biechoński był najmłodszym bratem Wojciecha i Stanisława Biechońskich, dom bardzo zacny i poważany w Kielcach. Najstarszym był Wojciech Biechoński, znany u nas w kraju, prawie ukończył Szkołę Realną, gdy wybuchło powstanie, a należąc do Rządu Narodowego i czynnego ruchu powstania, cudem prawie wydostał się ze szpon moskiewskich i schronił się zagranicę, gdzie do dziś dnia, jako człowiek b. poważany, przebywa we Lwowie. Drugi brat , Stanisław, po ukończeniu gimnazjum pojechał na kursy do Szkoły Głównej w Warszawie, trzeci najmłodszy, Jaś, był moim uczniem, coprawda latami może niewiele młodszy ode mnie. Przy końcu roku — na ostatni kwartał — przeniosłem się do matki, w celu odpowiedniego przygotowania się do matury — a otrzymawszy świadectwo dojrzałości, zostałem — jak to mówią — pasowanym na samodzielnego człowieka. „Święć się, święć się wieku młody — śnie na kwiatach, śnie mój złoty" — tak mówi poeta, ale co innego mówiło życie.

Ostatnie pożegnanie z kolegami — wspólny obiad po maturze — czy może być coś więcej miłego — coś więcej nastrojowego do kochania całego świata i wszystkich, których się ma koło siebie.

Dnia 1 lipca zebraliśmy się na wspólny obiad w restauracji, na który zaprosiliśmy dyrektora Jezierskiego, ks. katechetę Brudzyńskiego i kilku naszych profesorów — nie wszyscy jednak przyszli. Z kolegów, którzy byli obecni, — mam ich ciągle przed sobą — bo mam pamiętnik, do którego dnia tego każdy z nich wpisał mi słów kilka pożegnania — a więc pokolei, jak kartki idą — tak ich nazwiska wypisuję — Łagowski, — Aleksander Skulski, Władysław Puchała, — Wincenty Szarłowski, — Marjan Neuman, — Teodor Ostromyśliński, — Kazimierz Borodzicz, — Zagrodzki Wład., — Malinowski, — W. Skalski, — Włodarski, — Pigłowski, — Br. Wilkoszewski, — St. Sielski, — W. Czaplicki, — A. Teliga, — Feliks Rybarski, — Emil Klim, — A. Kownacki, — Jungiewicz, — Sobieszczański, — Adam Kalinka, — W. Buchner, — Młodzianowski, — K. Wasilewski, — St. Siedlecki, — Borkowski, — E. Baird, — Wojciech Lange, Lewandowski. Blisko 30 nas wtedy otrzymało owe świadectwa dojrzałości, pewnie, że niejeden już był całkiem dojrzały i szeroko pojmował życie — połowa z nas była jeszcze dzieci z napchanemi głowami — pełnemi różnych wiadomości, ale z chaosem, nieuporządkowanym zupełnie. W czasie rozdawania świadectw dojrzałości — dyrektor Jezierski zwrócił się specjalnie do mnie z małą przemową. Wiedziałem, że coś się święci, bo Lucyn coś wiedział od ojca, więc zapłoniony słuchałem przemowy Dyrektora — który mówił „że przed laty 7 — (gdym zdawał egzamin do klasy pierwszej) — na obiedzie oficjalnym u Biskupa Majerczaka — na którym było kilkadziesiąt osób zaproszonych, powstała myśl złożenia pewnej kwoty na stypedjum, dla ucznia który najlepiej zda wstępny egzamin i który przez całe gimnazjum przejdzie ze stopniem b. dobrym do matury.

Stypedjum to wówczas złożone zostało na książeczkach Kasy Oszczędności i zostało zapisane wtedy według uchwały grona profesorów na Twoje imię.

Dziś po latach 7 wraz z ubiegłemi odsetkami, wręczam ci tę książeczkę wobec grona Kolegów, jako fundusz na dalsze kształcenie się w sumie 360 kilku rubli. Z ogromnym okrzykiem „niech żyje Dyrektor Jezierski i grono naszych profesorów", pożegnaliśmy się ze szkołą zapraszając ich na wspólny obiad, który się miał odbyć. Byłem uradowany z tego daru, ale było mi również przykro dla czego tylko ja, kiedy było wielu kolegów, którzy bardzo dobrze się uczyli, b. dobrze sprawowali. Byłbym się chęt-

nie z nimi podzielił. Dlaczego ja jeden mam być uszczęśliwiony.

Oddałem matce stypendjum, dostałem od niej setkę papierosów ze szczerym uściskiem, z wielkiego uradowania i z pozwoleniem palenia, do czego ukradkiem miałem już nieraz ochotę, popołudniu byłem u Andrzejowskich, gdzie również cała rodzina ucieszyła się bardzo z mej matury i stypendjum jakie dostałem. Wuj i Wujenka radzili mi nie jechać zaraz do Warszawy, a pozostać chociaż rok jeszcze w Kielcach, uważali mnie jeszcze za wielkie dziecko, które na Warszawskim bruku z trudnością przebijać się będzie przez życie. I tak się też stało. Hiller zaproponował mi miejsce u siebie, w Instytucie, do dawanie lekcji matematyki w klasie I i II i do korepetycyj z kilkoma internisistami z klasy III i IV, ta pierwsza posada przynosiła mi stół, stancję i 50 Rs miesięcznie. Był to jednak już obowiązek, który wymagał punktualności i rzetelnego a sumiennego zajęcia się, utrzymania pewnej już powagi, wobec uczni, a niezrażenia ich do siebie jakimś nietaktownym czynem. Przyzwyczajony jednak do pracy, spełniałem te obowiązki, które i dla mnie były b. korzystne, nabierałem bowiem wprawy i metody uczenia i korzystałem sam b. wiele w językach: niemieckim i francuskim. Hiller jako mój przełożony lubiał mnie bardzo, bywał od czasu do czasu u Matki, przyjął na bezpłatną naukę brata mego młodszego, Alfreda, a przytem często bardzo spotykaliśmy się poza instytutem u pp. Dyrektorów Formińskich, gdzie od wypadku dyrektora, Hiller był prawie codziennym gościem i był w wielkim stosunku zażyłości z domem Formińskich; ja zaś również chętnie tam bywałem z powodu panien, szczególnie starszej Julji, której wyższa inteligencja, oczytanie w literaturze robiły na każdym młodym chłopcu wielkie wrażenie, — dysputy o dziełach Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i całej plejady naszych poetów. Wieczory całe przechodziły na wspólnem czytaniu, na rozmyślaniu nad różnemi niejasnemi dla nas obojga wierszami Krasińskiego lub Słowackiego, przytem uczyliśmy się wspólnie tańczyć, gdyż rok rocznie do Kielc zjeżdżała z Warszawy niejaka panna Goebel na parę miesięcy i w utworzonych tak zwanych kompletach po domach inteligencji dawała lekcje tańców, a że u pp. Formińskich było prawie trzy córki dorosłe, razem z innemi domami zebrało się 6 par kompletu do nauki tańca, najczęściej przez tę godzinę lub półtory, grała moja matka na fortepianie, a czasem i dyrektor Hiller, jak był w dobrym

humorze, a świetnie grał, szczególnie mazury i wogóle muzykę b. wysoko posiadał.

Dyrektor Formiński od ataku zrobił się biernym, cichym, zgarbionym we dwoje manekinem, którym żona i córki, wprawdzie z wszelką delikatnością i z całą cierpliwością kobiecą, kierowały i rządziły, jak chciały. Najczęściej siedział niemy w swoim pokoju, niby czytał gazety, niby czytał książki, ale co chwila rad był kogoś o coś zapytać, a język odmawiał mu posłuszeństwa. Rodzina w lat kilka przyzwyczaiła się do tego stanu Ojca, folwark w Niewachlowie sprzedali, a po wypadku, a raczej śmierci średniej córki, Marji, która w 15 roku życia na zapalenie opon mózgowych umarła, Pani dyrektorowa, aby być bliżej swojej rodziny, Mikulskich, Turczynowiczów przeniosła się do Warszawy z mężem i z całym domem, w czem bardzo wiele dopomógł jej swemi stosunkami Hiller.

Z końcem września 1867 roku postanowiłem wyjechać stanowczo do Warszawy, aby się zapisać do Szkoły Głównej. W tym czasie powrócił jako ukończony medyk brat mój cioteczny, Antoni Andrzejowski, najstarszy z synów wuja, niestety przyjechał, jako ukończony doktór, ale po operacji, którą przeszedł z nosem wskutek zakażenia, zmuszeni byli doktorzy odjąć mu z jednej strony, prawie całe skrzydło nosowe, co go szalenie zeszpeciło, któryto wypadek wpłynął jeszcze więcej na smutne usposobienie prawie wszystkich osób w domu. Lucjan z towianizmu wszedł cały w jakiś melancholijny mistycyzm, Antoś, jakkolwiek był przejęty cały zasadami towianizmu, to mimo tego, że czuł, jaką krzywdę fizyczną zrobił mu ten wypadek z nosem, był o wiele weselszy i przyjemniejszy jako towarzysz.

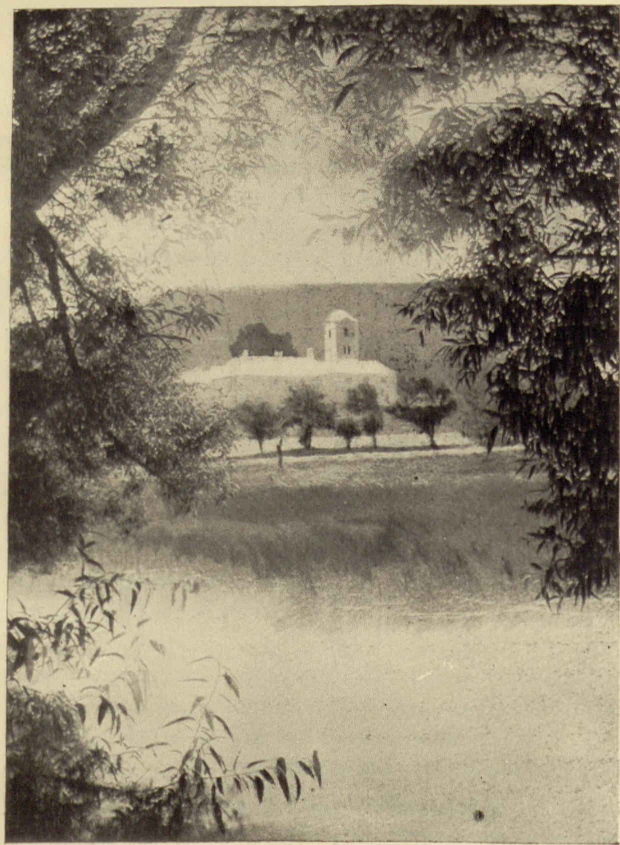
Pamiętam wyjazd mój do Warszawy. Tak zwana Sztankielerka, czyli poczta osobowa z Kielc do Warszawy wychodziła prawie codziennie wieczorem, lecz to była za droga komunikacja. 4 osoby mogły tylko jechać w karetce, a 5-ta na siedzeniu z pocztyljonem; nie pamiętam już wiele taka poczta kosztowała, ale co najmniej 30 Rs., gdy tymczasem tak zwane budki żydowskie odchodziły także prawie codzień wieczorem, można było również zabrać ze sobą kuferki i bagaże, ilość tylko osób była nieograniczona, dla taniości jednak nie było wyboru. Umowa z żydkiem, godzina 6 wieczorem, 12 Rs. zapłaty, połowa zgóry, druga w Warszawie. Pożegnawszy się więc ze wszystkimi znajomymi, pobłogosławiony przez wuja, wujenkę, księdza katechetę Brudzyńskiego, zostałem przez matkę, rodzeń-

stwo i Hillera odprowadzony do miejsca, skąd budki żydowskie wyjeżdżały, a ulokowawszy rzeczy swoje i zająwszy miejsce, uprosiłem moich ukochanych, aby już nie czekali na to żydowskie „zaraz jedziemy", tylko wyściskawszy, wycałowawszy wszystkich, zmusiłem ich prawie, aby wrócili do domu. Bo też rzeczywiście to żydowskie „zaraz" takiego bałaguły trwało przeszło godzinę, co raz to nowi pasażerowie przychodzili, chcąc się, jak to mówiąc, tylko przysiąść, że jednak więcej jak 8 osób policyjnie było zabronione, więc na szczęście tylko 10 osób siedziało, kiedy nareszcie ruszyliśmy traktem ku warszawskiej rogatce. O godzinie 9 wieczorem stanęliśmy w Suchedniowie na pierwszy popas.

Co za zdziwienie moje wielkie było, gdy wyskoczywszy z budki, zobaczyłem Lucjana i Antosia, którzy mi nic nie mówiąc, wynająwszy sobie konie, wyjechali, wiedząc, że na pewno w Suchedniowie pierwszy nasz popas będzie, więc radość nasza wspólna była wielka, weszliśmy do oberży, która należała do b. porządnych, na drodze do Warszawy. Bracia prosto porwali mnie do stolika, świeżo i porządnie nakrytego, przy którym siedliśmy do obstalowanej przez nich kolacji. Pamiętam była doskonała ryba po żydowsku w galarecie i kurczęta na rożnie pieczone z mizerją i sałatą, kolacja smakowała nam bardzo, butelki dwie wina węgierskiego wypiliśmy. Rozmowa byłaby trwała bez końca, gdyby nie bałaguła, który przyszedł oznajmić, „że już jadą". Pożegnaliśmy się i to była ostatnia kolacja, którą jadłem z Antosiem, od tej kolacji nie spotkaliśmy się w życiu ani razu. Z Lucjanem byliśmy razem potem w Warszawie, wprawdzie ja mieszkałem gdzie indziej, on gdzie indziej, ale zawsze Szkoła Główna była punktem, gdzieśmy się najczęściej spotykali.

Nie będę opisywał dalszej podróży w żydowskiej budce. Noc, dzień cały i jeszcze jedną noc trwała nasza podróż, coś o godzinie 7 rano stanęliśmy między innemi budami na Placu Grzybowskim w Warszawie.

TADEUSZ RYBKOWSKI.



Klasztor Św. Katarzyny widziany ze wsi od młyna

Od Redakcji.

Wspomnienia z lat młodocianych Tadeusza Rybkowskiego stanowią część pamiętnika, udzielonego nam łaskawie do zużytkowania przez wdowę po autorze, p. Janinę Rybkowską, za co Jej w tem miejscu redakcja „Pamiętnika Koła Kielczan" serdeczne składa podziękowanie. Spisane w r. 1920 autor ozdobił ilustracjami i fotografjami. Parę rysunków jego ręki i dwie fotografje dodajemy do wspomnień wydrukowanych.

Parę słów o autorze pamiętnika.

Tadeusz Rybkowski zmarł w 1926 roku we Lwowie. Urodzony w Kielcach w 1848, po ukończeniu miejscowego gimnazjum przeniósł się na Wydział fizyczno - matematyczny do Szkoły Głównej w Warszawie, gdzie następnie do roku 1872 pracował w sekcji inżyniersko-budowniczej Był potem uczniem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, w roku zaś 1875 wyjechał do Wiednia w celu dalszego kształcenia się w malarstwie. Studjował w Akademji Sztuk Pięknych pod profesorem Wurzingerem, a po roku został prywatnym uczniem wybitnego malarza polskiego Loeflera - Radymno i pozostawał u niego aż do roku 1878.

Od tego czasu pracuje dalej samodzielnie w Wiedniu, w własnej pracowni, wyjeżdżając co roku na kilka miesięcy do kraju. Pracował również w zakładach dekoracji teatralnej Brioschiego i Kautskyego, a nadto jako prywatny uczeń prof. Hansa Makarta, kształcąc się specjalnie w malarstwie dekoracyjnem, który to dział malarstwa właśnie w tym czasie zaczął się w Wiedniu szczególnie rozwijać. Prócz podróży do kraju odbywał w tym czasie podróże za granicę, jak do Monachjum, Drezna i Wenecji.

Z pierwszych prac, wykonanych pod kierunkiem i w pracowni Loeflera wymieniamy: „Przygotowanie do zjazdu w zaścianku Dobrzyńskim z „Pana Tadeusza", „Wesele krakowskie", „Nieudane wyścigi", „Polowanie na słonki", „Polowanie na dzika", „Targ w Przemyślu" (odznaczony na wystawie w Künstlerhausie wiedeńskim w 1884).

Od roku 1888 do 1892 zajęty był przy restauracji gmachu Ministerstwa Skarbu w Wiedniu (dawniej pałac ks. Eugenjusza Sabaudzkiego). Nadto — prócz 5 kopij portretów rodziny panującej w Austrji, wykonał kilka obrazów dekoracyjnych do sali balowej, urządzonej w tym gmachu. W roku 1892 — 1893 wykonał na zamówienie Ministerstwa Oświaty obraz „Platz am Hof"

Od roku 1893 przebywał ś. p. Rybkowski stale we Lwowie, dokąd został powołany na profesora malarstwa dekoracyjnego w Szkole Przemysłowej i tu przez przeciąg 33 lat wykonał bardzo wiele prac dekoracyjnych i rodzajowych.

Ś. p. Rybkowski był jako artysta typowym przedstawicielem genre'u wiedeńsko - monachijskiego, do którego jednak wprowadził miły sentyment polski. Obrazy jego i obrazki, pełne małych, z minjaturową precyzją wykonanych figur, mają sympatyczny nastrój staroświecczyzny, który pozwolił im ostać się i zjednywał im licznych zwolenników, pomimo olbrzymich ewolucyj, jakim uległa sztuka w ostatnich dziesiątkach lat. Sceny ludowe w karczmie, przekupki, włościanie na targu — to były ulubione jego tematy. „Targ na Placu Bernardyńskim we Lwowie" był ostatnim jego dużym obrazem z tego zakresu.

Rybkowski był żywą encyklopedją malarstwa polskiego. Stykał się w Wiedniu z Rodakowskim, kolegował z Malczewskim i Wojciechem Kossakiem, żyjąc bardzo długo, znał niemal wszystkich malarzy naszych, których działalność przypadła po roku 1870 i umiał o nich bardzo interesująco opowiadać. O tym talencie narracyjnym można się przekonać, czytając pamiętnik.

Do str. 47. Ustęp, dotyczący zbiorów Zielińskiego, pozostawiliśmy bez zmian, aby w niczem nie zmieniać charakteru wspomnień. Ś. p. Rybkowski, pisząc o Zielińskim, nie znał faktów, ujawnionych już w literaturze pamiętnikarskiej, które w zgoła odmiennem świetle stawiają sprawę pochodzenia zbiorów artystycznych Zielińskiego.

ŚWIĘTA KATARZYNA

Latem 1930 r. wybrałem się na wypoczynek do Świętej Katarzyny pod Łysicą. Pobyt mój tutaj trwał zaledwie parę tygodni, z czego połowa zginęła mi w deszczach; niewiele więc użyłem i niewiele zanotować mogę.

I.

Przybyłem tu po moje wspomnienia z lat dziecinnych. O tych czasach, jak tutaj spotykaliśmy się z Żeromskim, pisałem w roczniku „Pamiętnika Koła Kielczan" za r. 1927. Zmieniło się wiele. Mianowicie droga z Kielc do Bodzentyna wiodąca przez Św. Katarzynę, jest teraz pierwszorzędną szosą samochodową, wskutek czego przestrzeń do Św. Katarzyny z Kielc (21 kilometrów) przebywa się w ciągu 20 minut, 7 zaś kilometrów stąd do Bodzentyna w 7 minut. A przecież dawniej podróż przez tę górską drogę kamienistą była wielogodzinną męczarnią. Powtóre można tu zamieszkać w wygodnym pensjonacie, o czem dawniej nikomu się nie śniło. Obok pensjonatu istnieje schronisko dla turystów. Za moich lat dziecinnych klasztor zamieszkiwało kilka zaledwie staruszek, którym pozwolono tu wymrzeć; teraz klasztor ma swoje życie normalne.

Pomimo wszystko jest tu pustkowie, a jak Żeromski w „Puszczy jodłowej" określa — „wielorakie pustkowie, którego zwornikiem jest klasztor". Istotnie jest to punkt ogniskowy okolicy. Białe ściany klasztoru przypartego do ciemnej góry lasu zawsze sprowadzą ku sobie oko, błądzące po szerokim krajobrazie. Bo kiedy spojrzymy od klasztoru w dolinę, to mamy przed sobą rozległy krajobraz na dziesiątki kilometrów z Psarską górą w głębi, pokryty kilimami chłopskich pól. Trudno o rozleglejszą panoramę. Na stoku podnóża Łysicy w tej dolinie leżą w kierunku Kielc pola i łąki wiosek Św. Katarzyny, Wilkowa, Mąchocic, Ciekot, Krajna. Są to wioski znane najlepiej Żeromskiemu i często przez niego wspominane, a panuje nad niemi w pasmie wyżyn góra Radostowa.

Wioski te wdarły się pod górę wytrzebiwszy lasy. Za wiele tych lasów wyniszczono, bo z łąk, które po nich pozostały, pokrytych krzakami, mało pożytku. Mokre są, bo to stoki północne, z trawą kwaśną, a podłoże kamieniste,

wymagające wielkiego nakładu, zanimby zdatne się stały do uprawy.

Lasy na Łysicy chorują. Rzucił się na nie kornik. Zaniedbany zrazu, co należy uważać za karygodne niedbalstwo leśnictwa, teraz staje się trudny do wytępienia. Cały rok snują się dymy po górach. Bo teraz niema już innej rady, jak wycinanie chorych sztuk drzewa i obdzieranie ich z kory. Gałęzie i kora palone na stosach żałosny sprawiają widok. Gołe pnie idą masami na sprzedaż. Taki też los starych ludzi, że przy złem gospodarstwie zostają bez koszuli wyrzuceni z ojcowizny.

Klęskę kornika spotęgowały mrozy r. 1929. Drzewa słabsze zachorowały. Kora niewydzielająca smoły jest poszukiwana przez kornika. Opanował też chore istoty. Zdrowe drzewa nie ciągną ku sobie szkodnika. Żywotna bowiem kora więzi go smołą i uśmierca. Góra ciemno zielona, w pewnych warunkach oświetlenia aż fjołkowa — teraz zrudziała, ma chore na sobie wypieki. Kolejka leśna, opasująca górę od czasu okupacji austryjackiej, ułatwia wywóz nagich jodeł. Po lesie rozlega się, jakby pełno było dzięciołów, praca siekiery.

Piękne jednak odbywać można w puszczy spacery bądź szosą, bądź linją kolejki. Zachowały się trzy kapliczki, ślady dawnych pustelni. W jednej z nich na wapnie wyskrobany przez Żeromskiego podpis z r. 1883 nakryto szklanną szybą, aby ocalał dla potomności. W drugiej na polanie koło źródła Św. Franciszka w odpust tego świętego odprawione bywa nabożeństwo. Zastałem też tam, przyjechawszy w sierpniu, ambonę prowizoryczną pod jodłą.

Źródło to uchodzi wśród ludu za cudotwórcze. Wiodą do niego stopnie kamienne, któremi dół ocembrowano. Wodę do picia z tego źródła odprowadzono rurą do rynienki opodal, źródło zaś ogrodzono płotem i drutem kolczastym. Nie było innego sposobu zabezpieczenia go od zanieczyszczeń. Schodzili się tutaj chorzy, szukać w źródle ratunku na rany i choroby oczu. Zanurzali tam ręce, nogi i szmaty.

Woda w źródle lodowata i przezroczysta jak kryształ, bije zaś wytryskami z dna, które podobno jest przepaściste, choć wygląda niewinnie. Źródło Św. Franciszka ma, jak się zdaje, właściwości radjoaktywne. Poczytywane przez lud za święte, w całej tej kompozycji przyrody jaką jest Łysica, ma znacznie centralne, jako łącznik między ziemią, Bogiem i człowiekiem. Bóg cudownością tego źró-

dła przejawia się tutaj w przyrodzie, idąc z ratunkiem człowiekowi.

Dążąc szosą w górę ku Krajnu, ujrzymy na kraju puszczy trzecią kapliczkę Jezusa Miłosiernego, a naprzeciwko niej przez drogę kamienny obelisk, wystawiony w tym roku przez uczniów kieleckiego kółka św. Kingi na cześć Puszczy i Żeromskiego. Ten pomnik Żeromskiego w Puszczy jest jedynym reprezentantem kultury duchowej świeckiej. Dostała się tutaj w napisie na kamieniu i literatura.

Wszystko tu jest zresztą pomnikiem. Sama góra z Puszczą jest czcigodnym pomnikiem dziejów ziemi; a koło niego pomniki wiary ludu polskiego: źródło gdzie przejawia się aktywność miłosierdzia świętej ziemi, kapliczki wreszcie i klasztor — pomniki dziejów kościoła na ziemi polskiej.

Kapelan klasztoru sióstr Bernardynek, ks. Kostrzewski, na moją prośbę spisał wiadome mu daty z dziejów klasztoru. Bardzo są skąpe wiadomości o nim, ponieważ pożary zniszczyły wszelkie archiwa. Z notat tych widzimy, że siostry Bernardynki przybyły do tego klasztoru dopiero w r. 1815. Przedtem był to klasztor męski oo. Bernardynów, jak tradycja niesie, z charakterem penitencjarnym.

W r. 1815 spłonął drewniany klasztor sióstr Bernardynek w Drzewicy (w Opoczyńskiem). Biskup sandomierski ks. Stefan Hołowczyc oddał wtedy bernardynkom z Drzewicy klasztor w Św. Katarzynie. Przybyła wtedy z sześciu zakonnicami matka Onufrja Skarzyńska.

W r. 1847 na wiosnę — była wtedy przełożoną matka Antonina Raczyńska — straszny pożar zniszczył prawie doszczętnie i kościół i klasztor. Wtedy spłonęły archiwa. Długie lata trwała odbudowa, dokonywana ze składek zbieranych w Królestwie i na Litwie. Po kasacie klasztorów w r. 1864 uznano św. Katarzynę za klasztor etatowy z prawem utrzymywania 14 zakonnic. Na zbywające miejsce przysłano zakonnice z innych klasztorów już skasowanych. W r. 1905 na mocy ukazu Cesarza Mikołaja o tolerancji religijnej można było pomyśleć o nowicjacie. Ze skazanych na wymarcie dawnych zakonnic pozostało w tej dacie 6 staruszek. W r. 1907 odbyły się obłóczyny pierwszych 6 nowicjuszek. Odtąd zakwitło życie w klasztorze.

Rola tego białego pod Łysicą klasztoru zawsze była dobroczynna dla tej dzikiej okolicy. Zakonnice potrafiły utrzymać kontakt nie tylko z wędrowcami szukającymi przytułku, ale z ludnością okoliczną, wśród której szerzyły oświatę. W czasie powstania 1863 siostry zakonnice wiele

pomagały oddziałom polskim, ukrywającym się w lasach, przechowując ludzi u siebie i posyłając do lasu żywność. Po wznowieniu nowicjatu zajęły się nauczaniem dzieci, a potem, kiedy już nastały szkoły polskie, założyły u siebie szkołę gospodarczą i robót kobiecych, kroju i szycia z internatem dla dziewcząt z dalszych okolic. Obecnie jest w internacie 20 takich wychowanic.

Zakonnic zaś jest 24. Klasztor Św. Katarzyny urządzony jest na prawach klauzurowych, to znaczy: z surową regułą, nie pozwalającą siostrom wydalać się z klasztoru. Nie można też zobaczyć w rozmównicy oblicza sióstr dyżurujących. Rozmównica ogólna zawsze jest otwarta, wypoczywają tutaj przechodnie i często wstępują mieszkańcy. W drodze faktu i zwyczaju klasztor pełni rolę poczty miejscowej, dostarczając dla całej św. Katarzyny listy i gazety z Bodzentyna. Jakież jednak były początki klasztoru, o których dorywcze wiadomości daje Żeromski w „Puszczy Jodłowej"?

Ks. Kostrzewski zebrał dane, jakie tylko udało się posiąść. Pokazuje się, że najdawniejsza wiadomość sięga r. 1418, kiedy biskup krakowski Jan Rzeszot Rzeszowski wystawił na miejscu dawnej gontyny pogańskiej a później pustelni — kościół pod wezwaniem św. Katarzyny i osadził przy nim oo. Bernardynów.

Według relacji o. benedyktyna Szopińskiego (rękopis z r. 1464) pierwotnie przy kościele tym istniał nie klasztor. lecz tylko dom dla wysłużonych księży emerytów(?) Opat świętokrzyski Maciej z Pyzdr oddał ten dom w końcu XVw. oo. Bernardynom.

Według innych kronikarzy Wacław czy Stanisław Jełowiecki, dzielny rycerz z czasów Jagiełły, otrzymał od króla tę górę, bo tutaj postanowił wieść żywot anachorety. On to wystawił tutaj kościołek i mały klasztor pod wezwaniem św. Katarzyny. Za swego życia Jełowiecki miał przy sobie tylko dwóch Benedyktynów ze Św. Krzyża, po jego śmierci obaj jego braciszkowie wrócili do opactwa.

Pewien czas mieszkał tutaj niejaki Paweł Krobiński anachoreta, który potem wstąpił do oo. Bernardynów, ale pustelni nie porzucił. W stanie zakonnym spędził tutaj lat 40.

Posążek Św. Katarzyny, stojący do dnia obecnego w wielkim ołtarzu, znalazł się tutaj w XVII wieku. Kto go postawił, nie wiadomo. Istnieje tylko tradycja , że statuę przywieziono z Algieru, a rzeźbiona jest z drzewa cyprysowego.

Pozostała również tradycja oparta na wiadomościach z kronik pisanych, które podczas pożaru spłonęły, że największymi dobrodziejami klasztoru byli hetman Jan Bronikowski i małżonka jego Katarzyna. Bronikowscy, jak podawała kronika, doznali tutaj cudu. Pochowani w podziemiach klasztoru mieli piękny sarkofag z marmuru kieleckiego. Ale przy odnawianiu murów zniszczony, zaginął.

Istnieje też tradycja, że Władysław IV jeszcze jako 12-letni chłopiec w podróży będąc zachorował ciężko w Bodzentynie. Dopiero ofiarowany św. Katarzynie, wzywając jej pomocy, doznał łaski, że ocalał.

Oprócz owej statui cyprysowej nic dawniejszego w kościele nie widziałem. Natomiast niezmiernie żywem olśniony byłem wspomnieniem, gdym zobaczył w dwu bocznych ołtarzach obrazy, malowane przez moją ciotkę Joannę, które w dzieciństwie widziałem na stalugach u niej w Suchedniowie. Są to Matka Boska i Św. Antoni.

O malarce tej dałem wiadomość w „Pamiętniku Koła Kielczan" za r. 1929.

II.

Jakże wygląda życie ludzkie u podnóża Łysicy, życie powszednie, powolne w rozwoju, mające przecież swoją fantazję, życie pod strażą góry, w czas burzy płonącej od błyskawic i klasztoru strzegącego świętości?

Z okna swego pokoju w pensjonacie mam przed oczami górę, poszytą ciemnym borem i samotny klasztor, jak pieczęć milczenia. Dokoła pustkowie, dzwoniące ciszą. Jestem z tem wszystkiem wysoko nad panoramą pól chłopskich na dziesiątki kilometrów rozległą, pól, z których tylko czasami dociera tutaj człowiek.

Pod klasztorem widać odemnie niezasłonięty drzewami odcinek szosy, wiodącej z Kielc do odległego stąd o siedm kilometrów Bodzentyna. Mijając wejście do kościoła, kobiety przyklękają, kornie się pochylając, chłopi kroczą dalej, odsłaniając głowy.

Na tej szosie można się czegoś dowiedzieć o życiu ludzkiem. Brak gazet i towarzystwa miejskiego pomaga skupić uwagę na to, co tu na miejscu wiąże się w jakąś całość.

Rozmawiam więc z gospodarzem, który tego dnia „furmaniąc", ma kogoś odwieźć do Kielc i poi konia przy klasztorze. Na wózku podróżne drabinki, siedzenia okryte

kilimkami, zgrabny „szpak" miejscowego chowu przy dyszlu. Chłop niema dwu palców u prawej ręki. Opowiada mi z fantazją, jak to było. Idzie polem z lasu, patrzy: koń komuś uciekł i nie daje się schwytać. Zabiegł mu drogę i przyparłszy do płotu, sięgnął do łba. Rozjuszony koń chwycił go zębami za rękę i trzyma, a nogami usiłuje zdeptać.

— Ale ja też mocny, trzymam go lewą ręką za grzywę. A chłopi krzyczą: puść go, bo cię zabije. Jakże go puszczę — powiadam — kiedy on mnie trzyma.

Lekarz w Bodzentynie zrobił chłopu „reperację", bo palce były zgruchotane. Długo się leczył. Bardzo żywo było to opowiedziane, ale gdym o tem mówił z kim innym, kto chłopa znał, dowiedziałem się, że było trochę inaczej: schwytano go na kradzieży konia i, jak to bywa na samosądzie, bito go drągami, przytem wyłamano palce, gdy ręką się zasłaniał.

Poznałem wyrobnika, który wszystko potrafi, tak jest utalentowany: roboty ziemne, stolarka, mularstwo. Ładne układa wiersze i nawet poprawnie je pisze. Widziałem jego list wierszem do pewnej warszawianki. Ma on we wsi w Wilkowie sąsiadkę Zaborowską, znaną w okolicy z nałogu układania wierszy. Sama pisać ani czytać nie umie, jak wogóle tutaj ludzie starsi, ale dyktuje owemu robotnikowi. Są to wiersze i na pogodę, i na imieniny, na krzyż wznoszony na Łysicy, na Sejm w Warszawie, na sąsiadów, wiersze religijne, polityczne. Bywa, że podczas skrobania kartofli ręka jej zwiśnie z kozikiem i tak trwa. Co to matka? — pytają. Ułożyłam se nowy wiersz — wykrzykuje rozradowana. Dyktuje wiersz nauczycielce wiejskiej, bo z kimże tu na milę dokoła się rozmówić? — i rada w radę, jakby ten wiersz wydrukować w gazecie. Nauczycielka, która gdzieś wyczytała w gazecie warunki ogłoszeń, stylizuje do redakcji list, ile by też kosztowało zamieszczenie dołączonego wiersza, ale trzykrotne.

Poniedziałek nad wieczorem. Wracają ludzie z jarmarku z Bodzentyna. Baba przodem w ciemnem obleczeniu więc pewno z Krajna, za nią stary chłop z wieprzkiem w ciężkich, zeschniętych i zadużych butach, w granatowym kaszkiecie. Kupiliście? — pytam. Babie w to graj, zaczyna mówić prędko za wysokim nad potrzebę głosem. Widzę, że są trochę podpici. Prowadzą wieprzka z powrotem. Nie sprzedali. Dawali im 60 złotych, ale im było żal. Bo co to za wieprzaczek! Wszystko będzie jadł, nie trzeba mu mlekiem polewać strawy, a taki przywiązany!



Kapliczka św. Franciszka nad źródłem

Mówiąc te rzeczy, baba przystanęła, więc i stary wrócić do niej musiał, bo prosię inaczej iść nie chciało, jeno za gospodynią. I poszli. Idą tak do domu przeszło 10 kilometrów kamienistą szosą ciągle pod górę.

Najbardziej żal mi było pokwikującego stworzenia. Bo zmiarkowałem ze wszystkiego, że jest ofiarą ludzi. Ono jest tylko pretekstem ich dalekich wędrówek „do miasta". Ludzie muszą się raz na tydzień wyrwać ze swych pustkowi, gdzie bytują jak trawa, aby się poczuć w jakiemś społeczeństwie. Żre ich tęsknota społeczna, chcą czegoś się dowiedzieć, otrzeć o ludzi innych, czemś oszołomić. Jedno drugiego nie puści, aby samo poszło. Prosię zresztą nie pójdzie bez gospodyni. Oni go teraz nie chcą sprzedać, ale do tego nawet nie przyznają się przed sobą. W milczącem porozumieniu, oszukując się wzajemnie, wodzić będą biedne stworzenie na jarmark jeszcze przez kilka tygodni, aż podrośnie inne.

Pustka jest bowiem na wsi przedewszystkiem — społeczna. Całe Kieleckie w tę stronę, aż pod Sandomierskie, całe te północne stoki gór Świętokrzyskich aż po Końskie — to świat chłopski, lub półrolny i robotniczy z kopalń rudy, która się wyczerpała, z wielkich pieców, które wygasły, świat nie znający dworów, będących ośrodkami cywilizacji wiejskiej. Do kościołów mają tu ludzie po siedem kilometrów. Nikt nic dla cywilizacji tu nie robi. Miasteczka, jak Bodzentyn, porastają trawą. Czego nie stworzyło niegdyś biskupstwo krakowskie, kiedy ludzie dobierali się do tej puszczy, to po dawnemu zostało pustką. Na resztkach dawnych dóbr kościelnych, zabranych przez rząd rosyjski, istniały dzierżawy. Folwarki te państwo polskie teraz rozparcelowało, zginęły więc ślady ośrodków kultury.

Taki Żeromski mógł wyrość w tutejszych Ciekotach i Mąchocicach, bo ojciec, dzierżawca folwarku, miał jeszcze w oczach szlaki wyższej cywilizacji; dziś już niema tutaj folwarku. Stefan Żeromski zgasł dla tych okolic bezpotomnie. Zajrzawszy w światy, tworzone przez człowieka, zebrał w siebie wszystkie tęsknoty tego utalentowanego ludu, zdolnego zarówno do złego, jak i dobrego, a bezradna myśl czepiała się najrozmaitszych pomysłów i doktryn, jakby ten lud do życia bardziej złożonego podciągnąć.

Widział, jak Bolesław Prus, trzy elementy w podstawie świata ludzkiego: ziemia, człowiek prosty i Bóg. Chciał wymyślić jakąś kombinację społeczną zbawienia, bodaj wzorem ks. Ściegiennego, który w tych stronach właśnie

marzył przedwiośnie komunistyczne. Zawiodły siły niecierpliwego Prometeja, ale uratowała go nadzieja na rodzące się państwo polskie, w które wierzył. Zdawszy na nie troskę o przyszłość historyczną tego ludu, w tem czystszej bezpośredniości znalazł się wobec dwu innych pierwiastków bytu: ziemi i Boga.

Czemże jest teraz ów pomnik, postawiony przez młodzież na skraju Puszczy na cześć Żeromskiego? Złączył on pierwiastki metafizyczne życia na tej ziemi: przyrody, człowieka i Boga.

III.

Najbliższem stąd „ogniskiem cywilizacji" jest o siedem kilometrów w dół od św. Katarzyny miasteczko Bodzentyn. Z czasów biskupa Bodzanty pozostało trochę ruin przy kolegjacie — i legenda. Tę przechowują zubożałe rody mieszczańskie (najwięcej Szmigielskich) niszczone od gęstego pasorzyta w postaci żydostwa. W czasie wojny miasteczko spłonęło, padł w ruinę kościół mniejszy, gdzie spalił się między innemi drogocenny obraz, przez Jagiełłę jakoby darowany, M. Boskiej Loretańskiej. Na jednym z dwu rynków nowe państwo polskie dźwignęło drewniane gmachy szkolne.

Ni stąd ni zowąd znalazło się w Bodzentynie seminarjum nauczycielskie. W Polsce dość rzucić ziarnko na opokę, a plenić się będzie życie. Nigdzie chyba siew nie opłaca się tak sowicie; gdybyż tylko wiedziano zawsze, gdzie rękę wyciągnąć, a obejrzano się za siebie okiem pieczołowitem, Polska wszędyby zakwitła.

W księgarence, która sprzedaje papierosy, zobaczyłem publikację bodzentyńską. Niewiadomo skąd druk, ale karta tytułowa 1930 r. Tytuł: „Echa Łysogór". Czasopismo kółka humanistycznego uczniów Seminarjum nauczycielskiego w Bodzentynie" (nr. 1).

Ot i mamy literaturę.

„Młodzieży! — woła w przedmowie redakcja. — Wykażmy przed światem (!) nasze wzniosłe ideały, nasze szlachetne myśli, cele i dążenia"... Jeden z kolegów (Sęp) bywalec, umiejący porównać stosunki, utrzymuje, że zapadły Bodzentyn jest kochany i kocha swoje seminarjum i jest z niego dumny. „Podobno powiedział Juljusz Cezar, — słuchajcie! — że miast być drugim w Rzymie, wolałby być pierwszym w Psiej Wólce. W wielkiem mieście, nawet w Rypinie, czułem, że nie obchodzę nic nikogo... W Bodzen-

tynie nastały dla mnie czasy inne. Mam wrażenie, iż jestem uczniem uniwersytetu wileńskiego za czasów rektora Śniadeckiego, lub że mieszkam w dawnym Krzemieńcu"...

Oprócz tego jednego powołania się na tradycje szkolne z ostatniej doby rozkwitu na wschodzie, niema w całej publikacji śladu literatury, snucia z książek. Wszystko zaczyna się w tych młodych duszach od początku. Są bez tradycyj, bez bibljoteki, patrzą w świat na nowo, bezpośrednio. I to jest dla mnie sympatyczne. Zaczyna się nowe ognisko — trochę gałązek jedliny z gór Świętokrzyskich, naturalne krzesiwo — i oto płomyk. Płonie bez stosowania bibuły. Nawet tradycje, jeśli są, to przyniesione z pola, to uschnięte kwiaty z mogiły pawstańca 1863 r.

Poeta Stefan Cieszkowski (z kursu V) wspomina razem szczerbiec Chrobrego i kosę Langiewicza — tak mu się słyszy w „hymnie pochwalnym minionych stuleci". Ale siłą jego uczuć poetyckich jest to, czego doznaje, co widzi, i co czuje sam:

Niby olbrzym odwieczny, snem śmierci spowity
Legły w cichej zadumie stare Łysogóry,
A ponad niemi jasne niebiosów lazury
A wkoło nich kraj płodny łanami pokryty.

Poeta ma też swój świat wewnętrzny z wyciągiem lirycznym. Oto jego „Czarne noce":

Lubię te czarne, ponure noce,
Gdy za oknami wiatr załomoce
Kiedy zaszumi w złowrogim jęku...
We mnie te noce nie budzą lęku.

Szedłbym bez trwogi w tę dal okrutną,
Bo mi tak tęskno... ach, tak mi smutno.
Chciałbym tak lecieć tą ciemną nocą
Sam nie wiem dokąd i nie wiem po co.

„Szarotka" (z V kursu) rozpisuje się o miłowaniu pieśni. Ponad poezję literacką stawia pieśń żywą — słyszaną i śpiewaną. Na prostym przykładzie zabawy tanecznej pokazuje, ile ona daje energji i radości. „W czem tkwi czarowna moc pieśni? Chyba w rytmie. Jeśli się rytmowi temu poddamy, wtedy chwyta on w swe ramiona całe nasze ciało i dyktuje takt wszystkim narządom naszego ciała, krążeniu krwi, biciu pulsów a nawet myślom. Trzeba się

tylko poddać muzyce"... Jest w tem zaród poważnej myśli z dziedziny estetyki.

Inny zaś kolega, Fr. Rożalski (z kursu V), ma upodobania filozoficzne. — „Szczęście a życie" — taką daje rozprawę. „Życie — tak sobie medytuje — widać powstało z myślą o szczęściu". „Szczęście jest tem, co podtrzymuje życie i jest jego sensem". „Bez szczęścia, bez nadziei osiągnięcia szczęścia, nikomu absolutnie nie chciałoby się żyć, bo jest w tym wypadku (?) nicość"...

W taki sposób marzą w Bodzentynie młodzieńcy o umiłowaniu pieśni, o miłości Ojczyzny i przyrody, o szczęściu wreszcie. A wszystko to jest tylko tęsknotą... do miłości. Młodość wyciąga ramiona do słońca i do szczęścia; uboga młodzież z ubogiego miasteczka. Mój Boże, gdyby do końca czuwało nad nią coś tak opiekuńczego, jak instynkt miłości! — Obyż nie dała się wdeptać w błoto!

W widzeniu Antoniego Kowalskiego (z V kursu) „Po drodze życia" jest chłopiec taki jak oni: „Niekiedy z tajemniczej gęstwiny wychodził młody chłopiec, roześmiane miał lica, zamglony wzrok, a w piersiach przeczyste, płonące wieczną miłością serce... Po ginącej w mrokach drodze posuwał się szary hufiec w jasnych pobłyskach kos. Naokoło nich groźnie szumiały czarne bory... A oni szli z pieśnią miłości z wiarą w nowe, lepsze życie. Serca ich złota, nieziemska omotała nić. Szli w dal jasną, nieskalaną do gilowych gajów, do skowrończych pieśni, by swem życiem odkupić wolność..."

Widać, jak na dłoni, że legenda o kosach powstańczych i porywach wolności przetopiła się już w treść nową młodego życia.

W „Echach Łysogór" pisują też koleżanki. Panna Krystyna Dębska (z kursu dopiero III) usprawiedliwia się „Dlaczego kocha Polskę". „Droga mi jest — powiada — choćby dla tego, że odkupiona została niewinną krwią i łzami moich braci Polaków"...

Nie wiem czy w seminarjum wolno kochać także poszczególnych kolegów czy koleżanki, ale widzę z noweli Turkucia „Dla siwych oczu", że to się zdarza. Bardzo smutna i wdzięczna nowela zaczyna się od obrazu: „Na stromej skale w pobliżu ruin biskupiego zamczyska (właśnie Bodzentyn) siedział młody Stach". Wiele cierpiał w życiu i był złamany. „Pewnego dnia spotkał na schodach nową koleżankę, a gdy się jej ukłonił, ta spojrzała na niego tak jakoś przejmująco, iż zniechęcenie do świata rozwiało się" i t. d. Koło tych ruin spotykali się, złożyli sobie przyrze-

czenia. Tymczasem ona umarła. Na wieść o tem Stach „zwalił się z nóg. Z kieszeni wypadło mu pudełeczko, a spadając uderzyło o kamień i otwarło się. Pierścionek tocząc się błysnął kilkakrotnie na skarpie i zniknął w ciemności".

Dramat ten rozegrał się na górze Bodzentyńskiej, a pierścionek — to już symbol starganej miłości.

Są tu rzeczy, jak widzimy, nieraz naiwne, ale zawsze czyste i szlachetne. Któż wie, czy z tych pierwocin — jeśli chodzi o literaturę, nie wyłoni się z czasem jaki Żeromski, którego elegja o „Puszczy Jodłowej" dała do Łysogór dostęp wyobraźni artystycznej?

Bardzo się zmartwiłem, gdy mi powiedziano, że właśnie tego lata seminarjum bodzentyńskie zamknięto, jako zbędne.

IV.

O tej Łysicy i całym pasmie gór pokrytych lasem jodłowym Żeromski napisał po wojnie poemat prozą p. t. „Puszcza jodłowa". Pożegnał się z nią przed śmiercią. Był tutaj po wojnie, kiedy już „przyszła znowu na swe miejsce Polska". Stwierdził, że ani Moskale, ani Austrjacy nie zniszczyli lasu i klasztoru.

„Stoi oto wciąż dom Boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co zdala i zbliska ciągną ku niemu wielkiemi pasmami. Jest jakby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przebiega z obrazów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w źrenicy, zachowuje w sercu na zawsze.

„Żyj wiecznie, świątnico, ogrodzie lilij, serce lasów! Przeminęły nad tobą czasy złe, zlane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzeni macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakiebądź byłoby prawo, czyjekolwiekby było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — nie pozwalam!

„Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którem święty jeleń chodzi, — jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności!

„Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno Boża, święta!"

Te ostatnie słowa, mianujące Puszczę jako instytucję świętą, pochwyciło najmłodsze pokolenie, oświecające się w Kielcach z kółka św. Kingi i wypisało je na kamieniu, wiążąc pojęcie Puszczy z nazwiskiem poety.

Puszcza jest niczyją, ani moja, ani twoja, ani nasza, jeno Boża, święta!

Pod napisem jest data 15 maja 1930.

Widzimy więc, że do życia Łysicy i Puszczy w jej środowisku, dotąd chłopskiem i zakonnem, wtrąciła się literatura świecka. Od Żeromskiego pochodzi sama nazwa Puszczy Jodłowej, która pozostanie z tem mianem, jak Białowieska, Niepołomska i t. p. Ale co najważniejsza — literatura spełniła tu rolę swoją, jako organizatorka świadomości. To, co było tłem bardzo wątłego życia tej okolicy, niemal dekoracją, zyskuje byt indywidualny.

Pojęcie Puszczy w duszy Żeromskiego przebyło długą historję, zanim osiągnęła ten stopień religijno - mistyczny; Puszcza — Boża, święta. W dzieciństwie była jego własnością jako dziedzina jego osobistych przeżyć, potem w młodości przechodziła etapy socjalne. Czyjże może być las jak nie ludzki? Kto ma do niego prawo? Poglądy chłopomańsko - socjalistyczne odpowiadały staroludowym o darach Bożych ziemi, należących do wszystkich. Utwierdzał się w nich Żeromski, czytając takich filozofów z połowy zeszłego wieku, od których wiele przejął, jak Henryk Kamieński. One robiły mu sympatycznym ks. Ściegiennego, który w tych okolicach działał, biorąc za punkt wyjścia komunistyczne utopje.

Pod koniec życia błogosławiąc Puszczy na pożegnanie a z wdzięczności za wspomnienia lat dziecinnych, widzi w niej już rzecz niczyją, nawet nie zbiorowości, lecz Bożą, powraca ją Bogu, pod Jego opiekę. Niewątpliwie myśl Żeromskiego uległa wpływom prądów kulturalnych naszego wieku, zmierzających ku ratowaniu starych zabytków przyrody przy pomocy rezerwatów.

Idea ta związała się w przedziwny sposób z ideą religijną właśnie tutaj w św. Katarzynie, co uważam za jedyny w swym rodzaju wypadek wielkiej poezji niepisanej. Wzmiankowany wyżej ks. kapelan Kostrzewski, wielkiej zacności i dzielności kapłan, powziął myśl wzniesienia na szczycie Łysicy wielkiego krzyża jodłowego. Na tablicy, wyrzeźbionej w kształcie zwoju pergaminowego, umieszczono napis:

Nieśmiertelnemu Królowi Wieków
Jezusowi Chrystusowi
BOGU - CZŁOWIEKOWI —
cześć i chwałę głosi
PUSZCZA JODŁOWA

Puszcza Jodłowa dzieło Boskie, owa Święta Puszcza głosi swym szumem chwałę Chrystusa-Człowieka, tego Chrystusa Miłosiernego, który z kapliczki przydrożnej patrzy na kamień, przez dzieci w hołdzie dla Puszczy postawiony.

Trudno o bardziej wzniosły i bardziej poetycki wyraz religijności. Był to kulminacyjny punkt wiązania trzech zasadniczych pierwiastków cywilizacji: B ó g — Z i e m i a — C z ł o w i e k,—pierwiastków zasadniczych, bo każdy z nich ma w tej kombinacji przedłużenie metafizyczne. Bez nich nie było w ludzkiej mocy tworzenie cywilizacji. Gdzie one są obecne w poczuciu i świadomości, tam już są ramy wielkiej cywilizacji. W kombinacji ich leży siła wyciągowa, która dźwiga dzieło ludzkie narodu w górę. Niemasz trwałego ogniska bez tego wyciągu w górę. Tam, gdzie się nie kojarzą te idee w takie zrosty pojęciowe i wierzeniowe, jak ziemia i świętość, Bóg w przyrodzie i człowieku, Bóg-Człowiek, gdzie to razem wzięte nie harmonizuje w hymnie, gdzie dusza ludzka tak nie uduchowi przyrody, że Puszcza nie głosi przez człowieka chwały Boskiej, bo w ludziach niema nic boskiego, wtedy nie ma mowy o żadnym na wymiar wieczności tworzeniu.

Ja tutaj w Św. Katarzynie pojąłem, że są w Polsce przy tem przyrodzonem bogactwie duszy, doskonałe warunki na tworzenie wielkiej cywilizacji. Dusza narodu, tworzącego cywilizację swoją, musi mieć swój wymiar w tym kierunku — ku górze, w kierunku idealistycznym, bezinteresownym na punkcie chwili bieżącej. Sięganie ambicjami w przyszłość, kult przeszłości, bohaterstwo, które czyni radosną śmierć w ofierze narodowi — są to realne motywy psychiczne z tego właśnie wymiaru. Nie zastąpią tych motywów wyłącznie ideały socjalne, dotyczące układu stosunków na powierzchni życia między ludźmi. Dusza zbiorowa ma jednem słowem te same wymiary, co dusza w jednostce: nie wyczerpują jej potrzeb dążenia na chwilę bieżącą, zaspakajające interes praktyczny życia; pierwiastek boski pociąga ją w górę ku tworzeniu rzeczy wiecznych.

Krzyż postawiono na Łysicy 3 maja 1930 r., a w d. 13-go czerwca na św. Antoniego przy okazji odpustu w miejscowym kościele nastąpiło uroczyste poświęcenie. Dokonał

poświęcenia ks. biskup kielecki A. Łosiński w asystencji kilkunastu kapłanów przy udziale paru tysięcy ludu okolicznego. Pierwszy to chyba raz na szczycie Łysicy odprawiona była Msza święta Stało się to właśnie tego dnia o godz. 9-ej rano.

Pierwszy to raz w dziejach tej odwiecznej góry wzniosła się stąd Hostja, błogosławiąca krajowi. Legenda głosi, że szczyt Łysicy patrzał na świat tak, jak teraz, nawet wtedy, gdy ta część lądu pokryta była Morzem Północnem. Świadczą o tem jakoby skamieniałości, w których widać ślady życia fauny morskiej. Są dalej świadectwa geologiczne, że szczytu Łysicy nie pokryły nigdy lodowce. Stąd góra ta dla wyobraźni ludzkiej jest widomą postacią wieczności, postacią, która tęskni do morza i chciwie chłonie stamtąd wiatry, strażnicą, która od kilku tysięcy lat przed erą chrześcijańską patrzyła na ruchome osiedla ludzkie, łupiące krzemień w dzisiejszych okolicach Ojcowa, Olkusza, Szydłowca. A wzrok miała ku wschodowi dumny, do Uralu bowiem nie było przed nią żadnej góry.

Gdy tak w umyśle skojarzą się z dziejami przyrody dzieje człowieka, to krzyż, wzniesiony na szczycie świętej góry, nabiera symbolicznego znaczenia.

ZYGMUNT WASILEWSKI.



Kapliczka Jezusa Miłosiernego

Pamięci Stefana Żeromskiego

UCZENI KIELCZANIE.

Pragnąc skupić w „Pamiętniku" wszystko, czem się może pochlubić ziemia Kielecka, zbierać będziemy wiadomości o wybitnych przedstawicielach życia umysłowego w Polsce, związanych pochodzeniem lub szkołą z Kielcami. Na początek podajemy dane biograficzne i bibljograficzne o pięciu profesorach wyższych uczelni (w kolejności starszeństwa). Nie kusząc się o charakterystykę osobistości i ocenę ich pracy naukowej, redakcja podaje materjał w tej formie, jak jej został dostarczony do użytku regestracyjnego, a więc ściśle informacyjnie.

1. KAROL TAYLOR.

Urodzony w Kielcach 1 listopada 1878 r., po ukończeniu gimnazjum Kieleckiego, wstąpił na wydział matematyczny w uniwersytecie Petersburskim, a po roku przeniósł się na politechnikę w Darmsztacie, którą ukończył w marcu 1904 r. Obecnie jest profesorem Politechniki Warszawskiej, pozatem zajmuje stanowiska społeczne: 1) jest sekretarzem i skarbnikiem Stałej Delegacji Zrzeszeń i Związków Profesorów Szkół Akademickich w Polsce, 2) przewodniczącym Koła Inżynierów Doradców i Rzeczoznawców (KIDIR) przy Stowarzyszeniu Techników Polskich w Warszawie (od r. 1930), 3) członkiem „Commission Permanente de la Féderation Intern. des Ingénieurs Conseils" w Paryżu.

Bardzo bogata jest chronologja stanowisk inżynieryjnych i naukowych prof. Taylora:

15.VI.1904 — 15.VIII.1905 Inż. w fabryce „Compagnie Duplex" w Paryżu i Férrière la Grande.

15.IX.1905 — 1.III.1908 Kierownik warsztatów w fabryce R. Machczyńskiego w Warszawie.

1.III.1908 — 1.III.1909 Konstruktor fabr. sody Lubimow, Solvay w Lubimowskim Poście (Rosja).

1.III.1909 — 15.VII.1909 Inżynier w biurze ogrzewn. Br. Korting w Moskwie.

1.VIII.1909 — 1.IX.1915 Szef działu silników spalinowych w fabr. Orthwein, Karasiński w Warszawie.

1.IX.1915 — 1.IX.1917 Szef biura fabr. „Ursus" w Warszawie.

Równocześnie od 1.X.1915 wykładał przez szereg lat w Szkole Bud. maszyn im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie, Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego oraz w Towarzystwie Kursów Naukowycr i Technicznych.

1.I.1917 — 1.IV.1919 Docent (wykładający) termodynamikę i kreślenie techniczne w Politechnice Warszawskiej.

1.IV.1919 — 1.VII.1923 Profesor nadzwyczajny na Katedrze silników spalinowych na wydz. mechan. Politechniki Warszawskiej.

1.VI.1921. — 1.IX.1923 Dziekan wydziału mechanicznego Politechniki.

Od 1.VII 1923 — Profesor zwyczajny i kierownik Zakładu Silników Spalinowych na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej.

WYKAZ PRAC:

1. Silniki spalinowe (litografowany) kurs z I Kursów lotniczych w r. 1915-16.

2. Silniki lotnicze — kurs litografowany według wykładu na wyższych kursach lotniczych dla oficerów w Warszawie z r. 1918-19.

3. Silniki spalinowe w 2 częściach z atlasem. (Kurs litografowany według wykładów w Politechnice Warszawskiej w r. 1922-23).

4. Spirytusowe mieszanki napędowe. Praca wspólna z prof. Dr. W. Iwanowskim.

5. Szereg artykułów w „Przeglądzie Technicznym", „Technice Cieplnej" i „Przeglądzie Samochodowym i Motocyklowym", tyczących się mieszanek spirytusowych w zastosowaniu do pędzenia niemi samochodów.

6. Szereg artykułów w wyd. „Przemysł i Handel" z roku 1928 oraz w „Przeglądzie Technicznym", „Przewodniku Przemysłu i Handlu Polskiego" (r. 1930) o stanie przemysłu samochodowego w Polsce i widokach jego rozwoju.

2. LUDWIK SZPERL.

Urodzony w Kielcach 21 czerwca 1879 r., tutaj też ukończył gimnazjum w r. 1897, następnie Wydział Fizyczno-matematyczny (Oddział Nauk Przyrodniczych) w Uniwersytecie Warszawskim ze stopniem Kandydata nauk przyrodniczych (1901). Pracował z chemji fizycznej i elektrochemji w Związkowej Politechnice w Zurychu (1904). Zdał egzamin przy Uniwersytecie Warszawskim na stopień magistra chemji (1911), oraz przedstawił 1 tom rozprawy magisterskiej p. t. „Materjały k izuczeniu i kłassifikacji organiczeskich produktow prisojedinienia.

W l. 1901 — 1915 był asystentem przy katedrze chemji organicznej w Uniwersytecie Warszawskim. W l. 1907 — 1917 wykładał chemję organiczną na Kursach Przemysłowo - Rolniczych (obecna Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego) i od tegoż roku do chwili obecnej — chemję organiczną w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Był nauczycielem chemji i fizyki w prywatnych szkołach średnich. W l. 1914 — 15 brał udział czynny, jako członek różnych komisyj, w organizacji szkół akademickich oraz szkolnictwa średniego w Warszawie.

W r. 1915 objął wykłady chemji ogólnej w Uniwersytecie i Politechnice. W r. 1919 mianowany prof. nadzwyczajnym na katedrze chemji ogólnej w Politechnice i kierownikiem zakładu. W r. 1920 został profesorem zwyczajnym. W r. 1926 przeszedł na stanowisko profesora zwyczajnego i kierownika zakładu chemji organicznej Politechniki Warszawskiej. W l. 1917-18, 18-19, 20-21, 25-26 był dziekanem Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej. W l. 1926-27 i 27-28 rektorem tejże Politechniki. W r. 1917-18 był dziekanem Wydziału Przyrodniczego Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Był w l. 1913 — 1925 członkiem Komitetu zarządzającego Kasą im. Mianowskiego, a w ostatnich 3 latach wiceprezesem tegoż Komitetu.

Był członkiem - sekretarzem Polskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej przy Lidze Narodów, członkiem zarządu i skarbnikiem Polskiego Towarzystwa Chemicznego. Obecnie jest prezesem tego Towarzystwa i członkiem Polskiego Komitetu Narodowego Chemji Czystej i Stosowanej oraz wchodzi w skład przedstawicielstwa Polski w Union Internationale de la Chimie Pure et Appliquée.

Był wiceprezesem Zrzeszenia Profesorów Warszawskich Szkół Akademickich.

Jest członkiem zwyczajnym Warszawskiego Towarzystwa Naukowego i Francuskiego Towarzystwa Chemicznego oraz członkiem Rady Towarzystwa Edukacji Narodowej.

Jest przewodniczącym Komisji Książek i Pomocy Szkolnych z działu chemji przy Min. W. R. i O. P. oraz członkiem Komitetu Wydawniczego Podręczników Akademickich przy temże Ministerstwie.

WYKAZ PRAC:

Prace badawczo-naukowe.

Z dziedziny terpenów — 3 publikacje.

1. Przyczynek do reakcji utleniania pinonu i kwasu pinonowego, „Chemik Polski" IV, (1904).

2. K reakcji okislenia pinena, „Żurnał Russkawo Chimiczeskawo Obszczestwa", XXXVI, (1904).

3. Ketolakton Wallacha, jako produkt utleniania pinenu, „Chemik Polski", XIII, (1910).

Z dziedziny chemji związków addycyjnych, 4 publikacje.

4 — 7. Materjały do klasyfikacji organicznych produktów przyłączenia I, II (z Z. Urbanowską), III (z J. Gamarnikowówną), IV (z M. Kamińską) „Chemik Polski" XIII, 1913.

8 — 17. O działaniu siarki na związki organiczne — 10 publikacyj:

I. Węglowodory, II. (z T. Wierusz-Kowalskim) Dwufenylometan i fluoren. Dwubenzyl, III. (z T. Wierusz-Kowalskim) Alkohol benzylowy. Dwufenylokarbinol. IV. (z T. Wierusz-Kowalskim) Eter benzylowy i benzhydrylowy „Chemik Polski" XV, 1917, V. (z T. Wierusz-Kowalskim) Trójfenylokarbinol „Chemik Polski" XVI, 1916. VI. i Naftylokarbinole „Roczniki Chemji" II, 1922, VII. (z T. Jezierskim) chinolina „Roczniki Chemji" III, VIII. (z S. Wydrzyckim) Aldehydy aromatyczne „roczniki Chemji" VI 1926, IX. Alkohole ksylylowe „Roczniki Chemji VI, 1926, X. Fenylo-a-naftylokarbinol „Roczniki Chemji" X. 1930.

18 — 20. O działaniu siarkowodoru na chlorobezwodniki kwasów — 3 publikacje.

1. Chlorek benzoylu, 2. Chlorek o-flalilu, 3. (wspólnie z H. Morawskim) chlorek naftalilu. „Rocz. Ch." 10 (1930).

Prace historyczne.

21. Aleksander Michajłowicz Zajcew i jewo chimiczeskaja szkoła, Warszawa, 1911.

22. Materjały do historji Szkoły Głównej Warszawskiej (Rada Wydziału Matematycznego, Chemicy, Pracownia chemiczna) Warszawa (Kasa im. Mianowskiego 1913).

23. O działaniu Sekcji Chemicznej i Koła Chemików w latach 1887 — 1917, „Chemik Polski" XV, 1917.

24. Les Universités en Pologne, Societé des Nations — Genewa 1925. Wydział Chemji Politechniki Warszawskiej (z W. Świętosławskim) w księdze p. t. Politechnika Warszawska, Warszawa 1925.

Podręczniki.

25. Ćwiczenia chemiczne (na prawach rękopisu), Warszawa, wyd. 1 — 1916) wyd. 5 — 1925.

26. Wykład Chemji Organicznej nakł. Fr. Heroda, Warszawa 1930, str. XV, 649.

Krytyki, referaty, notatki bibljograficzne i t. p.

Artykuły krytyczne i oceny w czasopismach „Chemik Polski" i „Książka".

Około 50 Artykułów treści chemicznej w Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej.

Bibljoteka podręczna nauczyciela chemji — Bibljografja Pedagogiczna 1923.

3. STANISŁAW GLIXELLI.

Na prośbę naszą prof. Glixelli nadesłał nam następującą notatkę autobiograficzną:

Urodziłem się w Warszawie 3 marca 1882 roku. Pochodzę z rodziny zasiedziałej w Kielcach. Dziad, Wojciech Glixelli, prawnik, jeszcze za Królestwa Kongresowego osiadł w Kielcach, gdzie umarł, jako sędzia Trybunału Kie-

leckiego. Ojciec, Wojciech, jeszcze przed powstaniem 1863 ukończył Wyższą Szkołę Realną w Kielcach.

Utraciwszy bardzo wcześnie rodziców — pisze prof. Stanisław Glixelli — wychowywałem się w Kielcach w domu ciotek, które prowadziły szkołę żeńską, w atmosferze ciągłej walki obronnej, jaką wówczas nasze szkolnictwo prywatne toczyło z systemem apuchtinowskim. Wstępną i pierwszą klasę przeszedłem w szkole realnej prywatnej, Wilkoszewskiego. Przechowałem we wdzięcznej pamięci lekcje geografji, udzielane pierwszoklasistom przez ówczesnego dyrektora E. Zienkowskiego. Były tam rzeczy trudne, ale żadne z późniejszych lekcyj, aż do ławy uniwersyteckiej nie zdołały mnie w tym stopniu zainteresować; niewątpliwie rozbudziły we mnie upodobania naukowe w pewnym kierunku.

Oddano mnie następnie do gimnazjum. Brałem żywy udział w życiu koleżeńskiem i należałem do kółka uczniowskiego t. zw. postępowego, znajdującego się pod wpływem P. P. S. Natomiast w moich zamiłowaniach naukowych byłem odosobniony i pozostawiony samouctwu. Gimnazjum ukończyłem w 1901 r. i zapisałem się na wydział matematyczno-fizyczny, oddział przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego. Wypadki 1905 roku zastają mnie na ukończeniu, na czwartym kursie. Przenoszę się odrazu do Krakowa, gdzie studjuję dalej, a w latach 1906 —1907 jestem asystentem w II-gim Zakładzie Chemicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W późniejszych latach studjowałem nadto na Uniwersytecie w Getyndze i pracowałem naukowo w Paryżu. W 1908 r. uzyskałem doktorat filozofji na Uniwersytecie Jagiellońskim, a 1909 dyplom państwowy na Uniwersytecie w Odesie. Habilitowałem się w Poznaniu 1920 r.

W latach 1909 — 1920 wykładałem chemję i fizykę w szkołach średnich prywatnych i kursach wyższych w Warszawie. Od 1911 do 1915 byłem asystentem przy katedrze technologij chemicznej, zajmowanej przez prof. J. J. Boguskiego na Politechnice Warszawskiej.

W latach 1915 — 1920 jestem profesorem chemji nieorganicznej i kierownikiem pracowni chemicznej na Wolnej Wszechnicy Polskiej, a w 1917 — 1920 wykładam chemję analityczną na Politechnice Warszawskiej. W roku 1920 obejmuję, iako profesor nadzwyczajny, a później zwyczajny, katedrę chemji ogólnej na Wydziale Rolniczo-leśnym Uniwersytetu Poznańskiego.

WYKAZ PRAC:

W języku polskim:

1. Działanie siarkowodoru na sole cynkowe. Chemik Polski 1907 r. 290 str.

2. Analiza wody mineralnej ze źródła Wieniec. (Razem z dr. Miklaszewskim). Chem. Pol. 1910 r. 52 i 78 str.

3. Analiza trzech produktów Limanu Sucho-Dalińskiego. (Razem z dr. B. Miklaszewskim). Chem. Pol. 1911 r. 72 str.

4. Przyczynek do poznania wapniaków krajowych. (Razem z inżynierem Frankowskim, Kowalskim i dr. B. Miklaszewskim). Chem. Pol. 1912 r. 31 str.

5. Peptyzacja kwasu cynowego. Chem. Pol. 1912 r. 507 str.

6. Elektroforeza gelów. Chem. Pol. 1913 r. 505 str.

7. Metoda mierzenia szybkości elektroosmozy. Chem. Pol. 1917 r. 111 str.

8. O ładunku elektrycznym diafragm w związku z ich własnościami chemicznemi. Chem. Pol. 1918 r.

9. Koloidy promieniotwórcze. Chem. Pol. 1914 r. (Referat krytyczny).

10. O przewodnictwie elektrycznem roztworów kwasu metafosforowego. (Razem z R. Chrzanowską). Sprawozdanie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nr. 1. 1927 r.

11. Potencjał elektrokinetyczny krzemionki galaretowatej. (Razem z J. Wiertelakiem). Roczniki Chemji. T. 8 str. 10. 1928 r.

12. O elekroosmozie przez diafragmy żelatynowe. (Razem z Z. Stolzmannem). Biuletyn II Zjazdu Chemików Polskich. 1929 r. 14 str.

13. O kwasach metafosforowych. (Razem z K. Boratyńskim). Biuletyn II Zjazdu Chemików Polskich. 1929 r. 22 str.

W języku niemieckim:

14. Zur Theorie der Schwefelwasserstoff — Fällung der Metalle. Zeitschrift für anorganische Chemie. Bd. 55, S. 297 (1907).

15. Die elektrische Ueberführung der Gele. Kolloid-Zeischrift. Bd. 13, S. 194 (1913).

16. Ueber die Abhängigkeit der Elektrosmose von den chemischen Eigenschaften des Diaphragmas. Bulletin de l'Académie des Sciences de Cracovie (1917). 102 str.

17. Das elektrokinetische Potential des Kieselsäuregels. 1. Ueber den Einfluss der Struktur des Diaphragmas. (Razem z J. Wiertelakiem). Kolloid-Zeitschrift. Bd. 43. S. 85. (1927).

18. Das elektrokinetische Potential des Kieselsäuregels. 2. Ueber den Einfluss der Elektrolyte. (Razem z J. Wiertelakiem). Kolloid-Zeitschrift. Bd. 45 S. 197. (1928).

W języku francuskim:

19. Influence des sels neutres sur les gels de silice. Comptes rendus des séances de l'Académie des Sciences. Paris, t. 176. p. 1714. (1923).

20. Préparation et propriétés des solutions de l'acide antimonique. (Razem z S. Deniszczukówną). Comptes rendus des séances de l'Académie des Sciences. Paris, t. 182, p. 521. (1926).

4. EDWARD TAYLOR.

Ur. w 1884 r. w Kielcach, syn Stanisława i Marji z Różyckich. Ukończył gimnazjum filologiczne w Kielcach w 1903 r. Studjował na wydziale filozoficznym, a następnie prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 1909 r. uzyskał doktorat praw, poczem wstąpił jako urzędnik do Biura Patronatu Wydziału Krajowego we Lwowie, pozostającego pod kierownictwem ś. p. dr. Stefczyka. W tym charakterze organizował spółdzielczość handlowo-rolniczą, zaniedbaną dotąd w Małopolsce, współpracował z Fr. Stefczykiem przy utworzeniu Krajowego Patronatu Rękodzieł i Drobnego Przemysłu, wydał szereg drobniejszych prac, a wreszcie w r. 1916 został dyrektorem oddziału patronackiego Syndykatu Rolniczego w Krakowie. W r. 1916 habilitował się na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego z ekonomiki i skarbowości na podstawie pracy p. t. „Pojęcie spółdzielczości" i wykładał przez dwa lata spółdzielczość i skarbowość na wydziale prawnym

Do art.: „UCZENI KIELCZANIE"



Karol Taylor



Ludwik Szperl



Stanisław Glixelli



Edward Taylor



Kazimierz Tymieniecki

i rolniczym w Krakowie. Powołany od września 1919 r. na Nadzwyczajną Katedrę Ekonomiki i Skarbowości na świeżo utworzony Uniwersytet Poznański, poświęcił się odtąd pracy naukowej i pedagogicznej, wydając w tej dziedzinie szereg dzieł. W r. 1921 zostaje profesorem zwyczajnym, w r. 1923-24 był dziekanem wydziału prawno-ekonomicznego. W r. 1923-24 był członkiem Rady Gospodarczej za min. Wł. Grabskiego, współpracował w organizacji Studjum Ekonomiczno-Politycznego na wydziale prawno-ekonomicznym U. P., a następnie w założeniu Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu, której Kuratorjum jest członkiem z ramienia Uniwersytetu, zasiadał w Izbie Przemysłowo-Handlowej w Poznaniu w latach 1924-1928, jest członkiem Rady Miejskiej m. Poznania od 1930 r., członkiem korespondentem Polskiej Akademji Umiejętności od 1930 r. etc. Praca pedagogiczna prof. Taylora wydała obfite owoce: z seminarjum Jego wyszedł zastęp ekonomistów o wybitnych kwalifikacjach. Publikuje w 1922 r. „Poznańskie Prace Ekonomiczne", zawierające rozprawy doktorskie swych uczniów, tworzy ośrodek pracy naukowej ekonomicznej w „Kole Senjorów Seminarjum prof. Taylora", jest współredaktorem działu ekonomicznego kwartalnika „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny", współorganizatorem Zjazdów Ekonomistów Polskich, wydał „Pamiętnik" I Zjazdu Ekonomistów, jest prezesem oddziału ekonomicznego Towarzystwa Prawniczo-Ekonomicznego w Poznaniu i t. d.

WYKAZ PRAC:

1. O hipotecznym kredycie włościańskim. Lwów 1910. Biuro Patronatu W. Kr. Str. 59. (Wraz z F. Stefczykiem).
2. Sprawozdanie Wydziału Krajowego w przedmiocie utworzenia Krajowego Patronatu Rękodzieł i Drobnego Przemysłu. Lwów 1910. Str. 76 + 43 + 40 i 12 tablic. (Wraz z Fr. Stefczykiem).
3. Zwalczajmy lichwę towarową. Lwów 1912. Biuro Patronatu W. Kr. Str. 75.
4. O istocie spółdzielczości. Lwów 1916. B. Połoniecki. Str. 48.
5. Pojęcie spółdzielczości. Kraków 1916. Akademja Umiejętności. Str. 131.
6. Zasady spółdzielczości handlowo-rolniczej w świetle doświadczeń Galicji. Kraków 1918. Gebethner. Str. 30.
7. Statyka i dynamika w teorji ekonomji. Kraków 1919. Akademja Umiejętności. Str. 207.

8. Reforma podatku gruntowego w Polsce. Kraków 1919. St. A. Krzyżanowski. Str. 117.

9. Prawo skarbowe Rzplitej Polskiej. Poznań 1920. Fiszer i Majewski. 2 tomy. Str. 226 i 180.

10. Sprawa robotnicza w oświetleniu idei chrześcijańskiej. Poznań 1921. Św. Wojciech. Str. 14.

11. Zagadnienie polskiej polityki emisyjnej. Poznań 1922. Św. Wojciech. Str. 23.

12. Wskazówki z zakresu ekonomiki dla studentów. Studjum Ekonom.-Polit. Wydziału prawno-ekonomicznego U. P. Poznań 1925. Koło Prawn. i Ekon. Str. 8.

13. Inflacja polska. Poznań 1926. Pozn. Przyj. Nauk. Str. 406.

14. Druga inflacja polska. Poznań 1926. Gebethner i Wolff. Str. 135.

15. Finanzpolitik und Steuersystem der Republik Polen. Jena 1928. G. Fischer. Str. 365.

16. Waluta (odbitka z „Bilansu gosp. dziesięciolecia Polski Odrodzonej"). Poznań 1929. Wyd. Powsz. Wystawy Kraj. Str. 18.

17. Skarbowość (odbitka z „Bilansu gosp. dziesięciolecia Polski Odrodzonej"). Poznań 1929. Wyd. Powsz. Wystawy Kraj. Str. 32.

18. Polityka skarbowa i system podatkowy Rzplitej Polskiej. — Poznań 1929. Nakł. Wyższej Szkoły Handlowej. Str. 368.

19. Wyższe wykształcenie ekonomiczne w Polsce. (Odbitka z „Pamiętnika I Zjazdu Ekonomistów Polskich w Poznaniu"). Poznań 1930. Str. 22.

20. Ekonomika w Szkole Głównej Warszawskiej. (Odbitka z „Ekonomisty"). Warszawa 1930. Str. 73.

5. KAZIMIERZ TYMIENIECKI.

Z listu do Zarządu Koła Kielczan podajemy następujący materjał informacyjny:

Urodziłem się w Kielcach 19 grudnia 1887 r., jako syn Jana Tymienieckiego, wychowańca Szkoły Głównej, adwokata i działacza społecznego (był współtwórcą Tow. Rolniczego, Tow. Wzaj. Kredytu). Ojciec pochodzi z Kujaw,

matka — Zofja z Chelińskich — pochodziła z ziemi kieleckiej z rodziny spokrewnionej z Żeromskim.

W Kielcach chodziłem do gimnazjum do strajku szkolnego w r. 1905 (dwie ostatnie klasy w gimn. Chrzanowskiego w Warszawie). W kieleckiem gimnazjum należałem do różnych kół samokształcenia, w których przewodził wówczas Eug. Świerczewski. Czuję się związany również z okolicą Kielc: od pierwszej klasy robiłem z dwoma lub trzema kolegami b. odległe nawet spacery. Obok lektury książek było to moje najmilsze zajęcie.

Skończyłem wydział filozoficzny Uniwersytetu Krakowskiego (profesorowie: Winc. Zakrzewski, Stan. Krzyżanowski, Franc. Bujak). Promocję doktorską uzyskałem 18.I. 1912 r. Następnie półtora roku spędziłem w Lipsku i Paryżu. Od listopada 1915 r. do początku 1919 r. wykładałem w Uniw. Warszawskim. W Uniw. Poznańskim jestem profesorem nadzwyczajnym historji średniowiecznej od r. 1919 i zwyczajnym od 3.IX.1921. W r. 1922 zostałem powołany na katedrę historji gospodarczej i społecznej w Uniw. Warszawskim (po ustąpieniu do Lwowa F. Bujaka), lecz zrezygnowałem z otrzymanej już nominacji, pragnąc pracować w Poznaniu (interwencja ś. p. Zofji Sokolnickiej i in.).

Tytuły i stanowiska: członek korespondent Polskiej Ak. Umiejętn. od 8.VI. 1928, członek czynny zamiejscowy Tow. Nauk. we Lwowie od 28.III 1928, członek rzeczywisty Tow. Nauk. Warszawskiego od 3.VI.1920, członek Komisji Historycznej Tow. Przyjaciół Nauk, członek Instytutu Północno-zachodnio-słowiańskiego, członek Instytutu Socjologicznego wszystko w Poznaniu, członek Głównego Zarządu Polskiego Tow. Historycznego i przewodniczący oddziału poznańskiego od 20.II 1925 r. W r. 1928-9 dziekan, a w roku 1929-30 poddziekan wydziału humanistycznego U. Pozn.

Od r. 1925 do obecnej chwili redaguję wspólnie z Kaz. Kaczmarczykiem „Roczniki Historyczne" w Poznaniu (dotychczas 6 roczników).

Działalność naukowa:

Kielcom poświęciłem rozprawkę p. t. „Początki Kielc w związku z pierwotnem osadnictwem terytorjów", wydaną w r. 1917 w jednodniówce pod red. ś. p. adw. Arkadjusza Płoskiego (mojego wuja). Ponieważ wydawnictwo to jest prawie niedostępne, rzecz ta wydana będzie po raz drugi w roku obecnym w będącym pod prasą „Pamiętniku Świętokrzyskim" pod red. A. Patkowskiego. Z pierwszego wy-

dania czerpał St. Żeromski w swej „Puszczy Jodłowej", na co zwrócił uwagę St. Papée w Wiadomościach Literackich z 9.I 1927 r. (Nr. 2, r. IV).

WYKAZ PRAC:

W całości wydałem rozpraw 52, recenzyj, komunikatów i artykułów 60, wydawnictwo źródłowe (księga ziemska zakroczymska 1434 — 1437) 1, nadto wydanie pośmiertnej pracy Ign. Baranowskiego o Przemyśle polskim w XVI w. Razem 114 prac. — Uczniowie moi wydali drukiem 13 prac.

Działalność tę można w następujący sposób rozsegregować:

1. Geneza społeczeństwa polskiego: Prócz referatu programowego p. t. Geneza społ. polskiego w Pamiętniku IV Zjazdu historyków polskich w Poznaniu 1925 (Lwów 1925), dwie książki, t. j. Procesy twórcze formowania się społeczeństwa polskiego w wiekach średnich, Warszawa, Wende 1921 (praca nagrodzona przez Akad. Umiejętności w roku 1922, i przez Kasę Mianowskiego — nagroda Pawińskiego w r. 1925) i Społeczeństwo Słowian lechickich. Ród i plemię, Lwów. Jakubowski, 1928. (Zw. Bibl.Slawist. t. VI).

2. Historja stanów (głównie kmiecego) w wiekach średnich, studja badawcze z różnych krajów, epok i dzielnic.

Mazowsze: Wolność kmieca na Mazowszu w XV wieku. (Poznań T. P. N. 1921). „Sądownictwo w sprawach kmiecych, a ustalanie się stanów na Mazowszu" (Poznań 1922). „Łowiectwo na Mazowszu (Warszawa 1916).

Wielkopolska: „Kmieć wielkopolski w zapiskach sądowych średniowiecznych" (Poznań 1930).

Śląsk: „Społeczeństwo śląskie na podstawie dokumentów trzebnickich z lat 1203, 1204 i 1208" (Warszawa 1925). „Z dziejów zaniku drobnej własności na Śląsku w XIII w." (Lwów 1925). „Z dziejów rozwoju wielkiej własności na Śląsku w XIII w." (Poznań 1926).

Małopolska: „Majętność książęca w Zamościu w XII wieku" (Kraków 1912).

Słowianie zachodni: „Ludność wiejska" (Slavia occidentalis 1921). „Podgrodzia" (Slavia occid. 1922).

Prawo niemieckie: „Prawo niemieckie w rozwoju społecznym wsi polskiej" (Kwartalnik histor. 1923). „Poddańcza gmina" (Przegląd histor. 1922). Artykuły w księgach

pamiątkowych W. Abrahama, O. Balzera, A. Brücknera, St. Dobrzyckiego, Z. Krzywickiego, F. Šišiča.

III. Historja polityczna, hist. ideologji polit., ogólna hist. kultury polskiego średniowiecza: rozprawy i artykuły w Kwartalniku histor. 1920, Przeglądzie histor. 1918, 1920, Polen (Bern 1928), Przegl. narodowym 1921, Przegl. warszawskim 1921, La Revue de Pologne 1924.

Tutaj też można zaliczyć „Cechy moralne narodu jako wynik historji" (Pozn. 1926) i „U źródeł cywilizacji polskiej" (Pamiętnik Warszawski 1930).

IV. Historja Pomorza, Śląska, Wielkopolski, Słowian zachodnich i stosunków polsko-niemieckich. Prócz niektórych już wymienionych, rozprawy i artykuły w Rocznikach Historycznych 1925, 1927, Strażnicy Zachodniej 1922, 1923, Polsce Zachodniej 1926, Bibljotece Kresowej 1922, Instytucie Bałtyckim 1930, Kronice o polskiem morzu 1930, Rocznikach „Pomeranji" 1926, 1928 La Vie Polonaise 1921, nadto książeczka: „Znaczenie Śląska w dziejach Polski" (Warszawa, Arct 1919) i wydawnictwo angielskie „History of polish Pomerania" (Poznań 1929).

Próba syntetycznego poglądu na historję społeczną Europy wschodniej w zestawieniu z hist. społ. Europy zachodniej w wiekach średnich w referacie na VI międzynarodowym kongresie historyków w Oslo p. t. „L'histoire sociale de l'Europe orientale au moyen âge. Les problémes fondamentaux" (Oslo — Norwegja 1928 streszczenie i Warszawa 1930, cały referat).

O „GÓRCE" I JEJ TWÓRCY

Cicho, bez rozgłosu i szumnej reklamy powstała i spełnia swe zaszczytne zadanie instytucja, której historja niewątpliwie powinna wzbudzić szczególną uwagę kolegów Kielczan, a jej działalność zainteresować szerokie kręgi społeczeństwa.

W r. 1918 kolega nasz Szymon Starkiewicz *), wydaje odezwę, w której, w imię hasła ratujmy dzieci polskie, wzywa do stworzenia uzdrowiska dziecięcego, wydobycia dzieci biednych rodziców ze strychów i suteryn miast na słońce, na wieś, w dobre warunki klimatyczne, dania dziecku opieki lekarskiej, powietrza, dobrego odżywiania. Odezwa ta, zjawiająca się w chwili, gdy nędza, głód, choroby, te plagi wojny światowej, dziesiątkowały najmłodsze pokolenie, znalazła oddźwięk w społeczeństwie. Przyszły wdowie, robotnicze, dziecięce grosze, pierwsze od młodzieży i robotników z Zagłębia Dąbrowskiego, przyszła znaczniejsza ofiara od inż. St. Knothego, umożliwiając rozpoczęcie realizacji myśli o budowie uzdrowiska. Zostało zakupione 10 mórg ugoru na wzgórzu, położonem w pobliżu Buska Zdroju, słynnego z wód mineralnych siarczano-słonych, znakomicie działających na schorzenia gruźlicze, stawów, kości, skóry, gruczołów, na reumatyzm, skrofuły, przymiot.

W końcu grudnia 1918 r. sam inicjator wraz ze swymi najbliższymi rozpoczął kopanie gliny do wyrobu cegieł na budowę przyszłego pałacu dziecięcego. W niespełna rok potem został utworzony komitet budowy kolonji leczniczej. W lecie 1920 roku Górka jest już czynna: kolega Starkiewicz pielęgnuje w namiotach 60 dzieci skrofulicznych z Dąbrowy Górniczej i jednocześnie razpoczyna budowę sanatorjum. Istniejący od tego czasu zakład nosi nazwę: „Kolonja Lecznicza dziecięca im. dr. med. rektora J. Brudzińskiego przy Zdroju w Busku".

Dalej następuje najcięższy okres pracy i starań o środki materjalne. Niezłomna wola kolegi Starkiewicza przełamuje wszystkie przeszkody. Dzięki jego usilnym zabiegom wpływają zasiłki od stowarzyszeń społecznych i humanitar-

---

*) Dr. Szymon Starkiewicz ukończył gimnazjum kieleckie w r. 1897, potem wydział lekarski w uniw. Warszawskim, 15 lat pracował jako lekarz w Dąbrowie Górniczej i w Busku.

nych, od rządu, sejmików, magistratów miast, kas chorych, i oto w 1927 roku na pustej dawniej Górce staje imponujący tak pod względem zewnętrznym, jak i nowoczesnych urządzeń wewnętrznych gmach uzdrowiska dziecięcego.

Zbudowany według projektu inż. Nowakowskiego z Krakowa na 200 chorych dzieci, posiada nietylko piękne, wielkie sale, pełne światła i słońca, centralne ogrzewanie, wodociągi, kanalizację, pralnie mechaniczne, lecz i pierwszorzędne urządzenia do celów leczniczych, jak gabinet Roentgena, oddział ortopedyczno-chirurgiczny, diatermję, lampy kwarcowe, pracownię kliniczną, kąpiele siarczane i higjeniczne, natryski. Obok gmachu głównego, w oddzielnych pawilonach, zwanych „szklanymi domami", mieszczą się kolonje sezonowe, przez które w ciągu miesięcy letnich przewija się obecnie z górą 1200 dzieci, przebywających na kuracji po 6 tygodni i korzystających przytem ze wszystkich urządzeń sanatorjum stałego. Znaczny, obejmujący 22 morgi, teren pod ogrodami, parkiem, boiskami, placami zabaw, laskiem brzozowym i sosnowym daje dzieciom leczącym się możność pełnego wykorzystania wsi, w znakomitym, niemal o charakterze podgórskim, powietrzu i życiodajnem słońcu.

W uzdrowisku od roku czynna jest i rozwija się pomyślnie szkoła o programie szkół powszechnych. Po uciążliwym okresie prób i wysiłków zorganizowaana obecnie uczelnia ma doniosłe znaczenie ogólno - wychowawcze, umożliwia dzieciom, których kuracja wymaga czasem do 3-ch lat przebywania w sanatorjum, wykorzystania czasu na naukę, kształcenie umysłu i serca. Nauka wychowanie, leczenie łączy się tu w całokształt opieki nad dzieckiem, dając pod każdym względem bardzo dobre wyniki. Dla dzieci młodszych prowadzone jest przedszkole. Specjalną uwagę zwraca kolega Starkiewicz na możliwość fachowego wykształcenia dzieci. W tym celu są prowadzone przez specjalnych nauczycieli roboty kobiece, introligatorskie i koszykarstwo. Jest to zaczątek zamierzonej szkoły rzemiosł i warsztatów pracy ręcznej.

Jednocześnie z olbrzymią pracą przy budowie, urządzaniu, a potem prowadzeniu głównego uzdrowiska kolega Star kiewicz znalazł jeszcze czas i energję na powołanie do życia i kierowanie sezonowemi kolonjami dziecięcemi następującemi: kolonją o charakterze wypoczynkowo-obserwacyjnym w Tarnoskale na 120 dzieci, kolonją rzeczną nad Wisłą, poprzednio w Ujściu Jezuickm, w ostatnich latach w Winiarach, na 50 — 70 dzieci, kolonją morską w Halle-

rowie na 150 dzieci. W niedalekiej przyszłości zostanie uruchomiona kolonja leśna w lasach państwowych w Wełczu (4 kl. od Górki). W stadjum organizacji znajduje się półsanatorjum na 60 — 80 dzieci, jako uzdrowisko o charakterze pośrednim pomiędzy sanatorjum a kolonjami sezonowemi. Wszystko, ujęte w poszczególnych, wyżej wymienionych, częściach, tworzy ramy całkowitego systematu przyrodoleczniczego.

Tak przedstawia się w bardzo zwięzłem streszczeniu *) dorobek społeczno-kulturalny kolegi Starkiewicza. Cześć Jego pracy!

LUDWIK SZPERL.

---

*) Bardziej szczegółowe wiadomości o Górce podają publikacje: Dr. Sz. T. Starkiewicz „O leczeniu przewlekle chorych dzieci — a Kolonja Lecznicza Dziecięca im. dr. rekt. J. Brudzińskiego przy zdroju w Busku". Referat zgłoszony na XIII Zjazd lekarzy i przyrodników w Wilnie. — Dr. Sz. Starkiewicz: „Kolonja Lecznicza im. J. Brudzińskiego dla dzieci zołzowatych—w Busku". Busk — Dąbrowa Górnicza 1919/1920, str. 48. — Zygmunt Kisielewski: „Czyn, nie łza... Rzecz o Górce, dziecięcej kolonji leczniczej pod Buskiem". Warsz. 1928, Nakładem Pol. Komitetu Międzyn. Kongresu opieki nad dzieckiem (z ilustr.). Str. 107.

PRZYCZYNKI HISTORYCZNE

Z CZASÓW POWSTANIA 1863 — 1864.

I

Najwięcej godnych uwagi figlów uczniowskich w gimnazjum Kieleckiem przypada na lata naszego ostatniego powstania, t. j.: 1862 — 1863 r. Wtedy umysły młodzieży szkolnej rozwijały się i dojrzewały wśród wypadków niepowszednich. Budziły się uczucia patrjotyzmu, połączone z niepohamowaną chęcią, jeśli nie uczestniczenia w powstaniu, to chociaż pomagania rodakom.

Pewnego wieczora, w lutym 1863 r., rozlokowani po kwaterach kozacy zaczęli się zjeżdżać na punkt zborny, w podwórzu domu na Krakowskiem Przedmieściu w Kielcach, aby wyruszyć do pobliskiego lasu na powstańców. W domu tym mieściła się też stancja uczniowska. Dwaj uczniowie K. i Z. zauważyli te przygotowania... i nie wiele myśląc, postanowili im przeszkodzić. Podkradli się niepostrzeżenie pomiędzy rzędy stojących koni i wszystkie strzemiona u siodeł poobcinali, poczem wrócili cichuteńko do mieszkania i czemprędzej położyli się do łóżek, jako chorzy od południa.

Niebawem posłyszano straszny rwetes na podwórzu! Kozacy biegali jak wściekli, krzyczą, grożą, przeklinają... Wreszcie wpada kilku i na stancję, gdzie wymachując, a nawet bijąc nahajkami, szukają sprawców... Uczniowie przerażeni tłumaczą się, że o niczem nie wiedzą, bo siedzą i uczą się, a ci dwaj leżą chorzy w łóżkach. Jakoś uwierzono, boć podejrzewano nie tych, którzy rzeczywiście zawinili.

Sprawców nie znaleziono, kozacy wyruszyć w pole nie mogli. Dopiero po kilku godzinach wysłano oddział piechoty. Powstańcy przespali całą noc spokojnie.

II

Po uśmierzeniu powstania długo jeszcze pomiędzy uczniami istniała chętka wojowania. Strzelanie do celu, albo i bez celu, było najmilszą każdego ucznia zabawką. Do najżarliwszych zwolenników tego sportu należało dwóch

uczniów na stancji p. Tołczykowej: Kamiński Józef i Kozłowski Walenty. Ten drugi biedny, ale bardzo sprytny, zrobił sobie pistolecik z podkówki od buta i szprycki. Popisując się nim przed Kamińskim, tak go zachwycił, że Kamiński kupił od jakiegoś sołdata prawdziwy pistolet za całego rubla — i potem obydwaj koledzy często chodzili na górę Kadzielnię, aby tam strzelać dowoli.

Razu pewnego poszli gdzieindziej, — za rogatki Starowarszawskie. Strzały usłyszał przechodzący niedaleko oficer i rozkazał swemu ordynansowi odszukać i przyprowadzić strzelającego do siebie. Na widok ordynansa Kozłowski w nogi... uciekał szybko i schował się w życie. Kamiński zaś oko w oko spotkał się z żołnierzem.

— Tyś strzelał? — pyta ordynans.

— Ja, nie — odparł, jąkając się Kamiński — to ten, co uciekł, strzelał. O jeszcze mu głowę widać w życie.

Żołnierz ani myślał gonić drugiego, lecz wziąwszy Kamińskiego za kołnierz poprowadził do mieszkania swego pana. Kamiński drżał ze strachu, mając w kieszeni palta pistolet, proch i pakuły, a wyrzucić tego nie było sposobu. Wchodzą do mieszkania oficera, ordynans melduje, że przybył ze sprawcą strzałów.

— Wprowadzić, — woła oficer.

Kamińskiemu szczęśliwa myśl przychodzi do głowy: zdejmuje palto, wiesza je wraz z czapką w przedpokoju i w mundurku przedstawia się oficerowi.

— Tyś strzelał?

— Nie, panie oficerze, to nie ja... to drugi... ja byłem na spacerze... i ordynans mnie schwytał.

— Zrewidować go! — brzmi rozkaz.

Ordynans obmacał, ale ani w mundurku, ani w spodniach nie znalazł nic podejrzanego.

— Idź do domu, kawalerze — rzekł oficer.

Kamiński ukłonił się, wyszedł do przedpokoju, ubrał się spokojnie w palto, którego nikt nie rewidował i wrócił, jak niewinny chłopczyk do domu.

FELIKS KWIECIŃSKI

Grójec, w kwietniu 1928 r.

JESZCZE O BARTOSIE GŁOWACKIM.

W artykule, umieszczonym w t. IV Pamiętnika Koła Kielczan z r. 1929, zestawiłem kilka szczegółów, dotyczących postaci Wojciecha Bartosa-Głowackiego, poruszając w ich świetle między innemi sprawę miejsca pochowania zwłok

Bartosa. Przytoczyłem wreszcie treść oświadczenia p. Stefanji Taraszkiewiczowej, złożonego przez nią zarządowi Muzeum Narodowego w Warszawie wraz z krzyżykiem i różańcem, jako pamiątkami po Bartosie-Głowackim.

Chcąc dowiedzieć się o dalszym losie tych przedmiotów, zwróciłem się z początkiem stycznia r. b. do dyrektora Muzeum Narodowego p. Gembarzewskiego z prośbą o udzielenie mi informacji w tym przedmiocie.

Otrzymałem odpowiedź, że pow. wym. przedmioty zostały włączone do zbiorów Muzeum, ponieważ posiadają cechy autentyczności, oświadczenie zaś p. Taraszkiewiczowej wzbudza zaufanie co do wiarygodności przytoczonych w niem szczegółów.

Podając tę okoliczność do wiadomości czytelników Pamiętnika ze względu na jej znaczenie dla poruszonego tematu, pragnąłbym jednak raz jeszcze zaznaczyć, że nasuwają się tu pewne wątpliwości.

Według relacji p. Taraszkiewiczowej zwłoki Bartosa-Głowackiego miały jeszcze w 1870 r. spoczywać w grobowcu pod ogrójcem, natomiast ks. Władysław Siarkowski, autor pracy, wydanej w 1872 r. w Warszawie nakładem księgarni Goldhaara w Kielcach, p. t. „Groby kościoła N. Maryi Panny w Kielcach i bulla erekcyjna Dyjecezji i Katedry Kieleckiej" na str. 57 pisze o tem dosłownie, co następuje: „Ks. Józef Rogalli, kanonik krakowski, kustosz kielecki i Proboszcz w Iłży, wystawił kosztem swym w roku 1760 kaplicę, zwaną ogrójcem i wymurował w nim grób dla grzebania ciał zmarłych. Grób ten wynosi długości 8 łokci i 15 cali, szerokości zaś 7 łokci. W grobie tym spoczywały przez kilkanaście lat zwłoki Bartłomieja Głowackiego [2]), zwanego kumem z pod Racławic, które następnie wydobyto i pochowano na cmentarzu kościelnym między dwoma wiązami po prawej stronie kościoła, obierając za punkt fronton główny i drzwi wielkie kościoła. Głowacki, według notatki, uczynionej w metrykach zmarłych, umarł z szpitalu kieleckim 9 czerwca 1794 r. Do dni obecnych znajdują się osoby w Kielcach, które znały osobiście tych ludzi, co widzieli zwłoki Głowackiego w czasie przeniesienia takowych z grobu ogrójca na teraźniejsze miejsce wiecznego spoczynku".

STEFAN RACZYŃSKI.

Warszawa, luty 1931 r.

---

[2]) Nazwisko błędnie podane, jak o tem pisałem już w poprzednim swym artykule. S R.

LIST ŻEROMSKIEGO.

Adwokat kielecki, Marjan Grzegorzewski, którego łączyło z Żeromskim Stefanem koleżeństwo, nadesłał „Pamiętnikowi" autograf listu znakomitego pisarza. Nie dodał jednak wyjaśnienia, jaki obrót wzięła jego synowska inicjatywa. Podajemy ten list poniżej.

Szanowny i Kochany Panie Kolego!

Pozwólcie, że na Wasze ręce, Szanowny i Kochany Panie Marjanie, prześlę najserdeczniejszą podziekę za telegram z wynurzeniem życzeń koleżeńskich dla mnie z racji otrzymania orderu Polonia Restituta, przesłanych przez grupę Kielczan. Nie znam adresów Kolegów podpisanych, to też nie mogę wystosować podziękowania za ten zbiorowy wyraz łaski. Może przy sposobności raczycie w mojem imieniu podziękować Kolegom i wyrazić im moje życzenia, ażeby wszystko dobre spotkało ich w życiu z równą szczodrobliwością, jak mnie oni w swym zbiorowym posłaniu życzyli.

Jestem bardzo ciężko chory na serce, od miesiąca nie opuszczam mieszkania, karmię się bardziej lekarstwami, niż chlebem. To też ośmielam zanieść do Was, Drogi Panie Marjanie, prośbę w następującej sprawie, podkreślając, że nigdy nie ośmieliłbym się trudzić Was i ambarasować, gdyby nie to, że nie mogę przyjechać do Kielc i tą sprawą osobiście się zająć. Chodzi o wmurowanie w kościele parafialnym w Leszczynach pod Kielcami tablicy pamiątkowej dla moich rodziców. Prośba moja dotyczy dwu kwestji:

1) Czy proboszcz w Leszczynach, (nie wiem, jak się nazywa) zgodziłby się na wmurowanie takiej tablicy kędyś w presbiteryum kościoła, obok drzwi do zakrystji;

2) Czy w kieleckiej fabryce marmurów można obecnie zamówić tablicę z czarnego, ciemnego, oliwkowego marmuru ze złoconemi literami i niezbyt długim napisem?

Nie mam pojęcia, ile ta cała sprawa mogłaby kosztować i jakie należałoby wykonać formalności do jej skutecznego przeprowadzenia.

Gdybyście raczyli poinformować mię listownie w tej sprawie, byłbym Wam wdzięczny do śmierci. Przepraszam serdecznie za ambaras i łączę wyrazy najgłębszego szacunku i szczerego, braterskiego pozdrowienia.

Stefan Żeromski.

Warszawa — Zamek dn. 11.V.1925

P. S. Po otrzymaniu wiadomości ułożyłbym napis i przesłał do fabryki.

Z TRADYCYJ KIELECKICH

W kancelarji gimnazjalnej na starej, ceratą obitej, kanapie siedzi trzech łotrów: Jewgienij Fłorowicz Stefanowicz, Nikanor Iwanowicz Bielawskij i Foma Siemionowicz Orłowskij (recte Tomasz Orłowski, wychowaniec Politechniki Lwowskiej)

Wchodzi nauczyciel Polak.

— Pomóżcie Stanisławie Ignatjewiczu, — mówi Foma Orłowskij.— Nie wiemy, jak przetłumaczyć na polski „krugom durak".

— U nas takich niet — spokojnie odrzekł Stanisław Ignatjewicz.

Jedna z pierwszych lekcyj języka polskiego w nowym roku szkolnym w klasie czwartej. Profesor W. K. poczyna dyktować gramatykę polską po rosyjsku.

Drugoroczny Jabłoński:

— Panie profesorze, dlaczego w przeszłym roku gramatyka była po polsku, a teraz po rosyjsku?

Profesor W. K.:

— O..! kanalja Jabłoński! A żonę masz? A dzieci masz? A widzisz! A ja mam.

L. S.

K R O N I K A

ZJAZD KOLEŻEŃSKI

W dniach 3 i 4 maja 1930 r. odbył się w Kielcach zjazd koleżeński pierwszych maturzystów b. kieleckiej Szkoły Handlowej (rocznik 1909). Z pośród 28 żyjących kolegów przybyło na zjazd 19. W zjeździe uczestniczyła również część ówczesnych profesorów Szkoły i dwaj członkowie ówczesnej Rady Opiekuńczej. Zjazd odbył się w miłej atmosferze koleżeńskiej, budząc u wszystkich jego uczestników chęć ponownego zebrania się w przyszłości.

Z uchwał, powziętych na zjeździe, wymienić należy uchwałę o przystąpieniu w charakterze członków do Koła Kielczan wszystkich kolegów, uczestniczących w zjeździe, oraz uchwałę w przedmiocie zorganizowania w dniach 24 i 25 maja 1931 r. zjazdu wszystkich żyjących wychowańców szkół kieleckich.

ST. R.

FUNDACJA IM. FLORENTYNY MALSKIEJ

Od września 1929 r. Kielce zyskały nowy dom o charakterze opieki społecznej. Przy ul. Seminaryjskiej Nr. 29 stanął duży, dwupiętrowy bydynek fundacji Florentyny Malskiej. Podczasc gdy mąż jej przekazał swój majątek na kielecki kościół św. Krzyża, ona testamentem z 1911 r zapisała przypadającą jej część Rogienic (pow. włoszczowski, gm. Radków) na budowę i utrzymanie schroniska dla zubożałej inteligencji ze sfer ziemiańskich i urzędniczych, pochodzącej z obszaru siedmiu powiatów byłej gubernji kieleckiej.

W 1922 r. zawiązał się komitet budowy schroniska, zatwierdzony przez Urząd Wojewódzki. Weszli do niego: reprezentant ziemiaństwa p. Paszewski (zastępca p. Kruszewski) i przedstawiciel urzędników p. Górski (zast. p. Jurjew). Prezesem został wybrany dr. Wincenty Zasucha (zast. rejent W Janiszowski). Zapis przeznaczył na budowę 300 morgów ziemi wartości około 150.000 zł. Powiększyły tę sumę procenty, czynsze dzierżawne i dalsze ofiary: p. Wiktorja Jeziorowska zapisała Fundacji 27.000 zł.; 4,000 dał Zw. Ziemian; 3,000 na umeblowanie Urząd Wojewódzki.

Testament głosił, iż zapis uczyniono na budowę i u t r z y m a n i e Fundacji, należało więc obmyśleć środki stałego dochodu. Komitet odrzucił pomysł zostawienia części funduszów w banku, postanowiono natomiast umieścić kapitał w budynku. Według planów inż. Borowieckiego postawiono dwupiętrowy dom, którego zachodnia część (22 po-

koje) stanowi właściwe schronisko, a część wschodnia (23 pokoje) jest jednostką dochodową. Ustrój wewnętrzny tak zw. „Ogniska" jest pensjonatowy; pensjonat prowadzi wykwalifikowana gospodyni. W chwili obecnej wszystkie pokoje dochodowe są wynajęte (mniej więcej 50 zł. za pokój). W części filantropijnej mieszka 6 osób (w tem 1 mężczyzna), zakwalifikowanych przez Komitet, które mają tu dożywotnie mieszkanie i życie. Ci z pensjonarjuszy, którzy mogą, wpłacają Zarządowi drobne sumy ze swych emerytur lub zapomóg.

Ogólny koszt budynku wyniósł 330.000 zł. Stawiano go, mając na względzie trzy warunki: spokój pensjonarjuszy (system korytarzowy, wspłlna jadalnia i hall) dostatek wody (łazienki, umywalnia, pralnia) oraz obfiość słońca i powietrza. Stoi więc dom na krańcu miasta, frontem na południe, otoczony przeszło półmorgowym terenem podwórza i ogródka. Na dachu taras o powierzchni 120 m^2 (pierwszy w Kielcach!) z widokiem na Wietrznię, Telegraf i Biesak. Nie dochodzi tu wapienny kurz szosy; koszykowe fotele i leżaki pozwalają na najzdrowszą kąpiel słoneczno - powietrzną.

Tak dzięki rzadkiej ofiarności jednostki i dzięki tęgiej pracy Komitetu, który budował dom wśród często bardzo ciężkich okolliczności, powstała w Kielcach instytucja o wybitnem znaczeniu dla tej warstwy społeczeńswa, która u nas doznaje jeszcze najmniej opieki — dla inteligencji. Jesteśmy w szczęśliwem położeniu, że mamy w swem mieście „Ognisko", dające jednostkom samotnym ciepło i oparcie wśród licznych niepowodzeń życiowych.

A. Z.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Znany poeta i filolog Józef Birkenmajer ogłosił w „Pamiętniku Literackim" (rocz. 28) rozdział większej pracy o Bolesławie Chrobrym w poezji polskiej. Urywek ten (wydany też osobno: Lwów 1931, Ossolineum) nosi tytuł: „Legenda Łysogórska o Bolesławie Chrobrym". Autor ustala, że legenda o pobycie w górach króla Bolesława znacznie później była zlokalizowana w Karpatach. Źródło tej legendy ściśle jest związane ze Świętym Krzyżem. Za podstawę zestawień z kroniką świętokrzyską i relacją Długosza i in. Birkenmajer wziął mało znany z 16-go wieku druk „Powieść rzeczy istej o założeniu klasztoru na Łysej Górze, braciej zakonu św. Benedykta i też o tem, jako drzewo świętego Krzyża na tę górę jest przyniesione". Wątek owej legendy Birkenmajer śledzi poprzez dzieje literatury aż do Żeromskiego.

*

W zbiorku poezyj Stanisława Czernika (Poezje. Serja I), drukowanym w Ostrzeszowie (Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej) znajduje się wiersz p. t. „Okolica". Oto urywek:

Okolica moja — górnolica,
Zaziemiona polami,
Zadrzewiona lasami,
Ułączniona nadwodnie,
Urzeczniona przypolnie —
Okolica moja — pagórnica
Ojczyźnica.
Łysogórne jej zjawy
Na zachodzie zawisły,
Jakby znaki pytania.
I kroplami zarania
W mojem sercu rozprysły,
Przeddziejami kochania
U wrót duszy zawisły.
Garbne znaki pytania —
Świętokrzyskie i jedlne,
Zbłękitnione modrzewnie,
Bożycami pogańskie,
Witosławskie i dębne,
Sobótkami obrzędne,
A nadewszystko
Rodzinnym domem śpiewne.
...Mojego domu rodzinnego okna
W świętokrzyskie patrzyły pagórze.

Okolicy tej i latom dzieciństwa autor poświęcił kilka utworów.

•

Uzupełniając w każdym roczniku informacje o działalności literackiej Kielczan, musimy też wymienić ostatnie prace (wydane osobno) Zygmunta Wasilewskiego. W „Księdze Pamiątkowej Kielczan", wydanej w r. 1925 przez ś. p. T. Ruśkiewicza, podana była bibljografja tego pisarza do r. 1924. Potem ogłosił: Dyskusje (1925), Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim (1927), Poeci i teatr (1929), Pieśń w górach (1930), Wnukom o prapradziadku (1931). Z. Wasilewski od r. 1925 redaguje tygodnik „Myśl Narodową", tutaj zamieszcza swoje prace i feljetony, tudzież w „Kurjerze Poznańskim".

TURYSTYKA W KIELECKIEM.

Miesięcznik „Morze" w zesz. 6-ym z r. 1930 podał szczegółową informację dla turystów, sporządzoną przez p. M. Waletowskiego pt. „Krótki rys turystyczny woj. Kieleckiego".

Wyjmujemy z tego artykułu krótkie informacje o województwie Kieleckiem:

Obszar Województwa Kieleckiego 24.833 km. kw. Zaludnienie — 2 773.700 osób. Długość dróg 14.744 km. W tem dróg bitych 3.356 km. Na 1 km. kw. powierzchni dróg bitych wypada 0.132 km. Linij autobusowych 212 km. na łącznej długości 2.270 km. Roli 13.526 km. kw. Łąk 1.535 km kw. Pastwisk 1.706 km. kw. Najwyższa wysokość n. poz. m. Bałtyckiego 612 m. Najniższa 93 m.

Konfiguracja terenu tworzy niejako dalszy ciąg podgórza Podkarpackiego, przeciętego rozlewną doliną Wisły, która płynie południową i wschodnią krawędzią Województwa. Krawędź północną i zachodnią stanowi dolina Pilicy, mającej swój początek na terenie Województwa. Rzeki te, oraz Nida, przecinająca teren województwa z półn. zachodu na połud.-wschód, wskazują dwa zasadnicze działy wód. Jeden, równoleżnikowy, tworzący trójpasmowe góry Świętokrzyskie, z najwyższym wzniesieniem Górą Łysicą (612 m.), niższemi, Miedzianą Górą, Bukową, Radostową, Łysą, Górami Jeleniemi i t d. Drugi dział wód, ciągnący się jako odgałęzienie trzeciego pasma Świętokrzyskiego w kierunku południowo - zachodnim przez Chęciny, Małogoszcz, wyżynę Olkuską ku pustyni Błędowskiej, „Polskiej Saharze", Ten ostatni dział krzyżuje się z pogórzem Krakowsko - Częstochowskiem, z piękną doliną Prądnika. Dość znaczne względne wysokości, nader charakterystyczna rzeźba terenu w południowej części Województwa w jurajskich wapieniach kredowych (pow. Będziński, Częstochowski, Zawierciański, Olkuski), zaś charakterystyczne wyżłobienia w lasach na wschodzie (pow. Miechowski, Pińczowski, Sandomierski i Opatowski), przy pięknych pokryciach leśnych, stworzyły harmonijne, piękne i ciekawe krajobrazy, stworzyły warunki, pociągające ludzi do wykorzystania tych okolic.

Objęcie całokształtu i szersze ujęcie opisu województwa nastąpić może tylko w obszernym „Przewodniku", który Wojewódzka Komisja Turystyczna w Kielcach zamierza wydać w niedługim czasie.

Organizacjami, zajmującemi się turystyką i krajoznawstwem na terenie województwa, są: Woj. Komisja Turystyczna w Kielcach (Urząd Wojewódzki); Oddziały Tow. Krajoznawczego: w Kielcach, w Olkuszu, w Ostrowcu, w Sandomierzu, w Zagożdżonie; Muzeum Miejskie (sekcja wycieczkowa) w Częstochowie; Oddział Tow. Tatrzańskiego w Kielcach; Świętokrzyska sekcja narciarska w Kielcach.

Ponadto w każdym powiecie są zorganizowane referaty turystyczne przy starostwach i sejmikach.

Oto spis miejscowości, nadających się na wycieczki dwudniowe:

1) **Sandomierz** (stacja kolejowa), zwiedzanie — Wisłą statkiem przez Zawichost do Kazimierza nad Wisłą i Puław, nocleg — z Puław, Wisłą do Dęblina (st. kol.).

2) **Sandomierz** (stacja kolejowa), zwiedzanie — autobusem do Opatowa — zwiedzanie — autobusem do Ostrowca, nocleg, zwiedzanie

Ostrowca i autobusem do Starachowic, zwiedzanie — autobusem do Wąchocka, zwiedzanie — odjazd (stacja kolejowa)

3) **Kielce** (stacja kolejowa) autobusem do Radlina (7 klm.), stąd pieszo przełomem Lubrzanki do Mąchowic i przez Górę Radostową do św. Katarzyny na nocleg, — zwiedzenie Puszczy jodłowej Żeromskiego, wejście na szczyt Łysicy — powrót do św. Katarzyny, stąd autobusem przez Bodzentyn do stacji kolejowej w Suchedniowie lub do Kielc. Możliwem jest również powrót kolejką leśną ze św. Katarzyny do stacji kolej. w Zagnańsku.

4) **Olkusz** (stacja kolejowa) autobusem do Pieskowej Skały, zwiedzanie — przed wieczorem pieszo do Ojcowa, nocleg — cały dzień w Ojcowie — wieczorem autobusem do Krakowa, lub do Olkusza do stacji kolejowej.

5) **Częstochowa** (stacja kolejowa), zwiedzanie — popoł. autobusem do Olsztyna, stąd autobusem do Złotego Potoku, nocleg — zwiedzanie, w południe autobusem w kierunku Kroczyc (b. piękna okolica) przez Pilicę — Smogoń do Wolbromia (stacja kolejowa).

6) **Częstochowa** (stacja kolejowa), zwiedzanie — koleją lub autobusem do Będzina, zwiedzanie — tramwajem do Sosnowca, zwiedzanie i nocleg — koleją do Olkusza, zwiedzanie — samochodem do Klucz, zwiedzenie Pustyni Błędowskiej, powrót do Olkusza (stacja kolejowa).

K O Ł O   K I E L C Z A N

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA KIELCZAN ŚRODOWISKA WARSZAWSKIEGO

za rok 1929

Działalność Koła Kielczan ujawniła się w roku 1929 w:

1) wydaniu trzeciego z kolei Pamiętnika Koła Kielczan, stanowiącego IV tom wydawnictw Koła. Pamiętnik ten opuścił drukarnię w końcu grudnia 1929 r. i zawiera 116 stron druku. Oprócz sprawozdań znalazły w nim miejsce artykuły kol. kol. Markowskiego Bolesława, Raczyńskiego Stefana, ks. Zdanowskiego, Wasilewskiego, Wędrychowskiego i Nowaka. Pozatem wykonano cztery plansze do artykułu ks. Zdanowskiego;

2) udzieleniu czterech stypendjów niezamożnym akademikom Kielczanom, kształcącym się w wyższych zakładach naukowych, w kwotach po 300 zł. semestralnie. Stypendja zostały przyznane pp. akademikom: Banasińskiemu Antoniemu (sł. wydz przyr.-mat. U W.— matematyka) na 2 semestry,, Zarembie Emilowi (sł. humanistyki U. W.) na 2 semestry, Krochmalowi Franciszkowi (sł. wydz. przyr-mat. U. P. — chemja) na 1 semestr, Siwcowi Franciszkowi (sł. historji U. J.) na 1 semestr, Dąbrowskiemu Józefowi (sł wydz. przyr.-mat. U. J. — chemja) na 1 semestr oraz Gidlewskiemu Jerzemu (sł. wydz. mech. Pol. Lw.) na 1 semestr. Pozatem przyznano bezzwrotną zapomogę w wysokości 100 zł. Szanserowi Janowi (sł. humanistyki U. W.);

3) w zebraniach koleżeńskich referatowych i towarzyskich:

— dnia 23.II. 1929 odbyło się zebranie doroczne członków przy obecności 22;

— dnia 1.IV. 1929 — zebranie towarzyskie przy obecności 19 członków;

— dnia 26 X. 1929 — zebranie referatowe z referatem kolegi Markowskiego o ks. Polejowskim rektorze pierwszej szkoły wojewódzkiej w Kielcach;

— dnia 30.XI. 1929 — zebranie referatowe z referatem kol. Kujawskiego Kazimierza o Kazimierzu nad Wisłą;

dnia 14.XII. 1929 — zebranie towarzyskie przy obecności 19 członków.

Zarząd Koła odbył 8 posiedzeń, na których rozpatrywano bieżące sprawy administracyjne i finansowe Koła.

Zarząd przeprowadził uporządkowanie listy członków przez rozesłanie odpowiedniej odezwy do członków Koła. Wynikiem sprawdza-

nia listy było ustalenie następującej liczby członków: Warszawa liczy — 82 członków, Kielce — 103 czł., prowincja poza Warszawą i Kielcami — ? szł.

ZESTAWIENIE KASOWE

za czas od 1. I. 1929 do 31. XII 1929 r.

Dochody:

1.	Pozostałość na dz. 1.I.29 r. w kasie	184.68
2.	Pozostałość na dz. 1.I. 29 r. w P. K O. , , ...	1,388,—
3.	Składki czł. miejscowe . . . . , . . .	1,527,—
4.	Składki członk. zamiejscowe	510.25
5.	Od delegatury kieleckiej	1.200.—
6.	Ofiary	464,—
7.	Ofiara na odnowienie grobu ks. Polejowskiego . . .	25.—
8.	Różne	157,14
9.	Ze sprzedaży Pamiętnika	266.—
	Razem zł.	5.722.07

Wydatki:

1.	Wypłacone stypendja	2,100,—
2.	Wydawnictwo Pamiętnika	1,260,—
3.	Zapomoga	100,—
4.	Wydatki kancelaryjne i pensja sekretarza	943,50
5.	Różne	74,40
6.	Pozostałość na 1. I. 1930 w kasie	26,68
7	Pozostałość na 1. I. 1930 w P. K. O.	1,217,49
	Razem zł.	5.722.07

PROTOKUŁ KOMISJI REWIZYJNEJ KOŁA KIELCZAN

Komisja Rewizyjna po szczegółowem rozpatrzeniu i sprawdzeniu książek rachunkowych Koła Kielczan i dowodów za rok 1929 znalazła wszystko w należytym porządku.

(—) **K. Grabowski** (—) **St. Pantoczek**

Warszawa, dn. 23. II. 1929 r.

SKŁAD ZARZĄDU KOŁA KIELCZAN W ROKU 1929

Markowski Bolesław — prezes.

Członkowie Zarządu: Szperl Ludwik, Taylor Karol, Wasilewski Zygmunt, Zienkowski Edward, Pędowski Franciszek, Samsonowicz Jan, Wyszyński Bronisław, Raczyński Stefan.

PROJEKT BUDŻETU NA ROK 1930

Dochody:

1.	Składki członkowskie miejscowe	1600,—
2.	Składki członkowskie zamiejscowe	800,—
3	Składki od del. kiel.	1,600,—
4.	Wydawnictwo	800,—
	Razem zł.	4.800 —
1.	Stypendja	2,400,—
2,	Kancelarja	1,000,—
3.	Rezerwa na Pamiętnik	1,000,—
4	Różne	400,—
	Razem zł.	4.800 —

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA KIELCZAN

za rok 1930.

1) Skład Zarządu:

Markowski Bolesław — prezes;

Członkowie Zarządu:

Taylor Karol, Wasilewski Zygmunt, Zienkowski Edward, Pędowski Franciszek, Samsonowicz Jan, Wyszyński Bronisław, Barański Kazimierz, Raczyński Stefan.

2) Komisja Rewizyjna:

Grabowski Kazimierz, Pantoczek Stanisław, Pyżykowski.

3) W roku sprawozdawczym wypłacono stypendja następującym akademikom kielczanom: 1) Dąbrowskiemu Józefowi (Kraków) — 600 zł., Gidlewskiemu Jerzemu (Lwów) — 600 zł., Zarembie Emilowi (Warszawa) — 450 zł., Banasińskiemu Antoniemu (Warszawa) — 450 zł. Pozatem wypłacono zapomogi bezzwrotne: Komarowi Stefanowi (Pol. Warsz.) — 100 zł., Bańkowskiemu — 20 zł., Akademickiemu Kołu Kielczan — 50 zł.

4) Odbyło się 6 zebrań Zarządu oraz 6 zebrań ogólnych, a mianowicie:

a) 1.II — zebranie referatowe : referat o Wiślicy wygłosił kolega Dr Strożecki;

b) 8.III. — zebranie doroczne, połączone z zebraniem towarzyskiem;

c) 3.IV. — zebranie referatowe: referat o Górach Świętokrzyskich wygłosił kol. Samsonowicz;

d) 17.V. — zebranie referatowe: referat o rewindykacji zbiorów w Petersburgu wygłosił kolega Rybarski Antoni;

e) 13.VI. — zebranie towarzyskie;

f) 25.X. — zebranie referatowe: pogadankę o św. Katarzynie wygłosił kol. Wasilewski.

Frekwencja na zebraniach od 16 do 21 osób.

5) Korespondencja: Wysłano 22 listy z podziękowaniem za składki i ofiary, 11 listów do nowych członków, którzy złożyli deklarację o przystąpieniu do Koła podczas zjazdu pierwszych maturzystów szkoły handlowej. Na listy odpowiedzieli i przysłali składki: Stefański Jan, Wilamowski Wincenty, Szmidt Władysław, Lembke Leon.

ZESTAWIENIE KASOWE KOŁA KIELCZAN

za czas od 1.I. 30 do dnia 31.XII. 1930.

Dochody:

1.	Pozostałość na dz. 1.I. 1930 w kasie	26,68
2.	Pozostałość na dz. 1.I, 1930 w P. K. O.	1,217,49
3.	Składki czł. miejsc.	1,531,50
4.	Składki członk. zamiejsc.	1,358,65
5.	Ofiary	85,—
6.	Różne	118,42
7.	Ze sprzedaży Pamiętnika	514,25
	Razem zł.	4,851,99

Wydatki:

1.	Wypłacone stypendja	2,100,—
2.	Zapomogi	170,—
3.	Wydatki kancelaryjne i pensja sekretarza	864,25
4.	Pozostałość za Pamiętnik	400,—
5.	Różne	125,—
6.	Pozostałość na 1.I. 1931 w kasie	62,93
7.	Pozostałość na 1.I. 1931 w P K. O.	1,129,81
	Razem zł.	4,851,99

Uwaga.

Poz. 4 — składki czł. zamiejsc. składa się:

od delegatury w Kielcach zł.	668.40
prowincja zł.	690,25
Razem zł.	1,358,65

SPRAWOZDANIE KOŁA KIELCZAN

za okres 1926 — 1930 r.

Z rokiem 1930-tym upłynął pięcioletni z górą okres zorganizowanego życia Koła Kielczan.

Corocznie Zarząd składał Kolegom sprawozdanie z działalności Koła na ogólnych zebraniach; z tych sprawozdań były ogłoszone drukiem w tomikach pamiętnika, wydanych w latach 1927, 1928 i w końcu 1929 roku.

Obecnem sprawozdaniem Zarząd pragnie objąć cały dotychczasowy okres istnienia Koła i podsumować rezultaty, o ile dadzą się one wyrazić w liczbach.

Zapoczątkowane na pierwszym zjeździe b. wychowańców szkół kieleckich we wrześniu 1925 r. i zorganizowane w r. 1926 Koło Kielczan liczyło początkowo 238 członków (lista ogłoszona w pierwszym tomiku Pamiętnika); po drugim zjeździe w dn 11 września 1927 r. liczba członków, według spisu pomieszczonego w drugim tomiku „Pamiętnika", podniosła się do 341, w ostatnich jednak latach dał się odczuć znaczny ubytek. Po przeprowadzeniu korespondencji z zapisanymi na liście członkami i ustaleniu przynależności ich do Koła — w końcu r. 1929 liczyliśmy w Warszawie 83 członków, w Kielcach 102 i w innych miejscowościach 39, razem 224. W końcu roku ubiegłego (1930) i ta liczba zmalała, członków bowiem pozostających w stałym stosunku z Kołem było tylko 138 (w Warszawie 76, w Kielcach 38, w innych miejscowościach 24).

To przerzedzenie się zastępu członków Koła tłomaczy się jednej strony przez ubytek, spowodowany zgonem starszych Kolegów, z drugiej strony przez słabe zasilanie szeregów młodszymi wiekiem — wychowańcami szkół z okresu 1905 — 1918 (b. Szkoły Handlowej Kieleckiej). Corocznie na ogólnych zebraniach ogłaszamy smutne listy zmarłych, obejmujące po kilka i więcej osób; młodszych zaś przybyło niewielu (w r. 1930) zgłosiło się z wychowańców b. Szkoły Handlowej zaledwie 5 osób.

W zależności od liczby członków musiały też pozostawać i środki materjalne, a więc i rozmiar działalności Koła.

Niżej pomieszczona tablica podaje sumy dochodów i rozchodów za ubiegły okres.

Zestawienie dochodów i wydatków Koła Kielczan

za okres od połowy 1925 r. do 31 grudnia 1930 r.

Dochody	Od czerwca 1925 r. do końca 1926 r.	Rok 1927	Rok 1928	Rok 1929	Rok 1930	Razem
Składki członków Koła:						
zamiesz. w Warszawie	—	1765	2303.50	1527	1531.50	—
zamiesz. w Kielcach	—	—	1100	1200	668.40	—
zamiesz. w innych miejsc.	—	515	667	510.25	690.25	—
Ogółem	3632	2270	4070.50	3237.25	2890.15	16099.90
Ofiary	—	36	—	489	85	610
ze sprzedaży pamiętnika	—	557.75	809	266	514.25	2147
różne dochody	69.08	416.63	21.32	157.14	118.42	782.59
ze sprzedaży pożyczki dolar.		630.08	—	—	—	630.08
	3701.08	3910.46	4900 82	4149.39	3607.82	20269.57

Wydatki	Od czerwca 1925 r. do końca 1926 r.	Rok 1927	Rok 1928	Rok 1929	Rok 1930	Razem
Stypendja i zapomogi dla akadem. Kielczan	1107	1650	1650	2200	2270	8877
Pensja sekretarza i wydatki kancelaryjne	974.75	859.90	857.20	943.50	864.25	4499.60*)
Wydawnictwo pamiętnika	—	1256.08	2260	1260	400	5176.08
Różne (wieńce na pogrzeby zmarłych kolegów i t. p.)	185	22.95	116.80	74.40	125	524.15
Pozostałość na 1 stycz. 1931 r.	—	—	—	—	—	1192.74
	2266.75	3788.93	4884.00	4477.90	3659.25	20269.57

*) W tem — 3750 zł. wynagrodzenie akademika-sekretarza.

Dochody, stopniowo powiększające się w trzech pierwszych latach (3700 zł, 3900 z., 4900 zł.), spadły w r. 1929 do 4250 zł., w r. 1930 do 3600 zł., ogółem zaś wyniosły nieco więcej ponad dwadzieścia tysięcy złotych za lat pięć.

Znaczniejsza część tej sumy 8877 zł. została wydatkowana na stypendja i zapomogi dla Akademików Kielczan; do powyższej kwoty należy doliczyć 3750 zł. (za 5 lat), jako wynagrodzenie akademika sekretarza Koła, stanowiące pośrednią pomoc w postaci odszkodowania za pracę niekiedy dość trudną i niezawsze miłą; razem więc wydatek na wspomaganie młodzieży akademickiej można obliczyć na sumę 12600 zł. (62% ogółu wydatków).

Stypendystami Koła w okresie sprawozdawczym byli pp. akademicy: w r. 1926 — Józef Marszałek i Stanisław Mrówka (przez 1 rok),
w r. 1927 — Jan Banasiński i Karol Augustowski (przez 2 lata),
w r 1928 — Franciszek Siwiec i Franciszek Krochmal (przez 2 lata),
w r. 1929 — Antoni Banasiński i Emil Zaremba (przez 2 lata),
w r. 1930 — Józef Dąbrowski i Jerzy Gidlewski (przez 2 lata).

Stypendja wynosiły po 300 — 600 zł. rocznie.

Sekretarzami Koła byli pp. akademicy: Stanisław Gierat (1926 — 3. III. 1929 r.) i Kazimierz Wojtowicz (od 3 III. 1929 — do chwili obecnej).

Jednorazowe zapomogi przyznano: Akademickiemu Kołu Kielczan i pp. akademikom: Janowi Szanserowi i Stefanowi Komorowi.

Koszty druku trzech tomików Pamiętnika Koła Kielczan, wydanych w latach: 1927 — 1928 i 29/30 wyniosły ogółem 5176 zł. (25,5% ogółu wydatków); ze sprzedaży Pamiętnika wpłynęło 2147 zł., deficyt zatem pieniężny stanowił 3030 zł.

Reszta wydatków przypadła w kwocie 750 zł. (3,5%) na potrzeby kncelaryjne i 525 zł (2.6%) na różne wydatki (prawie wyłącznie na wieńce dla uczczenia pamięci zmarłych kolegów); pozostało w kasie na 1.I. 1931 r około 1200 zł. (6%)

Spójnię koleżeńską podtrzymywało w Kole przedewszystkiem wydawnictwo Pamiętnika, a w pewnym stopniu zebrania referatowe i towarzyskie.

Była o niej wzmianka w Pamiętniku (do r. 1928 włącznie).

W r. 1929 odbyło się w Warszawie 5 zebrań: ogólne doroczne, dwa towarzyskie i 2 referatowe; w r. 1930 — 6: ogólne doroczne, 4 referatowe i 1 towarzyskie.

Referaty były następujące: w r 1929 — o ks. Andrzeju Polejowskim, rektorze pierwszej szkoły wojewódzkiej w Kielcach (Bol. Markowski), o Kazimierzu nad Wisłą (Kazimierz Kujawski). W r. 1930: o Wiślicy (dr. Stróżecki), o bogactwach gór Świętokrzyskich (J. Samsonowicz), o rewindykacji archiwaljów z Rosji (Ant. Rybarski), o Łysicy (Z. Wasilewski).

Skład Zarządu Koła i Komisji Rewizyjnej w latach 1926 — 1927 był ogłaszany w kolejnych sprawozdaniach na łamach „Pamiętnika".

W r. 1929 do Zarządu należeli: B. Markowski, Fr Pędowski, St. Raczyński, J. Samsonowicz, L. Szperl, K. Taylor, Z. Wasilewski, Br. Wyszyński i Ed. Zienkowski; w r. 1930: ciż sami z wyjątkiem L. Szperla, na którego miejsce wszedł Kaz. Barański

Komisję Rewizyjną stanowili: K. Grabowski, St. Pantoczek i Wł Pyżykowski.

PRO MEMORIA

W sprawach dotyczących Koła Kielczan można porozumiewać się w Warszawie z prezesem Zarządu Stefanem Raczyńskim, Warszawa, ul. Mianowskiego 15 m. 1 (kolonja Lubeckiego) lub ze skarbnikiem Edwardem Zienkowskim, Kapucyńska 3. Z oddziałem kieleckim Koła korespondować można pod adresem prezesa Bol. Markowskiego — Kielce, ul. Śniadeckich 36.

Składki i należności za wydawnictwa przesyłać można przekazami pod adresem skarbnika, lub czekami na P.K.O. w Warszawie: Koło Kielczan Nr. 12310.

U skarbnika nabywać można wydawnictwa Koła Kielczan: Księgę Pamiątkową i cztery roczniki Pamiętnika. Ob. niżej ogłoszenie.

Każdy, kto uczęszczał do szkoły kieleckiej od najdawniejszych czasów do ostatnich, bez względu czy wyszedł z maturą, czy opuścił szkołę wcześniej, powinien zapisać się do Koła Kielczan. Wpisowe wynosi 5 zł., składka miesięczna 2 zł. Statut Koła ogłoszony w Pamiętniku za r. 1927, spis członków w roczniku za r. 1928.

ODEZWA DO KIELCZAN

W SPRAWIE ZJAZDU 1931.

W dniu 6 września r. b. odbędzie się w Kielcach ogólny zjazd koleżeński b wychowańców szkół kieleckich.

Pierwszy zjazd ogólny odbył się 7 września 1924 r., drugi — 11 września 1927 r Podczas gdy pierwszy obejmował wychowańców tylko b. gimnazjum kieleckiego do r. 1904, drugi objął już roczniki dalsze wraz z wychowańcami b. Szkoły Handlowej do r. 1918. Obecny zjazd ma zadanie zjednoczyć ze wszystkimi tamtymi kolegami i tych, którzy kształcili się w szkołach kieleckich już po odbudowie Państwa Polskiego i samodzielne stanowiska zajmują. Kładziemy silny nacisk na to, ażeby roczniki najmłodsze należycie były na zjeździe reprezentowane.

Zjazdy nasze czynią zadość potrzebie uczuciowej odnowienia wspomnień, ale poza tem mają swoje praktyczne znaczenie społeczne. Są walnemi zgromadzeniami o charakterze korporacyjnym, z których biorą początek organizacyjne poczynania Kielczan. Ze zjazdu 1924 r wyłoniło się doniosłego znaczenia stowarzyszenie pod nazwą Koła Kielczan, które ma statutem przewidziane stałe zadania do spełnienia. Koło musi się rozszerzać i odmładzać, aby mogło z tych zadań należycie się wywiązywać, a przedewszystkiem z obowiązku opieki nad młodzieżą kielecką, kształcącą się obecnie w wyższych zakładach naukowych.

Zarząd Koła Kielczan musi zdać sprawę ze swej działalności przed ogółem kolegów i zyskać dla niej aprobatę i poparcie.

Zapraszając Kolegów na zjazd, dający miłą sposobność odwiedzenia drogich nam Kielc, nadmieniamy, że zjazd tegoroczny urządzony będzie pod hasłem jaknajwiększej oszczędności, a więc nie będzie połączony z dużemi kosztami.

Adres Komitetu zjazdowego: Kazimierz Barański, Warszawa, Wspólna 13.

Pod tym adresem raczą Koledzy do 1 sierpnia zgłaszać listownie swój udział w zjeździe i zawiadamiać, dla kogo Komitet ma wyszukać mieszkanie prywatne. Pożądane jest nadsyłanie jednoczesne (przy pomocy załączonych czeków) składki w kwocie zł. 15 na koszta, które zgóry Komitet będzie musiał ponieść (czek na P.K.O. — Koło Kielczan nr. 12.310).

Ktoby chciał zawczasu otrzymać pocztą nowy rocznik „Pamiętnika Koła Kielczan" za l. 1930 — 31, niech dodatkowo przyśle 6 zł. (Tom ten bardzo interesujący i ozdobiony ilustracjami, odbity w niewielkiej ilości egzemplarzy, rychło będzie rozchwytany).

Dalsze informacje co do zjazdu:

Przyjazd do Kielc pożądany w sobotę 5 września wieczorem. Delegaci Komitetu udzielać będą informacji co do mieszkań albo na dworcu lub w czasowem biurze w Resursie (hotel Bristol). Tam w Resursie będzie wieczorem w sobotę punkt zborny, dokonane będą zapisy i odbędzie się zebranie towarzyskie.

Przed godz 9 rano w niedzielę 6 września zbierzemy się na dziedzińcu dawnego gimnazjum, skąd udamy się na nabożeństwo.

Bezpośrednio po nabożeństwie odbędzie się ogólne zebranie sprawozdawcze i dyskusyjne, na którem wygłoszą referaty: prezes honorowy Koła Kielczan prof. Bolesław Markowski, prof. un. poznańskiego Kazimierz Tymieniecki, Juljusz Nowak i in. Zebranie odbędzie się w gmachu gimn. im. Śniadeckiego.

Wieczorem tego dnia wspólny obiad.

Warszawa — Kielce w maju 1931 r.

W imieniu Komitetu Zjazdu:

Kazimierz *Barański* radca min., *Borkowski* Piotr rejent, ks kan. Bogumił *Czerkiewicz*, Stanisław *Frycz* sędzia S. N., Marjan *Grzegorzewski* adwokat, Wiktor *Jaroński* sędzia, Bolesław *Markowski* prof. W. S. H., prezes honorowy Koła Kielczan, Stefan *Raczyński* prokurator, Jan *Samsonowicz* prof. un., Karol *Taylor* prof. polit., Zygmunt *Wasilewski* senator, Bronisław *Wyszyński* radca min., Edward *Zienkowski* b prezes Izby skarbowej, Jan *Zydler* dyr. gimn.

SPIS RZECZY

WYDAWNICTWA KOŁA KIELCZAN

1. **Księga Pamiątkowa Kielczan 1856 — 1904.** Cena . . . zł.7.50

Treść: Zjazd 1924 r., oraz odczyty: A. Rybarskiego Historja szkół kieleckich i Z. Wasilewskiego. — Wspomnienia: ks. Czerwińskiego, Drymmera, F. Rybarskiego, Dowiakowskiego, Stefana Żeromskiego, Wiśniakowskiego, Laskowskiego, Borkowskiego, Szczepanowskiego, Świerczewskiego. Życiorysy zasłużonych profesorów i wychowańców. — Spisy maturzystów i profesorów z życiorysami.

2. **Pamiętnik Koła Kielczan za r. 1927.** Cena . zł. 4.—

Treść: Sprawozdanie Koła 1925 — 1927. Statut. Lista członków. — Szkoła Handlowa i jej maturzyści. — Pamięci zmarłych. Życiorysy R uśkiewicza, Żeromskiego, Rowińskiego, Łuszczkiewicza, Koziorowskiego, Domosławskiego i Świecimskiego. — Wspomnienia: Fran. Pantoczka, Zygmunta Wasilewskiego, Lud. Skorupki, E. Zienkowskiego.

3. **Pamiętnik Koła Kielczan za r. 1928.** Cena . zł. 6.—

Treść: O idei Pamiętnika. — Zjazd koleżeński 1927. Lista członków Koła Kielczan. — Życie umysłowe przed maturą, p. Z. Wasilewskiego. — Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach, p. B. Markowskiego. — Historja górnictwa żelaznego na zboczu północnem gór Świętokrzyskich, p. J. Samsonowicza. — Wspomnienie o muzyku Feliksie Jarońskim, przez Z. W. Kronika.

4. **Pamiętnik Koła Kielczan za r. 1929.** Cena . zł. 6.—

Treść: Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach, przez B. Markowskiego. — O Wojciechu Bartosie Głowackim, p. St. Raczyńskiego. — Kościół św. Trójcy, p. ks. Zdanowskiego. — Żeromski w roli prokuratora, p. Z. Wasilewskiego. — Patrjota, p. G. Wędrychowskiego. — Syzyfiana, p. J. Nowaka. — Kronika i in.

Nabywać można w księgarniach i wprost u skarbnika Zarządu. Czekami na P. K. O. w Warszawie: Koło Kielczan nr. 12.310.